

HALINA POPŁAWSKA
Renesansowa przygoda
Wydawnictwo „Alfa” Warszawa 1993

Projekt okładki i strony tytułowej Katarzyna Potkańska

Redaktor
Urszula Przasnek
Redaktor techniczny Ewa Guzenda

<?&>

I wydanie: Iskry, Warszawa 1972 Copyright © by Halina Popławska 1993
ISBN 83-7001-702-9
?4\ ?\$??.

i

*

— Pan z Warszawy? Do Willi Attendola?

Człowiek, który zadał to pytanie, nie przypominał ani trochę spotykanych dotąd w podróży Włochów. Co prawda zewnątrz był stuprocentowym typem południowca: brunet, średniego wzrostu, o atletycznej budowie, ale ponura twarz pozbawiona uśmiechu tak odbiegała od udzielającej się pogody mieszkańców Półwyspu, że Broniś spojrział ze zdziwieniem w czarne oczy błyszczące pod zmarszczonym czołem.

— Tak, do pani Chiaramonte.

— Do pani markizy — poprawił człowiek.

— Do pani markizy — zgodził się Broniś.

Człowiek chwycił walizę gościa i mruknąwszy coś niezrozumiale skierował się do budynku stacyjnego. W chwilę potem wychodzili na miasto, po drugiej stronie dworca. Broniś przystanął na stopniu i objął wzrokiem duży plac.

— Forli — szepnął — jestem w Forli!

Rzeczywiście, trudno w to było uwierzyć. Jeszcze przedwczoraj mróz i śnieg w Warszawie, a dziś Italia. Co prawda niezbyt tego dnia słoneczna, ale zawsze „włoskie niebo”...

Tak to jakoś spadło na niego nieoczekiwanie. Dwa miesiące temu siedział sobie najspokojniej w kącie za szafami w Dziale

5

Dziewiętnastowiecznych Druków, gdy zadzwonił telefon i pani Wiktoria oznajmiła:

— Panie Bronku, dyrektor pana prosi.

Broniś wynurzył się właśnie ze swego kąta z naręczem książek (szedł do katalogu), ale usłyszawszy wezwanie zbliżył się do telefonu.

— Nie, nie — zamachała energicznie pani Wiktoria — dyrektor prosi pana do siebie. Niechże pan zostawi te książki — dodała niecierpliwie — i idzie...

Dyrektor akurat coś pisał, ale zaraz odłożył pióro i wskazał Bronisiowi fotel.

— A więc, młody człowieku, jak słyszałem, uczy się pan włoskiego?

Bronisia zaskoczył początek rozmowy.

— Uczę się, panie dyrektorze, już drugi rok.
— I robi pan postępy?
— Chyba tak, zacząłem czytać prasę.
— No dobrze, zobaczmy. Zaraz poproszę panią Cegielską na mały egzamin. Ta nauka włoskiego to był pomysł ciotki Zuzanny. Gdy półtora roku temu wrócił z urlopu, ciotka przyjrzawszy się z uznaniem jego opalonej twarzy powiedziała:
— Wiesz, Bronisiu, co pomyślałam niedawno? Kartka przeora* odnaleziona, będziesz teraz wolniejszy. Może byś się zabrał do nauki jakiego języka? To się w życiu tak przydaje...
— Języka? Mam na głowie opracowanie batignoli. Szukając skarbu nic przecież nie robiłem i...
— Na to masz godziny pracy, a język...
— Miałem zająć się sportem.
— Jak uważasz, ale wydaje mi się, że język...
* Mowa tu o wydarzeniach, opisanych w powieści: „Cień dłuższego ramienia”, której bohaterem był również Bronisław Mączyński.

6

— No może... Zapiszę się na angielski. Ciotka Zuzanna patrzy na niego z dezaprobatą.
— Więc zapiszesz się na angielski?
— A na co? Rosyjski znam wystarczająco ze szkoły i ze studiów, francuskiego douczała mnie ciocia od małego, do niemieckiego nie mam nabożeństwa, pozostaje chyba angielski...
— Ludzi znających angielski jest jak psów. Moim zdaniem należy wybrać jakiś mało u nas znany język, wyspecjalizować się w nim, a wtedy masz możliwości, możesz dyktować warunki...
— I łamać sobie głowę nad jakimś duńskim czy flamandzkim?
— Na pewno więcej by ci się to przydało niż sprzeczką ze mną. Myślałam o języku bardziej atrakcyjnym i u nas o wiele przydatniejszym. Na przykład włoski... Ta ciotka! Traktuje go ciągle jak małego chłopca. „Broniś”. To przecież śmieszne! I stale chce nim kierować, jak dawniej. Czyż nie widzi, że wyrósł już z tamtych lat?
— Włoski? Dlaczego akurat włoski?
— Bo piękny, bo łatwy, bo kraj wspaniały, bo nasze stosunki z Włochami stale się rozwijają, bo potrzeba nam ludzi mówiących po włosku. W „Życiu Warszawy” nieraz czytałam... Brak u nas inżynierów i techników znających ten język, kupujemy tam różne maszyny, urządzenia i potem są kłopoty, bo nikt ani be, ani me.
— Tylko że ja nie jestem inżynierem.
— Och, nie bądź nieznośny. Na polu kultury też potrzeba ludzi ze znajomością włoskiego, istnieje przecież współpraca, wymiana, stypendia, wyjazdy, możliwości. Zresztą, co ja ci będę tłumaczyć...
— Żebym był pacykarzem czy choćby śpiewakiem...
— Nie pij. Radzę ci się zastanowić.
Rezultatem tej rozmowy były dwa zajęcia popołudnia, gdyż kurs języka włoskiego dla początkujących w Klubie Między-

7

narodowej Książki i Prasy odbywał się dwa razy w tygodniu. W poniedziałek i czwartek. Po półtorej godziny. Język włoski okazał się wyjątkowo łatwy, przy tym piękny jak muzyka. „Nie to co

angielski (słowa ciotki Zuzanny), gdzie pisze się Brown, a czyta się Smith". Bronisiowi nawet nieźle szła nauka. Może pomogła mu znajomość francuskiego i łaciny?

Pani Cegielska była jedyną osobą w Bibliotece znającą włoski. „Egzamin” polegał na przetłumaczeniu kawałka artykułu z dziennika „PUnita” oraz na małej rozmówce w rodzaju: „Gdzie pan pracuje? Jak długo uczy się pan włoskiego? Czy chciałby pan pojechać do Italii?” i tym podobne.

Widocznie wynik okazał się zadowalający, gdyż dyrektor po wyjściu egzaminatorki podał Bronisiowi jakiś papier, ze słowami:

— A teraz proszę to przeczytać.

Był to list pisany po francusku, a brzmiał następująco:

Willa Attendola, 7 stycznia Do Dyrektora Biblioteki Narodowej w Warszawie

Wielce Szanowny Panie Dyrektorze,

mimo że nie znam języka polskiego i nigdy nie byłam w Polsce, łączą mnie z tym krajem bliskie więzy, matka moja była bowiem Polką i przypuszczalnie, gdyby żyła dłużej, z pewnością pozostawałabym w stałym kontakcie z jej Ojczyzną. Niestety, gdy umarła, jeszcze przed pierwszą wojną, miałam zaledwie pięć lat i tak się złożyło, że nie udało mi się odwiedzić Polski. W odziedziczonej po przodkach pokaznej bibliotece mam jednak wiele publikacji polskich, gdyż ojciec mój, znawca i miłośnik książek, wzbogacił rodzinny księgozbiór wieloma dziełami polskimi lub traktującymi o Polsce. Są to w większości starodruki. Chciałabym bardzo wiedzieć, co posiadam i znać wartość posiadanych tomów. Poczyniłam w tym celu pewne kroki, w wyniku

8

których Uniwersytet Florencki przysłał mi studenta Polaka. Niestety, młody ów człowiek nie posiadał odpowiedniego przygotowania i książki te, jak dla mnie, dla niego też okazały się „terra incognita”. Tymczasem ciekawość moja rosła. Postanowiwszy uporządkować i skatalogować moje polskie zbiory wybrałam chyba najlepszą drogę: zwróciłam się o pomoc do Polskiej Ambasady w Rzymie. W odpowiedzi dostałam pański adres, panie Dyrektorze, i zapewnienie, że Biblioteka Narodowa wybawi mnie z kłopotu. Prosiłabym o uprzejme rozpatrzenie mojej prośby i przysłanie pracownika specjalisty, który zająłby się moim księgozbiorem. Zapewnię mu utrzymanie i mieszkanie w moim domu oraz pensję, której wysokość sam pan określi, nie orientując się bowiem w cenie tego rodzaju usługi. Oczekuję z niecierpliwością pańskiej łaskawej odpowiedzi i łączę wyrazy poważania.

Bianka markiza Chiaramonte

Skończywszy czytanie, Broniś położył pismo na biurku, bojąc się dociekać celu wezwania i egzaminu.

— No dobrze — powiedział nagle dyrektor chowając do teczki list markizy Chiaramonte — pojedzie więc pan do słonecznej Italii.

-Ja?

— Czyż możemy odmówić spełnienia takiej prośby?

— Nie, naturalnie...

— Bibliotece Narodowej szczególnie zależy na zapoznaniu się z księgozbiorem, który może okazać się kopalnią poloników. Ministerstwo poleciło załatwić tę sprawę jak najszybciej.

— Rozumiem, panie dyrektorze, ale...

— Nie chce pan jechać?

— Ja... bardzo, jednakże...

- Boi się pan odpowiedzialności?
— Nie jestem specjalistą, więc...
— Jest pan poszukiwaczem skarbów. Raz się już panu po-
9

szczęściło, być może i teraz wyszpera pan dla nas coś cennego u tej starej margrabiny.

- Starej?
— No, wydaje mi się... Jeżeli przed pierwszą wojną miała już pięć lat... Więc decyduje się pan?
— Bardzo dziękuję, panie dyrektorze, decyduję się.

* • *

Ponury człowiek otwierał drzwiczki granatowego fiata o staroświeckiej karoserii. Przedpotopowy grat — zanotował w myśli Broniś, sadowiąc się wygodnie na tylnym siedzeniu.

Ruch był niewielki. Na placu, oprócz paru taksówek, stał tylko duży autokar, koło którego kręciło się kilku mężczyzn w kombinezonach.

Ruszyli z kopyta. Stary fiat okazał się rumakiem pełnej krwi, a Broniś musiał przyznać, że Włoch, choć ponury, potrafił zabłysnąć szoferskim talentem, właściwym jego rodakom.

Z placu wąskimi handlowymi uliczkami wydostali się na szeroką aleję obrzeżoną willami, które latem tonęły pewnie w kwiatach i zieleni. Wkrótce domy zrzedły i aleja niepostrzeżenie przekształciła się w szosę.

- Daleko do Meldoli? — zaryzykował pytanie Broniś.
— Niedaleko. — Kierowca wyminął zręcznie ciężarówkę i zwiększył szybkość. Pędzili w milczeniu.

Po mniej więcej dwudziestominutowej jeździe wpadli w pierwsze domy miasteczka. Trzeba było zwolnić tempo. Wkrótce wydostali się znowu na szosę, po drugiej stronie Meldoli. Za miasteczkiem, na wzgórzu zaczęły malownicze ruiny zamczyska. Szofer gwałtownie skręcił w lewo. Jeszcze chwila i stanęli pod wysokim murem.

10

Miasteczko pozostało w tyle. Na prawo był most, a dalej zamek na wzgórzu. Przed sobą Broniś zobaczył ciężką żelazną bramę. Szofer wygramolił się z auta i mruczając pchnął furtkę. Po chwili brama otworzyła się, skrzypiąc dawno nie oliwionymi zawiasami.

Żle utrzymana topolowa aleja prowadziła w głąb dzikiego parku. Dom stał zwrócony bokiem do jadących. Nie dom a pałac. Willa Attendola.

Dopiero teraz Broniś uświadomił sobie znaczenie tej nazwy. W epoce Renesansu czy Baroku oznaczało to przecież letnią rezydencję, pałacyk wypoczynkowy.

Przypomniał oglądane kiedyś zdjęcia wspaniałych willi medyceuszowskich pod Florencją, a u nas choćby Wilanów króla Sobieskiego, włoska Villa Nuova...

Dom wydawał się wymarły, tylko w szybach pierwszego piętra odbijało się słońce, złocąc marmur posągów w niszach między oknami, bielejących na szarym tle kamienia.

Szofer wyszarpnął walizę Bronisia z dna wozu i mruknąwszy coś wniósł ją do wielkiego, zimnego westybulu. Tu też stały posągi na marmurowych postumentach, a u wejścia na schody kamienny nagi Efeb trzymał wielką elektryczną pochodnię.

Broniś postępował za przewodnikiem, podziwiając wspaniałe płótna jakichś nieznanymi mistrzów oraz połyskujące tu i ówdzie na ścianach sztuki dawnej broni.

Gdy znaleźli się na piętrze, szofer pchnął pierwsze z brzegu drzwi po lewej

stronie korytarza.

— To pański pokój — mruknął jak zwykle lakonicznie i wycofał się, zamykając drzwi.

Broniś został sam.

Pokój był wielki, właściwie pasowała raczej do niego nazwa komnaty. W przeciwległej ścianie otwierały się dwa duże okna wpuszczone w głębokie framugi, ukazujące grubość szarych murów. Wysoki sufit pokrywały freski — jakaś mitolo-

11
giczna scena, w której siedemnastowieczny artysta rozrzutnie szafował pulchną nagością nimf i zielenią ogrodów. Wszystko w wianuszku owoców, liści i kwiatów ze stiuku. Podłogę z pięknego marmuru o różowawym odcieniu tak wywoskowano, że poruszanie się bez uprzedniego treningu mogło być równie niebezpieczne jak chodzenie po lodowisku. Wielkie łoża przykryte ciemnoczerwonym baldachimem prawie ginęło w ogromie tej komnaty, której ściany oliwkowego koloru przecinały ozdoby ze stiuku. Na wprost łoża wisiał jeden tylko obraz — olbrzymie „Wniebowzięcie” w szerokiej ramie, błyskającej zbrązowiałym złotem.

Broniś zapatrzył się w piękną twarz Madonny i dopiero po chwili ruszył na dalsze oględziny. Pod obrazem stał stół pokryty starym gobelinem, przy nim fotel z wysokim oparciem. Drugi taki sam fotel wysuwał się z przeciwległego kąta, w pobliżu ukrytych drzwi, rysujących się na gładkiej powierzchni ściany. Zaciekawiony, pchnął malowane deski i nagle jednym skokiem przebył trzy stulecia: z baroku znalazł się w pełni dwudziestego wieku. Utajone w ścianie drzwiczki kryły najnowocześniejszą łazienkę, wyłożoną seledynowymi kafelkami. Inspekcję zakończyło odkrycie drugich podobnych drzwiczek, za którymi mieściła się przepaścista szafa na ubranie i bieliznę, zajmująca co najmniej połowę długości pokoju. Nim zdążył odświeżyć się po podróży, zapukano do drzwi. Ten sam ponury szofer powiedział ze zwykłą opryskliwością:

— Obiad podany, proszę za mną.

Zeszli na parter. Szofer otworzył wysokie, białe drzwi i przepuścił Bronisia do niewielkiej jadalni. Przy okrągłym stole było jedno tylko nakrycie. Z przeciwległej strony weszła kobieta w białym fartuchu z tacą w ręku.

— To Agata, pokojowa — zaprezentował szofer i zostawił gościa pod opieką równie ponurej Agaty, której mina bynajmniej nie zachęcała do rozmowy.

Broniś dostał kopiasty talerz spaghetti polanych pomido-

12
rowym sosem, które Agata suto przyprószyła tartym parme-zanem. Na drugie był plaster pieczeni przybrany puree z kartofli, a potem kawałek drożdżowego ciasta z kompotem. Agata nalała pół szklanki wina i otworzyła butelkę wody mineralnej. Odezwała się dopiero, gdy obiad dobiegł końca, równie mrukliwie jak jej poprzednik.

— Pani markiza oczekuje w żółtym salonie. Zaprowadzę. Broniś pospiesznie dokończył kompotu.

Minęli długą amfiladę wspianałych niegdyś salonów w barokowej dekoracji, aż nierzeczywistej w czystości stylu mimo zniszczeń czasu, i Broniś stanął wreszcie przed panią Willi Attendola.

Markiza siedziała przy małym stoliczku z filiżanką w ręku.

— Witam pana w moim domu — powiedziała dziwnie przyjemnie brzmiącym głosem. —

Napije się pan kawy? — i nie czekając odpowiedzi: — Agato, kawę dla pana.

Broniś przyjrzał się tymczasowej chlebobawczyni. Markiza była niemłoda, wiedział, że po sześćdziesiątce, ale nie wyglądała na swoje lata. Wysoka, szczupła, o

szpakowatych włosach i ciemnych oczach, starannie uczesana, ubrana elegancko, prawdziwie wielka dama. Mimo melodyjnego głosu i regularnych rysów nie wydała się jednak sympatyczna. Było w niej coś zimnego, obcego, coś, co mroziło uśmiech i tłumiło wszelką chęć serdeczniejszego odruchu.

— Przybywa pan z kraju mojej matki — powiedziała tym swoim przedziwnym głosem, podając Bronisiowi filiżankę. — Zimno tam teraz, co? — wzdrygnęła się.

— Tak, jeszcze zima — przytaknął. — W Warszawie był śnieg, jak wyjeżdżałem, ale już niedługo...

— Od jutra zajmie się pan moją biblioteką — przerwała nagle. — Proponuję następujące godziny pracy: od dziewiątej do pierwszej i od trzeciej do szóstej. Siedem godzin, tak pisał dyrektor. Jako bibliotekarz wierzę, że pan sobie poradzi...

13

jedna tylko prośba: gdyby znalazł pan między książkami jakieś stare listy czy inne manuskrypty, proszę odłożyć do osobnej teczki, w ogóle wszelkie dokumenty, które w trakcie pracy mogą wpaść panu w ręce. Szczególnie, jeśli na jakimkolwiek z nich znajdzie pan nazwisko Sforza... A teraz pokażę panu bibliotekę.

Weszli na pierwsze piętro, zapuszczając się w skrzydło po przeciwnej stronie schodów, licząc od pokoju Bronisia. Podłużna sala zastawiona była wysokimi oszklonymi szafami, a ciasno zsunięte grzbiety książek mieniły się wszelkimi odcieniami brązu i czerwieni. Pod sufitem, wzdłuż ścian biegł łaćniński napis, a wielkie czarne, wymyślnie powykręcane litery tworzyły starożytną sentencję: Quidquid agis, prudenter agas et respice finem — co Broniś przetłumaczył sobie jako: cokolwiek czynisz, czyń rozważnie i przewiduj koniec.

Markiza pokręciła się chwilę po bibliotece, po czym z ręką na kłamce zwróciła się do Bronisia:

— Mauro poprosi pana na kolację. To ten służący, który pana przywiózł — dodała wyjaśniająco. — Jeżeli czego panu potrzeba...

Broniś skłonił się ceremonialnie.

— Wobec tego zostawiam pana — powiedziała jeszcze i już jej nie było.

II

Cisza. Oto co uderzyło go od pierwszego dnia w Willi Attendola. Doprawdy można było zapomnieć, że ten zapadły, oddalony od świata zakątek leży w Italii. We wszystkich filmach, jakie oglądał w Warszawie, Włosi byli krzykliwymi południowcami o żywej gestykulacji i wyrazistej grze fizjonomii. Mieszkańcy Willi Attendola niczym nie przypominali typu „dobrodusznego makaroniarza”. Naturalnie markiza jako

14

wielka dama i w dodatku pół-Polka musiała odbiegać od szablonu, ale reszta? Markiza... Było w niej coś dziwnego, coś co niepokoiło i zastanawiało jednocześnie. Na przykład nie okazała żadnego zainteresowania krajem, z którego przybywał, a skąd przecież pochodziła jej matka. Odniósł wrażenie, że uważne spojrzenie ciemnych oczu badało go wyłącznie pod kątem bibliotekarskich umiejętności. Reszta była jej najzupełniej obojętna.

Jakże inaczej wyobrażał sobie ten dom i jego właścicielkę! Zresztą nie tylko on... W całej Bibliotece o niczym innym nie mówiono.

— Rozumie pan, panie Bronisławie — powiedziała w kilka dni potem pani Tymoniecka — jak Bibliotece zależy na zapoznaniu się z tym włoskim księgozbiorem i jaką

wagę przywiązujemy do pańskich ewentualnych odkryć. Co tydzień proszę wysłać poleconą przesyłką dublety kartek skatalogowanych przez pana dzieł. Naturalnie, nie mając pod ręką żadnych pomocy naukowych, jakimi dysponuje wielka nowoczesna biblioteka, nie będzie pan w stanie ustalić autorów anonimów ani tym bardziej określić daty lub miejsca wydania, gdy książka nie posiada tych danych na karcie tytułowej. Jeśli chodzi o stare druki, brak też panu kwalifikacji. Niemniej potrafi pan odróżnić polonika od innych, nie tak nas interesujących pozycji, a to chwilowo najważniejsze. Resztę zrobią za pana pracownicy Działu Starych Druków i my. Ze wszystkimi trudnościami proszę się zwracać do mnie lub do dyrektora.

Musiał jeszcze przejść krótkie przeszkolenie w Dziale Inkunabułów i Starych Druków, by choć otrzaskać się z widokiem starej i bardzo starej książki. Tak właśnie zdecydował dyrektor i Broniś spieszył się z zakończeniem robót nad zbiorami batignolskimi. Od tego uzależniony był termin wyjazdu. Co prawda doktor Piotrowicz, Kierownik Działu Inkunabułów i Starych Druków, wyraźnie dał do zrozumienia, jak

15

jest niezadowolony z wyboru kandydata, a panienki tam pracujące głośno sarkały przeciw jawnej „niesprawiedliwości”, dyrektor jednak przeciął wszelkie dyskusje jednym tylko zdaniem: „Zna włoski”.

Tak, to przeważało szalę. Zresztą już pierwsze zetknięcie z Italią i z mieszkańcami Willi Attendola dowiodło, że przynajmniej pod względem znajomości języka wybór dyrektora był słuszny.

Mimo braku wprawy Broniś dawał sobie doskonale radę i jego włoszczyzny wystarczyło najzupełniej na porozumiewanie się z lokonicznymi mieszkańcami barokowej willi.

Ponieważ miał się zajmować starymi drukami, należało zatem odświeżyć łacinę. To było teraz najważniejsze, a ciotka popędzała go jeszcze do pracy.

— Zabieram całe pudło kart katalogowych — zalił się w domu. — Mam spisywać wszystkie dzieła polskie lub Polski dotyczące, wszystkie, jak to się u nas mówi, polonika. Jednym słowem robić drugi egzemplarz katalogu. Jeden dla markizy, drugi dla nas... a potem się sprawdzi i jeśli w naszych zbiorach brak pewnych pozycji, może markiza zgodzi się sprzedać... Ale to już dalszy etap, mnie to nie dotyczy. Dyrektor ma nadzieję, że coś tam może wyłowię, jakiego białego kruka... Będę się starał...

Po tygodniu spędzonym wśród inkunabułów, druków szesnastego, siedemnastego i osiemnastego wieku — (Broniś miał przy tym okazję poznać wszystkie najzazdrośniej nawet strzeżone skarby Biblioteki Narodowej) — zaprosił go na rozmowę doktor Piotrowicz, kierownik działu.

— Zna pan dostatecznie łacinę — stwierdził na wstępie — a teraz trochę się pan oswoił z dawną czcionką. Mimo to obawiam się, że wiele cennych pozycji z księgozbioru tej markizy ujdzie pańskiej uwagi. Jeśli nie będzie pan pewien, czy dane dzieło należy do poloników, proszę je zarejestrować na spe-

16

cialnej liście. Czekam na cotygodniowe relacje z poszukiwań. To na razie wszystko.

Naszpikowany wskazówkami, z głową pełną poleceń Broniś gorączkowo czynił ostatnie przygotowania.

— Jeśli mam słuchać wszystkiego, co gadają — mruczał wrzucając do walizki

drobiazgi — mowy nie ma o spaniu czy jedzeniu, a już ze zwiedzaniem trzeba się pożegnać. Naliczyłem pięć list, jakie powinienem sporządzić dla każdego z osobna, a sprawozdania będę chyba robił w niedzielę.

— Obowiązuje cię siedem godzin pracy — zauważyła ciotka — a w ogóle to musisz się najpierw rozpatrzeć w tych książkach i ustalić jakąś metodę. To nie są znane ci batignole.

Broniś potrząsnął melancholijnie głową.

— I cieszę się, i smutno mi rozstawać się z batignolskim zbiorem — powiedział po chwili. — Zleciało mi przy nim parę lat życia. Wiele się nauczyłem, no i... dziad Aleksander...

Wzrok powędrował ku oszklonej półce, gdzie od współczesnych książek odbijały niedzisiejsze oprawy, z prawdziwego księgozbioru.

— Tak bym chciał... Może znowu jakieś odkrycie... może coś mi się uda...

— Nie zapominaj tylko, że takie rzeczy czasem kończą się tragicznie... jak tamto...

Jak tamto... Czyż mógł kiedykolwiek zapomnieć? Może gdy rozstanie się z szaro oprawnymi tomikami z błękitną nalepką, wspomnienie zatraci ostrość konturów, wyrazistość fotograficznej odbitki? Może...

•

Z powątpiewaniem rozgląda się po bibliotece pani Chiara-monte. W powietrzu ujC^C^Ś^leciutki zapach perfum, brzmi jeszcze melodyjnyyg}8s markf^fo 2 — Renesansowa przygodo C> j?/

„...jeśli znajdzie pan nazwisko Sforza...”

Właśnie, Sforza: Pan Błażewicz też coś o tym wspominał. Przyszedł na dworzec z paczką słodczy na drogę. Broniś nawet rad był, że dzięki uprzejmemu koledze ciotka nie sama wróci do domu.

Więc pan Błażewicz? Tak, tak, już wie...

„...proszę tam w Meldoli zainteresować się Sforzami... to były niegdyś ich ziemie... i pan jako historyk...” po czym dyskretnie odszedł na bok, zbliżała się bowiem chwila odjazdu.

No cóż, dotąd Sforzowie nie wydawali mu się bardziej zajmujący od innych starych rodów, które odegrały już swoją rolę w historii. Zresztą mało o nich wiedział.

Ot, królowa Bona i tyle. Jeżeli jednak wspominał o nich pan Błażewicz... dziwne tylko, że i markiza. Zobaczy. Najpierw musi zapoznać się z księgozbiorem. Ale to już nie dziś.

Dopiero po kolacji, znalazłszy się w swoim pokoju, poczuł, jak jest zmęczony.

Mowy nie było o pisaniu listu do ciotki Zuzanny, zresztą z Bolonii wysłał do niej kartkę, a przedtem z Wiednia, gdzie zatrzymał się dzień, by rzucić okiem na miasto. Następnego ranka był w Wenecji, ale pociąg stał za krótko, aby coś zobaczyć. Musiał się zadowolić wrażeniami z okna wagonu, podczas jazdy czterokilometrowym mostem na Adriatyku, który łączył „pływające miasto” z łądem stałym w Mestre. W Bolonii przesiadł się na boczną linię do Rimini. A potem to już znane z mapy nazwy: Imola, Faenza, Forli.

Meldola była małą miejsciną położoną z dala od starożytnej drogi emiliańskiej, prowadzącej z Piacenzy do Rimini, niemniej regularna komunikacja autobusowa zapewniała jej stałą łączność z głównym miastem dystryktu i najbliższą stacją kolejową Forli.

Chwilowo tyle wiedział z mapy i z błyskawicznego rzutu oka na miasteczko podczas przejazdu granatowym fiatem.

Na resztę musi poczekać do niedzieli, kiedy wolny czas pozwoli zwiedzić nowe miejsce zamieszkania. Teraz można się tylko położyć, jak na pierwszy raz i tak dość wrażeń. Rzeczy już rozpakowane, Agata posłała olbrzymie jak gmach łoże i rzuciwszy krytyczne spojrzenie na garderobę Bronisia zabrała szare spodnie do odprasowania.

W pokoju i w całym domu panowała dziwna, prawie dzwoniąca w uszach cisza. Stare gobelinowe zasłony w oknach izolowały komnatę od reszty świata, a od głosów życia dzielił jeszcze dość rozległy, jak się wydawało, park i oddalenie.

Broniś krążył chwilę wśród oliwkowych ścian zapaliwszy wszystkie światła. Mimo zmęczenia i zachęcająco miękkiego materaca nie mógł jakoś zdecydować się wejść pod purpurowy baldachim. Wszystko wyglądało dziwnie nierzeczywiście, podobne raczej do teatralnej dekoracji niż do zwykłego mieszkania. Ale bo też Willa Attendola nie była zwykłym mieszkaniem. Willa Attendola...

Nie ma najmniejszego sensu sterczeć tak pół nocy, kiedy jutro o dziewiątej obejmuje obowiązki bibliotekarza pani markizy. Jeszcze gotów zasnąć...

Pod wpływem tej obawy odważnie nurknął w przepaścistą głęb monumentalnego łoża. Materac rzeczywiście fantastycznie wygodny, a miejsca starczyłoby co najmniej na trzech.

Tak jak prawie natychmiast zasnął, tak samo nagle się obudził. Ciemno jak w grobie. Gobelinowe zasłony nie przepuszczały najmniejszego promyka, zresztą teraz nie było księżycy, a park zapewne nie oświetlony.

Broniś leżał otulony mrokiem i ciszą; w pewnej chwili posłyszał słaby szmer, coś jak gdyby chrobotanie.

Myszy — stwierdził bez zdziwienia, stary dom bowiem miał chyba od wieków licznych drobnych mieszkańców. — Może nawet szczury...

Chrobotanie dobiegało od ściany ozdobionej wspinałym „Wniebowzięciem”; raz cichło, a potem znowu przybierało na

sile. Bronisia zaczął intrygować ten dziwny odgłos. Wydawało się, że ostre pazurki lekko drapały mur.

Co to może być? — głowił się, wytężając wzrok w ciemnościach, aż czerwone koła zaczęły mu latać przed oczami.

Nagle wysoko w górze zaświeciły dwa jasne punkciki. Broniś odrzucił kołdrę i sięgnął do stojącej na stoliczku lampy. W świetle ożył nierzeczywisty wygląd komnaty: ramy obrazu połyskiwały na rzeźbionych zagięciach, ekstatyczna twarz Madonny jaśniała niewyraźnie, a baldachim przybrał odcień zakrzepłej krwi.

Podszedł do stołu i zlustrował ścianę. Nie było na niej żadnych śladów, najmniejszego zadrapania. Otworzył drzwi głębokiej jak pieczara szafy. Guzik z lewej strony okazał się wyłącznikiem i w szafie zapaliła się jasna żarówka. Dwa garnitury spokojnie wisały na wieszakach, a parę półek zajmowała bielizna, którą Agata zdążyła już ułożyć po swojemu. Nic nie wskazywało na obecność niemiłych gryzoni.

Sen jakoś odszedł. Dom jak gdyby się ożywił. Przedtem zamarły i opuszczony wydał się nagle pełen niepokojącej obecności i tajemniczych szeptów. Gdzieś skrzypnęła żaluzja, potem lekko stuknęły jakieś drzwi.

Chyba na dole — zastanowił się nasłuchując.

Rozległ się dźwięk dzwonka i szybkie kroki na schodach.

Broniś zgasił lampę i odsunawszy ciężką zasłonę wyjrzał w ciemny jak studnia park.

Nie, nikt nie przyszedł z zewnątrz, to nie był dzwonek u drzwi wejściowych. Dzwoniono gdzieś w głębi domu, pewnie pani markiza na kogoś ze służby. Zegar wskazywał trzecią. Doprawdy, najwyższy czas na spoczynek. Bronis po raz drugi zatonął w wygodnej pościeli w cieniu purpurowego baldachimu. Jakiś czas leżał na wznak, nasłuchując, aż zasnął sam nie wiedząc kiedy. Następnego dnia zapoczątkował serię zupełnie do siebie podobnych ranków. Wstawał po siódmej, o ósmej Agata wносиła

20

śniadanie. Potem był półgodzinny spacer — park okazał się większy, niż przypuszczał — a o dziewiątej otwierał drzwi biblioteki i czytał łaciński napis pod sufitem.

Podłużna sala obstawiona stylowymi szafami, z których półek wychylały się oprawne w skórę grzbiety, przypominała stary magazyn w warszawskiej Bibliotece Narodowej. Nawet zapach był podobny, inne tylko oświetlenie. Okna starego magazynu, zabarykadowane regałami, nie dopuszczały dziennego światła, podczas gdy tu wielkie, sięgające podłogi szyby dawały łatwy dostęp falom słonecznego blasku, przytłumionego zielenią parku.

Wśród książek panował nieład. Siedemnastowieczne wydanie „Trenów” Kochanowskiego sąsiadowało z francuskimi romansami z ubiegłego wieku. Ponieważ markiza pragnęła wydzielić książki polskie z reszty księgozbioru, Bronis zabrał się do uporządkowania polskiej kolekcji. Przeznaczył na nią najpiękniejsze szafy, o rzeźbionych narożnikach i misternych zamkach.

Obok rzadkich inkunabułów i starodruków odkrył sporą gromadkę publikacji emigracyjnych, znanych mu z egzemplarzy batignolskich. Znalazły się nawet cztery tomy „Roczników polskich z lat 1857—61”, które dzięki jego przedsiębiorczości przeszły już do historii Biblioteki Narodowej.

Czasem zaglądała markiza. Odnosiła książkę, wybierała sobie coś do czytania, czy też otwierała którąś z szaf i przerzuciwszy parę tomów odchodziła, zaszczycając Bronisia lekkim skinieniem głowy. Wydawało się, że jego praca nic a nic jej nie interesuje, Bronis jednak wiedział, że jest inaczej, gdyż zaskakiwała go czasem pytaniem świadczącym o tym, z jaką uwagą śledzi jego bibliotekarskie poczynania. Po obiedzie wyruszył za bramę parku, spoglądając na sterczące na wzgórzu ruiny zamku lub śledząc bieg rzeczki Ron-co, którą niedaleko przecinał kamienny most wsparty na pięciu arkadach. Meldola leżała na łagodnym stoku — gromadka

21

ciasno zbitych domów, wśród których wystrzelało kilka wież. Raz tylko, po kolacji, zapuścił się w wąskie uliczki miasteczka, a pojawienie się cudzoziemca wzbudziło dyskretną sensację wśród bywalców kawiarni, na głównym placu przed Palazzo Comunale. Wieczory zasadniczo spędzał w domu, przy telewizorze ustawionym w pustym salonie parteru. Przeważnie bywał jedynym widzem filmowych pokazów i czasem tylko przy drzwiach zatrzymał się milczący Mauro lub przysiadła Agata, złożony rękami na białym fartuchu.

A więc traktowano go jak służbę, nie był dopuszczony do towarzystwa pani domu. Owe teleaudycje stanowiły doskonałą lekcję języka, odzwyczajał się bowiem powoli od mówienia. Trudno przecież nazwać rozmową kilka zdań zwróconych do milczącej Agaty lub ponurego Maura. Z nikim innym się nie stykał. Za to dużo czytał. Biblioteka okazała się kopalnią arcyciekawej francuskiej „starzyny” i Bronis po prostu pożerał modne przed stu laty „kryminały w krynolinie” Emila Gaboriau czy pękate tomiki niekończących się przygód Rocambole'a, z których „kapała krew”, jak pisał do ciotki.

Przyzwyczał się do rozmiarów swej komnaty, a czerwony baldachim przestał robić wrażenie. Sypiał doskonale i nie słyszał więcej żadnych podejrzanych szmerów czy chrobotów. Na niedziele wyjeżdżał — zbyt ciążyła samotność w wielkim, pustym domu. A tyle było ciekawych miejscowości dookoła. Raz udał się do Forli, głównego miasta okręgu, następną niedzielę spędził w Rawennie, wśród starożytnych mauzoleów i bazylik z przepięknymi mozaikami. A potem wybrał się do Faenzy, ojczyzny fajansu.

Gdy pierwszy raz zawiadomił Agatę, że nie będzie na obiedzie, zauważył niemiłe wrażenie, jakie jego słowa wywarły na małomównej gospodyni. W ogóle wydawało mu się, że każdorazowe wydalenie się „bibliotekarza” za bramę Willi Attendola mieszkańcy domu przyjmowali z niezadowoleniem.

22

Najlepiej czuł się więc w bibliotece, w dobrze sobie znanej atmosferze i co ranka z ulgą zamykał za sobą drzwi, odcinające go od reszty domu.

Na wielkim stole, między dwoma starożytnymi globusami i czymś w rodzaju astrolabium, leżała czarna tekturowa teczka. Broniś widział, jak raz markiza rozwiązywała tasiemki i zaglądała do środka. Nic tam dotąd nie odłożył. W żadnej książce nie znalazł najmniejszego szpargału, niczego, co by przypominało list czy notatkę, ani razu też nie natknął się na nazwisko Sforza. I nagle...

Było to w poniedziałek. Właśnie zniósł z najwyższej półki kilka grubych tomów opatrzonych długim i skomplikowanym łacińskim tytułem i biedził się nad odcyfrowaniem niezrozumiałych słów, przerzucając machinalnie grube karty, gdy wysunął się spomiędzy nich i sfrunął na podłogę poźółkły papier złożony we dwoje. Broniś podniósł kartkę i rozwinął. Było to drzewo genealogiczne, a pięknie wykaligrafowany nagłówek głosił, że jest to „Genealogia mediolańskiej gałęzi rodu Sforza”. Broniś już wkładał znaleziony dokument do czarnej teczki, gdy przyszła mu na myśl królowa Bona. Przyjrzał się z uwagą trudnym do odczytania imionom, szukając wśród nich polskiej królowej, wreszcie zniecierpliwiony bezowocnym trudem postanowił zostawić rękopis na inną okazję i wsunął go do grubego tomu Erazma z Rotterdamu, który akurat znajdował się pod ręką. Markiza mogła poczekać, zresztą po co jej właściwie potrzebni ci Sforzowie?

I tak minął pierwszy miesiąc pobytu w Willi Attendola.

III

Tego ranka panowała w domu niezwykła krzątanina. Z okien biblioteki Broniś zobaczył granatowego fiata, jak sunął topolową aleją od strony bramy. Pod podjazdem trzas-

23

nęły drzwiczki, a potem usłyszał dwa męskie głosy. W jednym bez trudu rozpoznał Maura, ale drugi był nieznamy.

Punktualnie o pierwszej odłożył kartkę katalogową — opracowywał właśnie pięknie oprawne w pergamin wydanie „z epoki” łacińskich wierszy Klemensa Janickiego — i uporządkowawszy jako tako okazałych rozmiarów stos książek na stole wyszedł z biblioteki. Ledwie uczynił kilka kroków, gdy z dołu dobiegł głos markizy.

Melodyjny alt tym razem ciął
jak szpicruta.

— Masz wykonywać moje rozkazy, nic więcej — mówiła
pani Chiaramonte.

Odpowiedział jej przytłumiony baryton. Broniś nie mógł
jednak rozróżnić słów.

— Znowu się buntujesz? Wiesz, że potrafię cię złamać.

~ "

— Nie zapominaj, kim jesteś. Jeżeli cię tu toleruję...

Zamknięte z trzaskiem drzwi przecięły dalszą wypowiedź pani domu.

Broniś wzdrygnął się.

— Jędza — mruknął, wchodząc do swego pokoju.

Gdy po chwili umywszy ręce schodził do pustawej jadalni, dom był jak zwykle cichy i jak gdyby nie zamieszkały. Tylko Agata miała minę bardziej grobową niż zwykle i głośno stawiała talerze, co jej się nigdy dotąd nie zdarzało.

Broniś jadał pospiesznie, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w parku, pogoda bowiem była wspaniała i ciągnęło go na powietrze.

W westybulu natknął się na Maura. „Służący do wszystkiego” traktował go zazwyczaj z pogardliwą obojętnością, a burkliwe mruknięcie Włocha Broniś przyzwyczał się rozumieć jako wyrazy powitania. Tym razem jednak Mauro nie obdarzył go nawet jednym z rzucanych zwykle spode łba

24

spojrzeń. Siedział skulony na wielkiej rzeźbionej skrzyni, a gdy z głębi domu rozległ się dźwięk dzwonka, poderwał się i znikł za drzwiami pustego salonu.

Broniś szedł szybko, byle dalej od niemłej atmosfery Willi Attendola, wdychając zapach nie znanych mu kwitnących drzew i krzewów. Wkrótce znalazł się za bramą i poszedł w stronę mostu na rzeczce Ronco. Słońce mocno już grzało, wiosna była w pełni i nawet ponure dotąd ruiny zamku w jaskrawym oświetleniu tej pory dnia nabrały weselszego wyglądu. Oddalił się na znaczną odległość, tak że musiał wracać z pośpiechem, by jak zawsze o trzeciej rozpocząć drugą część dnia pracy. Gdy wchodził w bramę, z topolowej alei wynurzył się wysoki mężczyzna. Nieznajomy szedł z opuszczoną głową i rękami w kieszeniach spodni. Omal się nie zderzyli. Ujrzawszy Bronisia mężczyzna stanął gwałtownie i odruchowo zapiął marynarkę.

— Co pan tu robi? — spytał ostro.

— Idę do domu.

— Dokąd?

— Do domu. Mieszkam tu.

— Gdzie pan mieszka?

— No tu, w Willi Attendola.

— U pani Chiaramonte?

— U pani markizy — poprawił Broniś.

— Mieszka pan u markizy Chiaramonte?

— Nie rozumiem... Czy to coś aż tak nadzwyczajnego? Nieznajomy potrząsnął głową.

— Pan wybacz — powiedział wahająco. — Właściwie nie powinno mnie to dziwić... przywykłem już do wielu niespodzianek... ale ja też mieszkam w Willi Attendola i...

— Przyjechałem z Warszawy — pośpieszył z wyjaśnieniem Broniś — porządkuję polski księgozbiór markizy... dotąd pana nie widziałem, więc...

— Nazywam się Francesco Petracini.

25

Broniś wymienił swoje nazwisko, po czym spojrzawszy na zegarek pożegnał się pospiesznie i ruszył w stronę domu.

Pod koniec dnia pracy, gdy zastanawiał się, kim mógł być nowo poznany mężczyzna, znowu doleciał go melodyjny alt markizy. Tym razem z dworu. Markiza musiała znajdować się blisko otwartych okien biblioteki, gdyż słyszał każde słowo.

— Czy Mauro wie, co ma robić?

— Wie — odpowiedział człowiek, z którym dziś rozmawiał. — Ja jednak dotąd nie rozumiem...

— Nie potrzebujesz rozumieć — ucięła markiza. — Powiedziałam już, że masz słuchać, tylko słuchać — dodała z naciskiem.

— Ale biblioteka...

— Ośmielasz się wtrącać w moje sprawy? Czy straciłeś rozum? Na tym rozmowa się urwała. Weszli widać do westybulu, gdyż głosy raptem ucichły.

Jeszcze tego samego dnia przyszło wyjaśnienie zagadki, dotyczącej tajemniczego mieszkańca Willi Attendola. Gdy po kolacji Broniś udawał się na seans telewizyjny, przed domem stał samochód gotowy do drogi. Mauro czekał na rozkazy, spoglądając co chwila na drzwi jednego z salonów.

Markiza weszła z człowiekiem, którego głos Broniś słyszał już trzy razy. Była jeszcze bardziej elegancka niż zwykle: granatowy płaszcz podkreślał smukłość figury, a brylantowe klipsy w uszach siały iście tęcze blaski. Mijając

Bronisia wskazała za siebie długą rękawiczką:

— Mój intendent — przedstawiła krótko. Intendent? Bronisia zdziwiło skromne stanowisko nowo poznanego, którego wygląd predestynował, zdawało się, do o wiele wyższej pozycji. Markiza jednak nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Był przecież tylko „jej bibliotekarzem”, niczym więcej. Mauro zapuścił motor i granatowy fiat śmignął sprzed domu.

26

Pierwszy raz Bronisia nie interesował program telewizyjny. Myślami był daleko od rozgrywającego się na małym ekranie dramatu Pirandella. Wkrótce miał dość spektaklu, a ponieważ był jedynym widzem, zgasił aparat i poszedł do siebie.

Próbował napisać list do ciotki Zuzanny, ale utknął na pierwszym zdaniu. Był to widać pechowy wieczór i nic mu nie szło. Najlepszą rozrywką pozostała lektura.

Ale i tu pech go prześladował: zapomniał w bibliotece książki, atrakcyjnej starzyzny, wyszperanej w szafie między oknami. W pokoju nie miał już nic do czytania. Klnąc własne roztargnienie, wyszedł na korytarz. W domu panowała absolutna cisza, lampy już pogaszono. Nic dziwnego, pani markiza przecież wyjechała... Do drzwi biblioteki trafił omackiem, za to od progu oblały go potoki światła. Wielka sala była oświetlona a giorno. Broniś stał chwilę mrużąc oślepienie blaskiem oczy, zanim dostrzegł intendenta: siedział nad wielkim foliarem, wynotowując coś na kartce.

— Przepraszam — Broniś nie wiedział, co ma mówić. Ten intendent o książęcym wyglądzie trochę go onieśmiał. — Zapomniałem wziąć sobie coś do czytania...

Francesco Petracini odłożył pióro i wstał. Był równie wysoki jak Broniś, a pod cienką białą koszulą rysował się atletyczny tors.

— Bardzo pana proszę — powiedział głucho — to przecież teren pańskiej pracy. Czy pani markiza... — zawahał się na mgnienie — poleciła mnie pilnować? Nie zostawiać samego w bibliotece?

— Doprawdy bardzo mi przykro — Broniś poczuł się niezręcznie. — Nie chciałbym panu przeszkadzać... tylko wezmę książkę i...

— Nie przeszkadza mi pan. Chcę wiedzieć, czy markiza wydała panu polecenie...

— Nie wydała żadnego polecenia — przerwał Broniś — i nie rozumiem...

27

— Wiem, że opracowuje pan polski księgozbiór. Czy pani markiza nie mówiła o... innych dziełach?

Broniś stał już przy drzwiach z „Tajemnicami Londynu”

w ręku.

— Pani markiza nie zaszczycą mnie rozmową — spojrział prosto w błyszczące oczy Włocha. — Chyba zna ją pan na tyle, by wiedzieć, że nie jest towarzyska...

— A czy... nie interesują pana inne książki?

— Wszystko tu jest interesujące. Jako bibliotekarz...

— Miałbym do pana prośbę... Czy mógłbym liczyć na dyskrecję?

— O co chodzi?

— Jeśli spotka pan nazwisko Sforza... czy odłoży pan dla mnie tę książkę? Może to być równie dobrze jakaś notatka...

— To dziwne, pani markiza prosiła mnie o to samo.

— A więc mówiła panu?

— Nic mi nie mówiła. Zostawiła teczkę, o tę czarną, co tam leży, na listy czy inne dokumenty, które ewentualnie mogłyby wpaść mi w ręce w czasie pracy.

Intendent skwapliwie pochwycił wskazaną teczkę i gorączkowo rozwiązał tasiemki.

— Pusta! — powiedział raczej do siebie.

— Tak, pusta — przytaknął Broniś. — Nic jeszcze nie znalazłem.

— Widzi pan... zajmuję się trochę historią tej okolicy... to była niegdyś kolebka Sforzów... i też szukam jakichś przyczynków... więc gdyby pan natrafił...

— Będę pamiętał — przyrzekł nieszczerze Broniś, zdecydowany położyć kres niemiłej rozmowie. — Dobranoc.

— Dobranoc panu. Proszę pamiętać, że Bona Sforza była królową Polski.

Bona Sforza! Bona Sforza! Do licha! — Broniś wpatrywał się w purpurowy „sufit” baldachimu. — To się nazywa być między młotem a kowadłem. Coś się dzieje między panią

28

markizą a jej dziwnym intendentem. Tylko co mają do tego Sforzowie? Królowa Bona! Odeszła ochota do czytania. Przed oczami stawała natrętnie orla twarz intendenta. Intendenta? Raczej kondotiera z czasów Renesansu. A ci Sforzowie... Tym dwojgu jednak wyraźnie na nich zależy. W takim razie komu odda kartkę z drzewem genealogicznym? Może najlepiej wsadzić ją z powrotem w jaki stary foliał, jeden z tych zamykanych na wielkie metalowe klamry, co to zapełniają szafę pod zegarem? Psiakrew! Nie spodziewał się takiej komplikacji. Jeśli pani markiza ma jakieś porachunki z intendentem, co to jego może obchodzić? Za pół roku albo wcześniej wyjedzie stąd na zawsze. A swoją drogą grzebanie się w historii Sforzów nie należy do obowiązków intendenta...

Z drugiej strony coś wreszcie zaczyna się dziać! Obrzydły mu już jednostajnie płynące dni.

Po chwili siedział pod złotą ramą „Wniebowzięcia”, pochylony nad listem do Warszawy.

Ponieważ w sobotę wcześniej kończył pracę, przed kolacją wybrał się „do miasta”. Należało odświeżyć zapas kart z atrakcyjnymi zabytkami tej części Italii — panna Regina w ostatnim liście prosiła o widokówki — a właśnie w wielkiej papeterii na Via Cavour widział duży wybór pocztówek.

Spacer do miasteczka wprowadził go w doskonały humor. Minął Piazza Centrale, gdzie na tarasie kawiarni hałasowała grupka młodzieży, i zagłębił się pod arkadowe podcienia via Cavour. W papeterii była jedna tylko klientka i właściciel sklepu, który już znał Bronisia z kilku poprzednich wizyt, przywitał gościa szerokim uśmiechem.

29

— Podoba się panu Willa Attendola? — zagadnął podsuwając pudełko z kartami.

— Bardzo — zapewnił bez przekonania Broniś.

Młoda kobieta zajęta wybieraniem papieru listowego podniosła głowę.

— Signor Polacco — pospieszył z wyjaśnieniem kupiec —
jest gościem pani markizy.

Broniś zerknął ku nieznajomej. Była młoda i przystojna. Odpowiedziała uśmiechem na jego spojrzenie. Po chwili załatwiwszy sprawunek wyszła.

Broniś opuszczał sklep z grubą kopertą widokówek. Za wcześniej było na kolację, postanowił więc pójść do ruin zamku, górującego nad miasteczkiem. Gdy dochodził do końca via Cavour, zza ostatniej arkady wyłonił się jasny kostium nieznajomej ze sklepu.

— Dawno chciałam pana poznać — odezwała się najczystszą polszczyzną — ale jakoś nie było okazji...

— Pani Polka? — zawołał zdumiony.

— Z Warszawy — zaśmiała się. — Wysłałam za męża za Włocha i oto prawie dziesięć lat mieszkam w Meldoli. Mąż mój jest tu lekarzem, doktor Aldo Davitti...

Broniś przedstawił się skwapliwie, zachwycony spotkaniem.

— Nieraz prosiłam męża, by się z panem skontaktował, niestety bardzo był ostatnio zapracowany, a pan tak rzadko bywa w Meldoli...

— Rzadko, cały dzień jestem zajęty.

— Właśnie, słyszałam, że zajmuje się pan biblioteką markizy...

— Polskim księgozbiorem.

— No, a w niedzielę?

— Staram się gdzieś pojechać, coś zwiedzić, zobaczyć. Tyle tu ciekawych rzeczy do oglądania.

30

— W każdym razie jutro nigdzie pan nie pojedzie — zdecydowała bezapelacyjnym tonem pani Davitti. — Zje pan z nami obiad. Wieki całe nie widziałam rodaka. O, tu mieszkamy — wskazała niewielki piętrowy dom otoczony niskim murkiem, zza którego wyglądał ładnie utrzymany ogródek. — To już kraniec miasteczka, łatwo trafić.

Broniś spojrział na ciągnące się wzdłuż rzeczki Ronco pola i ciemny masyw zamku na wzgórzu.

— Bardzo pani dziękuję, nie chciałbym robić kłopotu...

— Zrobi pan nam przyjemność — powiedziała serdecznie. — Wycieczkę krajoznawczą można odłożyć do następnej niedzieli. Tak bym chciała porozmawiać... A więc do jutra, prawda?

Broniś pocałował wyciągniętą rękę.

— Do jutra — powiedział szczerze rad z zaproszenia — będę na pewno.

Jeszcze tego samego dnia zawiadomił małomówną Agatę, by nazajutrz nie czekała z obiadem.

— Wyjeżdża pan na cały dzień? — spytała z pretensją w głosie.

— Nie, ale nie będzie mnie na obiedzie.

Przyjrzała mu się podejrzliwie, zbierając talerze, i wyszła bez słowa.

W niedzielę, wybrawszy najpiękniejsze karty z odbudowanej Warszawy, punktualnie o pierwszej dzwonił do furki przy via Pisacane. Mechanizm poruszany od wewnątrz otworzył bramkę, a z drzwi domu wyszedł średniego wzrostu brunet w okularach.

— Witam pana, żona niezmiernie rada z odkrycia rodaka. To tutaj rzadkość...

Przyjęcie było serdeczne, obiad wyśmienity, a przy tym Broniś dowiedział się wielu interesujących szczegółów z życia mieszkańców Willi Attendola. Okazało się,

że pani markiza

31

była pacjentką doktora Davitti, którego nieraz wzywano do parterowego apartamentu.

— Na swój wiek ma żelazne zdrowie — postawił diagnozę doktor.

— Rzeczywiście, doskonale się trzyma — przyznał Broniś, przywołując w wyobraźni wytworną sylwetkę markizy. — Dziwny tylko ten intendent...

— Biedak — westchnęła pani domu. — Bardzo nam go żal. Nie wiem, czy pan zauważył, jak źle traktuje go markiza.

— Nie miałem jeszcze okazji...

— Zobacz pan. Ona się nie krępuje. Odnosi się do niego, jak gdyby był psem. Zawsze mnie oburza jego bierność. Tym bardziej że są podobno spokrewnieni. Zamiast urządzić się inaczej, wisi przy niej i znosi jej tyranię. Chyba brak mu ambicji, choć na to doprawdy nie wygląda.

— Moją żonę specjalnie interesuje ten młody człowiek — uśmiechnął się dobroduszenie doktor. — Przyznaję, że jest trochę niesamowity. Każdorazowa moja wizyta w Willi At-tendola i zetknięcie się z markizą i jej intendentem to swego rodzaju przeżycie. To nie są zwykli ludzie, tacy jak my czy pan. W nich jest coś... coś odrębnego... Trudno to określić, ale to się czuje...

Tak — przytaknął w myśli Broniś — zgadza się. Oni nie są normalni, tacy jak my wszyscy. Chociażby to zainteresowanie

Sforzami...

— Nie zwiędziłem jeszcze ruin zamku — powiedział głośno, chcąc zmienić temat rozmowy.

— Nie był pan w Castello Sforzesco? — oburzyła się pani Wanda. — To największa duma Meldoli.

— Castello Sforzesco? — powtórzył oszołomiony Broniś.

— No tak, zamek Sforzów. Meldola jest bardzo starą miejsciną i najwcześniejsze wzmianki o jej zamku pochodzą już z XI wieku. Zawdzięcza to swemu położeniu w dolinie Ronco, akurat nad zakrętem rzeki. Dzisiejszy zamek, wznie-

32

siony w dwieście lat później, był potężną fortecą. Do dziś zachowało się parę baszt i całość otoczona murami robi jeszcze imponujące wrażenie.

Doktor Davitti milcząc potakiwał słowom żony.

— A nasz most? — ciągnęła zapalając się pani Wanda. — To też swego rodzaju dzieło sztuki. Wzniesli go Wenecjanie na początku XVI wieku, gdy o posiadanie Meldoli, która była doskonałym punktem strategicznym, toczono krwawe boje. Miasteczko i zamek przechodziły z rąk do rąk. Jakiś czas należały do rodziny Malatestów panującej w Rimini. Może pan już tam był? Dziś to piękna i modna plaża nad Adriatykiem, warto zobaczyć... Potem zagarnął je Cezar Borgia, odebrawszy Malatestom, a potem panowali tu Wenecjanie. Był jednak okres, gdy na zamku powiewała chorągiew z herbami Sforzów. Palazzo Comunale, czyli po naszymu ratusz w Meldoli, to także ich siedziba.

Broniś nie odrywał oczu od zarumienionych policzków gospodyni, co widząc pani Wanda roześmiała się wesoło.

— Dziwi się pan mojej „badawczej manii”, jak to nazywa mąż? Ale to zupełnie naturalne. Jestem wychowanką Uniwersytetu Warszawskiego, ukończyłam historię. Gdy tu przyjechałam, rzuciłam się na zabytki Meldoli jak zgłodniały na kawałek chleba. Napisałam nawet artykuł o zamku, o moście... i posłałam do „Życia

Warszawy". Wydrukowali...

Z głową pełną wrażeń wkraczał Broniś wieczorem do małej jadalni Willi Attendola. Państwo Davitti wysadzili go pod bramą po pięknej przejażdżce: nareszcie miał możliwość obejrzeć dokładnie całą okolicę, lekko pofalowaną wzgórzami, po których pięły się pocięte w prostokąty winnice.

Agata mruzczała nalewając zupę, ale Broniś przywykł już nie zwracać uwagi na jej humory. Udała mu się ta niedziela. Prawdę powiedziawszy była to najprzyjemniejsza niedziela od przyjazdu do Włoch. Przy pożegnaniu i pani Wanda, i doktor prosili, by spędzał u nich każdą wolną chwilę, a że konwersa-

3 — Renesansowa przygoda

33

ej a toczyła się po włosku — doktor nie znał polskiego — więc pożyteczne można było połączyć z przyjemnym, pani Davitti bowiem poprawiała gorliwie wszystkie błędy językowe rodaka. Dopiero gdy po seansie telewizyjnym (był jedynym widzem) znalazł się w swoim pokoju, zauważył coś nowego, coś, czego przedtem tu nie było. Na kapie monumentalnego łoża leżała niewielka książeczka w zniszczonej oprawie, a jej włoski tytuł głosił „Bona Sforza d'Aragona, królowa Polski”. Stary łaciński traktat wyciągnięty spod stosu francuskich romansów zdenerwował Bronisia. Ani go ugryźć, a tak coś się wydawało, że to polonik. Po bezowocnych badaniach wciągnął go na listę, którą sporządzał na polecenie kierownika Działu Starych Druków. Niech się tam w Warszawie biedzą nad rozwiązaniem tej zagadki! Zamknął grube tomisko i podszedł do otwartego na park okna. Cóż za pogoda! Fantastyczna! A jaki widok! Maj tonął w zieleni, a te kwiaty... Nie chciało się wracać do pozólkłych od starości kart. Niestety, coś jednak trzeba było robić. I wtedy przypomniał sobie drzewo genealogiczne rodu Sforzów, ukryte wśród mądrych myśli Erazma z Rotterdamu. Poszukał opasłego tomu ze złożonym grzbietem i po chwili na lśniącym blacie stołu leżał gruby papier ozdobiony u góry tarczą herbową. Na szyszaku, wieńczącym to szlachetne godło, zamiast pióropusza sterczał jakiś skręcony gad zakończony ludzką głową. Skomplikowany rysunek odrośli książęcego rodu wił się wśród ozdobnie pisanych imion, trudnych do odczytania dla nowicjusza i dopiero gdzieś na końcu zamajaczyło imię Bony, polskiej królowej; niełatwo jednak było połapać się w koligacjach łączących ją z resztą rodziny.

Broniś pochylony nad arkuszem nie od razu postłyszał kroki

34

zbliżające się do stołu i gdy gość był już zupełnie blisko, podniósł głowę, zbudzony do rzeczywistości.

Twarz intendenta zastygła w ekstatycznym prawie zdumieniu, a płonące oczy nie mogły, zdawało się, oderwać od herbowego znaku Sforzów.

— Gdzie pan to znalazł? — ręka dotknęła przybrudzonego wiekiem dokumentu.

— W jednym z tych tomów — Broniś wskazał szczerlnie zastawione półki.

— Czy ona... już widziała?

— Przecież markizy nie ma w domu.

— Tak... rzeczywiście... Szukał pan pewnie królowej Bony?

— Owszem i właśnie znalazłem, o tu, u dołu arkusza.

— Tak, ona i jej starszy brat Francesco to ostatnie znane latorośle głównej mediolańskiej gałęzi Sforzów.

— Na nich skończył się ten ród?

— Niezupełnie... Bona, poślubiwszy Zygmunta króla Polski, pozostawiła, jak pan wie, pięcioro dzieci, między nimi Zygmunta Augusta, ostatniego Jagiellona, i

Katarzynę, żonę szwedzkiego króla Jana III. Zygmunt August umarł jednak bezpotomnie, a na tronie polskim zasiadł wnuk Bony, Zygmunt III Waza.

— Dobrze zna pan historię Polski — stwierdził z uznaniem Broniś. — No, a ten brat... Francesco?

— Francesco zmarł nagle... był jeszcze młodym chłopcem... Ale i Wazowie niedługo panowali w Polsce. Władysław IV i Jan Kazimierz to ostatni Sforzowie po kądzieli z linii mediolańskiej.

— Interesuje pana historia?

— Interesuje. A pana nie?

— Owszem. Ukończyłem studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Dlatego pracuję w Bibliotece Narodowej. Opracowuję różne stare pamiątkowe księgozbiory...

35

— Zazdroszczę panu. Ma pan odpowiednie przygotowanie, podczas gdy ja... Jestem samoukiem — dodał po chwili.

— Niemniej studiuję pan historię Polski.

— Właściwie nie można tego nazwać studiami. Trochę czytam...

— Materiałów tu nie brak — Broniś powiódł wzrokiem po zapełnionych książkami szafach. — Nie podziękowałem jeszcze za dziełko o królowej Bonie. To chyba pan? Co prawda nie wszystko zrozumiałem, dawny język trudny...

Niepokojący intendent oparł się o ciężką dębową szafę. Broniś czuł na sobie jego niemal dotykalne spojrzenie. Sytuacja znowu stawiała się głupia. Za każdym razem, gdy się spotykali, ten dziwny człowiek wytwarzał taką jakąś atmosferę...

Z hałasem odsunął krzesło i wstał.

Tamten oderwał się od szafy i podszedł do stołu. Między nimi leżało teraz drzewo genealogiczne Sforzów.

— Pan mi obiecał.

— Niczego nie obiecywałem. — Broniś sięgnął po cenny dokument, ale dłoń Włocha była szybsza i już nakryła papier.

— Przepraszam, ale to moje.

— Pańskie?

— Mówiłem panu. Zajmuję się przeszłością tych stron. Studia historyczne to moja pasja. A u nas w Italii jak nigdzie indziej przeszłość jest zawsze obecna.

Właściwie można powiedzieć, że dotąd żyjemy przeszłością i nikt się nie może wyzwolić, nikt... Pan też...

-Ja?

— Pan. Bona Sforza...

— Do diabła z Boną Sforza. Pan chyba jest opętany?

— Jestem — przyznał spokojnie intendent i wziął znaleziony przez Bronisia papier. — Pan nic nie wspomni markizie, dobrze? Ja... proszę...

W głosie i w spojrzeniu było coś takiego, że Broniś odpowiedział machinalnie:

36

— Nie wspomnę.

Stał jeszcze nie odrywając wzroku od lśniącego blatu, na którym przed chwilą pysznił się ozdobiony herbem papier, gdy tamten dawno już wyszedł z biblioteki.

— Dureń ze mnie — powiedział głośno po polsku. — Skończony dureń!

•* •

O powrocie markizy Broniś dowiedział się nazajutrz przy obiedzie. Przypadkowo. Przyjechała w nocy. Widocznie spał tak mocno, że nie słyszał zajeżdżającego przed dom samochodu.

Do biblioteki przysła przed samym końcem dnia pracy.

— Mam nadzieję, że nikt panu nie przeszkadzał — powiedziała nie patrząc na Bronisia i przekreśliła starożytny globus na rzeźbionej podstawie.

— Nikt — Broniś nie mógł się pozbyć wrażenia, że markiza przewierca go oczami, choć patrzy w inną stronę.

— I nic pan nie znalazł?

— Znalazłem dużo interesujących poloników. Ma pani naprawdę cenny i rzadki księgozbiór.

Markiza wstrząsnęła niecierpliwie głową.

— Wiem, wiem — mruknęła — ale pytam, czy nie znalazł pan jakiegoś papieru, dokumentu, notatki...

— Stare książki kryją niejedną tajemnicę — wygłosił dobrze znaną wszystkim bibliotekarzom sentencję.

Markiza sięgnęła po czarną teczkę i sprawdzwszy, że jest pusta, odsunęła ją na bok.

— Gdyby mój intendent przychodził tu i przeszkadzał — pierwszy raz spojrzała na Bronisia — proszę mi powiedzieć. Chcę, by miał pan absolutny spokój. Absolutny. Spokój sprzyja skupieniu.

37

— Tak, proszę pani. Rozumiem. Miał więc znowu spokój. I to absolutny. Intendenta nie widywał. I gdyby nie cotygodniowe wizyty u państwa Davit-tich, zapomnialby chyba mówić. Pani Wanda i doktor organizowali niedzielne wycieczki w coraz to inne okolice Meldoli, tak by Broniś jak najwięcej zwiedził i zobaczył. Na pierwszą niedzielę czerwca zaprojektowano wypad do Florencji. Wyjazd miał nastąpić w sobotę po południu i po raz pierwszy Broniś spędziłby noc poza murami Willi Attendola. Szczególnie cieszyła go perspektywa podróży samochodem przez Apeniny, tym bardziej że pani Wanda obiecywała wspaniałe widoki.

Jak zwykle zawiadomił Agatę o swojej nieobecności. Pokojowa obrzuciła go nieprzyjaznym wzrokiem i milcząc otworzyła butelkę wody mineralnej.

Gdy w parę godzin potem wrzucał do torby piżamę i przybory toaletowe, zapukano do drzwi. Mrukliwy głos Maura obwieścił, że pani markiza oczekuje go w żółtym salonie.

— Podobno pan wyjeżdża? — pięknie brzmiący alt nie wróżył nic dobrego. — Mówiła mi Agata...

— Tylko krótka niedzielna wycieczka. Chcę zwiedzić Florencję, a ponieważ dziś kończę pracę wcześniej...

— Prosiłabym, aby się pan nie oddalał na tak długo z Willi Attendola — przerwała.

— Przepraszam, jutro niedziela i chyba nie będę potrzebny.

— Nie wiadomo. Zresztą pan każdej niedzieli poza domem...

Broniś aż zaniemówił ze zdumienia.

— Wiem, obowiązuje pana siedmiogodzinny dzień pracy, tak ustaliłam z dyrektorem warszawskiej Biblioteki Narodowej. Dowiedziałam się też, że spotkał pan tu rodaczkę, żonę doktora Davitti. Od czasu do czasu może pan u nich bywać, nie mam nic przeciwko temu, doktor Davitti jest zresztą moim lekarzem, a co do wycieczek, jeśli pan zechce, Mauro

38

pokaże panu okoliczne curiosa. Muszę dodać, że jestem z pana zadowolona, zna się pan na bibliotekarstwie i już napisałam do dyrektora... A więc zgadza się pan ze mną, prawda? Cieszę się, żeśmy tak szybko doszli do porozumienia. Nie zabieram

panu więcej wolnego czasu. — Słowom tym towarzyszył uśmiech zimny i bezosobowy. Broniś wychodził z żółtego salonu z uczuciem sztubaka, którego wytargano za uszy i postawiono do kąta. Za karę. Przykre wrażenie tej sceny mógł jednak przeżuwać dopiero w drodze, trzeba się bowiem było spieszyć, by zawiadomić państwa Davittich o otrzymanym zakazie. Tak, zabroniono mu poruszać się swobodnie, potraktowano jak niesfornego smarkacza.

Jak lokaja — zżymał się dzwoniąc do furtki przy via Pisa-cane. — Bo kimże dla niej jestem? „Jej bibliotekarzem”. „Mój intendent”, „mój lekarz”, to może być i „mój bibliotekarz”. Czemu nie? Piekielna baba!

Otworzyła pani Wanda.

— Mąż u chorego — przywitała gościa smutną twarzą. — Przed chwilą dzwonił, że nic z wycieczki. Wylew do mózgu. Znosi się na całonocną wizytę. Stało się co, panie Bronku?

Broniś usiłował nie okazać dławiącej go wściekłości.

— Niece... Ale i tak nie mógłbym jechać. Markiza mnie potrzebuje.

— Markiza? W niedzielę? Co też ta jędra wymyśliła nowego? W niedzielę pan nie pracuje. Proszę się nie pozwolić wyzyskiwać. Nie jest pan przecież jej intendentem.

— Jestem „jej bibliotekarzem”, a to pewnie coś podobnego. W niedzielę naturalnie nie pracuję, mimo to nie wolno mi nigdzie wyjeżdżać.

— Powiedziała to panu?

— Powiedziała. Pół godziny temu.

— I nie zaprotestował pan?

— Nie miałem odwagi...

39

Pani Wanda machnęła ręką zniechęcona.

— ??, doprawdy... zła jestem na pana...

— Przecież nie możemy jechać. Doktor...

— Dziś nie możemy, ale w następną niedzielę... W następną niedzielę państwo Davitti byli zaproszeni do

rodziców doktora mieszkających w Forli, gdzie odbywała się jakaś rodzinna uroczystość. Wycieczka do Florencji odwlekała się więc jeszcze o tydzień. Mimo niewesołej perspektywy spędzenia samotnie tego dnia, Broniś rad był, że wykręcił się od indagacji pani Wandy, która jak najbardziej stanowczo kazała mu „przeciwstawić się tyranii”.

Markiza od tygodnia była znowu niewidzialna. Praca szła naprzód, a upał wzmagał się z każdym dniem i co dzień pod wieczór zbierało się na burzę. Choć na na dworze dokuczało gorąco, w Willi Attendola panował jednak przyjemny chłód. Marmurowe posadzki i grube mury nie przepuszczały rozpalonego żarem powietrza, a szczelnie zasunięte żaluzje chroniły przed słońcem, sącząc do wnętrza jedynie orzeźwiający, seledynowy półmrok.

Burza przyszła w nocy, a wraz z nią ulewa. Po czym popsukała się wspaniała dotąd pogoda. Niedzielny ranek wstał pochmurny i względnie chłodny. Broniś postanowił skorzystać z odświeżonej atmosfery i zwiedzić nareszcie podziwiane dotąd tylko z daleka ruiny Castello Sforzesco — zamku Sforzów.

Wybrał się w drogę zaraz po obiedzie — wraz z ochłodzeniem odpadła konieczność sjęsty — i okrążywszy miasteczko wy dostał się na drogę wiodącą prosto do resztek monumentalnej bramy z kamiennym lwem na szczycie jednego z filarów. Było cicho i pusto. Meldola zdawała się drzemać po sutym obiedzie. Młodzież rozproszyła się po sąsiednich, bardziej atrakcyjnych miejscowościach, a kroki turystów nie

budziły żadnego echa pod ciężkim sklepieniem wiodącym na wewnętrzny dziedziniec. Broniś miał wrażenie, że jest jedyną

40

żywą istotą, jaka kiedykolwiek zakłóciła spokój imponujących ruin.

Na prawo sterczała potężna baszta, mocno osadzona w skalnym podnóżu, a w jej głąb wiodły doskonale zachowane schody. Zajrzał do ciemnej sieni i nagle postyszał kroki. Ktoś schodził z góry. Kroki były miarowe, pewne, widać ten, kto schodził, doskonale znał wydeptane czasem stopnie i nie obawiał się potknąć na żadnej nierówności kamienia. Broniś zadarł głowę. Kroki były coraz bliżej, Stuk, stuk, stuk, stuk — odbijało się głuchym echem od wysokiego sklepienia. Nie odrywał oczu od ciemniejącego wylotu krętych schodów. Najpierw zobaczył nogi — długie, muskularne, obciążnięte szarą flanelą, mocno uderzające o kamień. Potem z mroku wyłoniła się reszta postaci. Ujrawszy Bronisia człowiek stanął, a jego głowa pozostała niewidoczna.

— A więc przyszedł pan do gniazda Sforzów? — W znanym niskim głosie dźwięczała leciutka nuta ironii.

Broniś udał, że tego nie słyszy.

— Przyszedłem zwiedzić Castello Sforzesco.

— Warto, co?

— Ja myślę, że warto.

— Ta baszta z czternastego wieku należy do najlepiej zachowanej części zamku.

Prawie nic tu się nie zmieniło od tamtych czasów.

— Pan, widzę doskonale obznajomiony... Z ciemności odpowiedział cichy śmiech.

— Wiem, to pańska pasja...

— Proszę, niech pan tu wejdzie.

Broniś posłusznie wspiął się ku swemu rozmówcy.

— Coś panu pokażę.

Trzasnęła zapalniczka i przy migocącym płomyku ukazał się na murze znany zarys lwa.

— To herb Sforzów, widzi pan? Jest tu wszędzie. Na bramie, na wieży, w głównej sali zamku... A jednak nie

41

w Meldoli trzeba szukać kolebki tej wspaniałej rodziny. Jej prawdziwe gniazdo to Cotignola koło Faenzy. Tam przyszedł na świat założyciel i twórca potęgi rodu, Muzio Attendolo.

— Attendolo?

— Sforza to przydomek. Muzio Attendolo urodził się sześćset lat temu. We wtorek.

O świcie. To jeden z najdzielniejszych kapitanów czternastego wieku, słynny

kondotier, mieczem zdobywający ziemie i zamki. Spokrewnił się z

najprzedniejszymi rodami Italii. Może pan poczytać sobie jego życiorys, bardzo

pouczający. Jest w naszej bibliotece. Oryginał łaciński wydany w czasach

Renesansu, pióra Paola Gio-vio, biskupa z Nocery, oraz jego włoski przekład z

tej samej epoki przez Lodovika Domenichi. Pana jako bibliotekarza zainteresują

chyba te szczegóły...

— Raczej jako historyka.

— Oczywiście. To przecież ma związek z królową Boną. Muzio Attendolo jest jej

protoplastą, ściślej praprzodkiem. W prostej linii. Mało kto dziś pamięta jego

prawdziwe imię, wszyscy natomiast znają przydomek Sforza. Nadał mu je inny

kondotier, Alberigo da Barbiano, wódz, pod którego rozkazami Muzio Attendolo

uczył się żołnierki, a po łacinie słowo to znaczy „gwałtowny”, taki bowiem był

za młodu charakter założyciela dynastii Sforzów. Potem utemperował się i z biegiem lat poznał sztukę dyplomacji. Była to przecież epoka, w której decydujący głos miały trucizna i sztylet...

Z mrocznego wnętrza baszty Broniś wyszedł za intendentem na powietrze. Dusiła go przytłaczająca atmosfera starych murów, męczyło, a jednocześnie pociągało towarzystwo niecodziennego rozmówcy.

— Teraz rozumiem — zauważył po chwili — dziwną nazwę domu pani Chiaramonte. Willa Attendola... Powstała przypuszczalnie w XVII wieku, a pamięć dawnych historycznych postaci ciągle żywa w okolicy...

42

Francesco Petracini kopnął kamyk, który podskakując potoczył się po wyłożonym płytami dziedzińcu.

— Willę Attendola wzniósł potomek z bocznej linii — mruknął niechętnie — na miejscu dawnego renesansowego pałacu zniszczonego pożarem. Istniało podobno podziemne przejście łączące pałac z zamkiem na Skale, ale podczas pożaru zejście do lochów zostało zasypane, zresztą nie było już nikomu potrzebne. Oficjalnie mediolańska linia Sforzów wygasła, jeszcze tylko w Polsce... ale i oni po mieczu nosili nazwisko Wazów.

— Ma pan tu kopalnię tematów — zapalił się Broniś. — Dlaczego pan czegoś nie napisze? Czas chyba pozwoli...

— Już mówiłem: nie mam przygotowania.

— O jakie przygotowanie panu chodzi? Skoro pan tyle wie...

— To za mało.

— Ciągłe pan czyta. Szkoda marnować takie zdolności. Nie mógłby pan rzucić pracy i studiować? Są przecież stypendia...

— Za późno. Za to pan, gdyby chciał, mógłby mi pomóc.

— Bardzo chętnie, tylko moja słaba znajomość języka...

— Doprawdy? Pomógłby mi pan?

— Chętnie, choć nie wiem... — Broniś przestraszył się, że zbyt pochopnie wyraził zgodę na coś, co może okazać się sprzeczne z interesami „chlebodawczyni”, a więc i Biblioteki Narodowej.

— Bardzo potrzebuję pomocy, jestem sam, a pan ma przygotowanie.

— O co chodzi?

— O testament Królowej Bony.

— Królowej Bony? Testa...? — Broniś nie dokończył. Zza załomu muru wyłonił się odświętnie ubrany Mauro.

— Pani markiza pana szuka — ponure oczy szofera i lokaja w jednej osobie objęły nieufnie rozmawiających i zatrzymały się na twarzy intendenta.

43

— Idę — rzucił Francesco Petracini i skinąwszy Bronisio-wi głową poszedł ku wyjściu.

Znowu było cicho i pusto wśród starych murów. Broniś wrócił do ponurej baszty i odważnie zapuścił się w mroczną głąb przedsionka. Schody krętym ślimakiem pięły się w zupełnej prawie ciemności, rozjaśnionej od czasu do czasu wąskim otworem strzelnicy. Mur jednak był tak gruby, a szczelina tak wąska, że słaby tylko promyk światła wpadał do środka rozszerzającym się lejem ścian. Im wyżej, tym widok stawał się piękniejszy, coraz większy bowiem płat ziemi pojawiał się w zasięgu wzroku. I raptem, gdy do wierzchołka brakowała jedna tylko kondygnacja, schody urwały się ścianą, w której niskie drzwi tak niegdyś okuto i nabito ćwiekami, że deski ginęły prawie pod żelazem. Była to przeszkoda nie do

przebycia. Nie drgnęły nawet, gdy usiłował je pchnąć. Trzeba się było wyrzec przyjemności dostania się na szczyt.

Zakończone łukowato w górze drzwi otaczał gładki pasek muru, nad którym wspinał się gotowy do skoku, słabo widoczny w ciemności, lew Sforzów. Pod nim wyryto napis i Broniś z trudem, raczej odgadując niż czytając, odtworzył znaną z sali bibliotecznej łacińską dewizę: Quidquid agis, prudenter agas et respice finem.

V

... Gdy więc po czterdziestu latach pobytu w Polsce wróciła do Włoch, wywiozła ogromne skarby, jak piszą kronikarze. Osiedła w Bań — to księstwo pozostało jej po matce — iw roku 1557 zmarła. W końcu XVI wieku córka jej, Anna Jagiellonka, wystawiła matce wspianą grobowiec w bazylice świętego Mikołaja w Bari, gdzie ją pochowano. Co do testamentu, to znalazłam notatkę, że zapisała wszystko synowi, Zygmuntowi Augustowi. Jednak księstwo Bari zabrali Hiszpanie i Filip II nie oddał polskiemu królowi długu, jaki zaciągnął u Bony, olbrzymiej na owe

44

czasy sumy 430 000 dukatów, które przeszły do historii pod nazwą „sum neapolitańskich”. Zwrotu tej pożyczki na próżno domagali się później spadkobiercy Jagiellonów, Zygmunt III i jego synowie.

Bronisiu kochany, bardzo cię proszę, nie zaprzataj sobie głowy testamentem królowej Bony, masz przecież tyle pracy z księgozbiorem! Nie sądź jednak, że pragnę cię odwozić od twoich historycznych zainteresowań. Jeśli znajdziesz jakąś ciekawą i rzadką publikację, dotyczącą naszych dziejów, zrozumiałe, że zechcesz ją wykorzystać, jesteś przecież młody i tak zwana „praca naukowa” powinna cię pociągać, zresztą może tu natrafisz wreszcie na pasjonujący temat pracy doktorskiej, pamiętasz, jak o tym rozmawialiśmy? Boję się tylko, byś się nie zaplątał w nieprzyjemną sytuację, jeśli jak piszesz, istnieje konflikt między markizą a jej intendentem. Nie wolno ci mieszać się w te sprawy, to nie ma nic wspólnego z twoim tam pobytom. Nie zapominaj też, że dyrektor Biblioteki Narodowej ma nadzieję wzbogacić nasze zbiory tamtejszymi polonikami, nie możesz więc zamknąć drogi do markizy, co bezwzględnie nastąpi, jeśli ta dama przestanie być z ciebie zadowolona. Wydaje mi się, że ten dziwny intendent ma jakieś inne cele na uwadze, a dowiedziawszy się, że jesteś historykiem, zamydla ci oczy Sforzami, królową Boną itd. Bądź ostrożny, bardzo jestem o ciebie niespokojna, liczę jednak na twój zdrowy rozsądek.

W Bibliotece wszyscy cię mile wspominają. Pan Błazewicz pomógł mi wyszukać te wszystkie szczegóły dotyczące Bony. Wiem teraz, jak do tego trafić, i zawsze ci pomogę z największą przyjemnością, pamiętaj tylko, nie daj się wciągnąć w żadną grę przeciwko markizie.

Załączone karty ofiaruj ode mnie pani Davitti...

Broniś z westchnieniem złożył list ciotki Zuzanny. Odczytał go dwukrotnie. Z wielką uwagą. Tak, bez wątpienia ciotka miała rację. Należało bardzo ostrożnie ustosunkować się do

45

intendenta i jego spraw, niemniej markiza jest antypatyczna, a te jej roszczenia... No zobaczymy, chwilowo mamy gorące czerwcowe popołudnie, a upał taki, że nie chce się opuszczać przyjemnego półmroku chłodnej komnaty.

Nagle, w ciężkim i nieruchomym powietrzu rozlega się daleki warkot silnika. Warkot słycać coraz wyraźniej, widocznie samochód kieruje się w stronę Willi Attendola. Byłby to pierwszy gość od przyjazdu Bronisia, mieszkańcy willi nie prowadzą bowiem towarzyskiego życia.

Samochód jest coraz bliżej, wreszcie warkot milknie. Pod bramą — myśli Broniś i zaciekawiony podchodzi do okna, by uchylić żaluzji.

Z dworu bucha żarem jak z pieca. Broniś mruży oczy — o tej porze blask jest wprost oślepiający — i spogląda od niechcienia w aleję biegnącą ku bramie. Po chwili warkot oznajmia, że samochód odjeżdża. Znowu jest cicho i sennie, i gdy Broniś chce już zamknąć żaluzję, na zakręcie ukazuje się szczupła postać w różowej sukience. Nieznajoma niesie zniszczoną torbę podróżną, którą co kilka kroków przekłada z ręki do ręki. Wyraźnie widać, że idzie z wahaniem, onieśmielona może wspaniałością pałacu. Broniś, coraz bardziej zaciekawiony, przygląda się dziewczynie. Niestety, ciemne okulary zasłaniają oczy. Im bliżej znajduje się postać w różowej sukience, tym więcej wychyla się z okna coraz bardziej zaintrygowany Broniś. Gdy dziewczyna podchodzi pod drzwi, wyskakuje nastroszony jak zwykle Mauro.

Broniś doskonale słyszy cały dialog. Mauro: — Do kogo pani?

Dziewczyna (nieśmiało): — Ja do pani markizy... Przyjechałam...

Mauro: — W jakiej sprawie?

Dziewczyna (trochę śmielej): — Proszę powiedzieć pani markizie...

46

Mauro: — Nazwisko pani?

Dziewczyna: — Maria Nebioli.

Broniś tak się wychylił, że omal nie wypadł z okna, warto było jednak zobaczyć, jak Mauro oniemiał, usłyszawszy to nazwisko. Od razu też zmienił się ton, jakim dotąd przemawiał do dziewczyny.

— Proszę, proszę — powiedział prawie uprzejmie, odbierając z rąk gościa ciężką torbę.

Broniś szybko zamknął żaluzję i podskoczył do drzwi. Niestety, dziewczynę wprowadzono zapewne do apartamentów markizy na parterze i nic już nie było słychać.

Idąc do biblioteki, w uchylonych drzwiach jednego z pokoiów pierwszego piętra zobaczył Maura. Ponury służący manipulował coś przy zamku. Po chwili zjawiła się Agata z poduszkami. Szykowano więc pokój dla gościa.

Zamknięty przez całe popołudnie w bibliotece Broniś nie brał udziału w życiu domu. Zresztą panowała zwykła o tej porze dnia cisza i na pozór nic się nie działo. Upał za to wzmógł się i Broniś marzył już tylko o porcji lodów. W tym celu postanowił przejść się do miasteczka.

W największej kawiarni na głównym placu siedział intendent z dziewczyną w różowej sukience. Pogrążeni w ożywionej rozmowie. Te same duże okulary zasłaniały pół twarzy, a króciutko ostrzyżone ciemne włosy upodabniały ją do chłopca. Broniś wybrał najdalszy stolik, zjadł szybko ogromną porcję lodów i poszedł do pani Davitti oddać jej karty przysłane przez ciotkę Zuzannę.

Doktor wrócił właśnie od chorego, a pani Wanda zajęta była w kuchni szykowaniem jakiejś polskiej potrawy (Angelina sama nie umiała sobie poradzić), oboje przyjęli gościa ze zwykłą serdecznością.

— Jak tam markiza? — zagadnął doktor. — Dawno już nie wzywano mnie do Willi Attendola.

— Czuję się chyba dobrze, zresztą rzadko ją widuję. A dziś

47

mamy nawet gościa, przyjechała jakaś młoda dziewczyna, słyszałem, jak mówiła, że się nazywa Maria Nebioli.

— Maria Nebioli? — zdziwił się doktor. — Toż to wnuczka markizy. I przyjechała?
— Dzisiaj. Sam widziałem.
— Niesłychane. — Doktor pokręcił głową, a widząc pytające spojrzenie Bronisia dodał: — Markiza nie przebaczyła córce małżeństwa i to jest właśnie tragedią rodziny Chiara-monte. Jedynaczka. Byłem wtedy chłopcem, ale doskonale pamiętam. Śliczna dziewczyna. I wyszła za jakiegoś jazzowego grajka, saksofonistę czy coś w tym rodzaju. Z wielkiej miłości. Markiz już nie żył. I tak pani Chiaramonte została sama. Z córką zerwała wszelkie stosunki, nie była nawet na jej pogrzebie, gdy biedaczka zmarła w kilka lat po ślubie. Delikatne stworzenie, z doskonałych warunków przeniesione na wielkomięjski bruk życia, które było codzienną walką o chleb. Naturalnie miłość męża szybko minęła. Liczył pewnie na pieniądze, a tymczasem teściowa ani myślała łożyć na ich utrzymanie. Zawzięła się. I wtedy to odsunęła się od ludzi i w pewnym sensie zdziwaczała...
— A ta... wnuczka?
— No cóż, dziewczyna miała ciężkie życie z nieciekawym ojcem, do tego bez grosza. Nie wiem doprawdy, jak dawała sobie radę. Teraz musi mieć już koło dwudziestki. Ciekawym, czy ładna?
— Ładna — wyrwało się Bronisowi — mimo że ciemne okulary...
— I mówi pan, że markiza ją przyjęła?
— Widziałem, jak szykowano pokój.
— Nigdy tu nie przyjeżdżała, dopiero teraz...
— Podobno matka markizy była Polką? — zaryzykował Broniś, który dotąd aż nazbyt powściągliwie interesował się swą „chlebodawczynią”.

48

Te sprawy — doktor zaciągnął się papierosem — doskonale znali moi rodzice, od nich się zresztą wszystkiego dowiedziałem. W tak małej mieścinie jak Meldola nic się nie ukryje i każdy zna życie każdego w całej prowincji. Ojciec markizy był zamożnym przemysłowcem, miał w Forli świetnie prosperującą fabrykę przetworów owocowych. Był, jak się to mówi, starym kawalerem, bo po czterdziestce i nieżonaty... To wszystko działo się jeszcze przed pierwszą wojną światową. No i pewnego roku pojechał do Salsomaggiore na kurację. To było wtedy modne uzdrowisko. W tym samym hotelu zamieszkała pewna polska rodzina z Warszawy. On — bogaty przemysłowiec, żona, dwoje dzieci i do dzieci kuzynka żony, wie pan, taka uboga krewna, sierota. Podobno nie była nawet ładna, ale mądra... No i udało się jej złapać starego kawalera z Forli. Po ślubie nabrała podobno fochów i wszystkim rozpowiadała, że pochodzi z wielkiej polskiej arystokracji. Córkę rzeczywiście wychowano na księżniczkę. Wyszła za markiza Chiaramonte, uczonego bibliofila, który świata nie widział poza biblioteką Willi Attendola. A ten interesujący pana intendent to daleki kuzyn markiza. Gdyby markiz żył, nie doszłoby pewnie do zerwania z córką, a tak zmarnowało się biedactwo. Pani Chiaramonte ma twarde serce, to kobieta zimna i bezwzględna, nawet dla własnego dziecka. Choć kto wie, jeśli — jak pan mówi — przyjęła wnuczkę, może z wiekiem nabrała bardziej ludzkich uczuć...

— Zawsze było mi jej żal — wtrąciła pani Wanda. — Samotna starość... chyba nie ma nic smutniejszego. Skoro jednak jest wnuczka...

— Nie wiadomo, czy dziewczyna długo z nią wytrzyma. Markiza ma bardzo apodyktyczny charakter, lubi każdemu narzucić swoją wolę, nie znosi sprzeciwu.

— O tak — westchnął Broniś — wiem coś o tym...

W kilka dni potem do biblioteki weszła dziewczyna.

— Przepraszam — zaczęła wahająco — chciałabym sobie wybrać coś do czytania.

— Wątpię, czy zainteresują panią te książki — Broniś spojrział z uznaniem w ładne ciemne oczy, pierwszy raz bez słonecznych okularów. — Tu sama starzyzna...

— A pan to czyta?

— Nie, ale znalazłem ciekawe powieści francuskie z dziewiętnastego wieku, więc jeśli pani zna język...

— Bardzo słabo — uśmiechnęła się z zażenowaniem — za mało, by czytać powieści...

To pan jest bibliotekarzem z Warszawy?

— Tak.

— Moja prababka była Polką.

(Wiem, wiem, uboga krewna „do dzieci”, która wyszła za fabrykanta z For li).

— Bardzo chciałabym pojechać do Warszawy, ale na to trzeba chyba masę pieniędzy

— dodała z żalem, a podniósłszy głowę zobaczyła napis pod sufitem.

— Czy pan to rozumie?

— „Cokolwiek czynisz, czynź rozważnie i przewiduj koniec” — przetłumaczył w odpowiedzi.

— Ciekawam, kto to napisał? I czemu po łacinie? Wie pan, ja się mało uczyłam... nie miałam czasu... A pan tak... zawsze w książkach?

— Nie zawsze. Tutaj pracuję, po to mnie tu przysłano. Ale na przykład widziałem raz panią w Meldoli w cukierni...

— W cukierni? — była wyraźnie speszona. — Ach, tak... Bardzo tu ładnie. — Powiodła wzrokiem po pięknej sali. — A to... globus?

50

— Globus. Starożytny. Z XVII wieku. Pochyliła się i przyjrzała rzeźbionej podstawie.

— Stale tu stoi?

— Przy mnie stale.

— Pójdę już. Przepraszam, że panu przeszkodziłam w pracy...

— Nic nie szkodzi. Proszę bardzo. Następnego dnia przyszła znowu.

— Czy mogę tu posiedzieć? Tak tu chłodno...

— Ależ oczywiście!

Usiadła przy drugim końcu stołu i zaczęła coś pisać. (Chyba list — pomyślał Broniś).

Gdy zjawiła się nazajutrz, nie siadła już przy stole, tylko kręciła się po całej sali, otwierała szafy, zdejmowała z półek książki, przerzucała karty. Od czasu do czasu mówiła wyraźnie roczarowana:

— To po łacinie... wszystko po łacinie.

— Przeważnie — przyznał Broniś. — Kiedyś był to język nauki.

— Nie ma tu nic innego, tylko te książki?

— Tylko. To przecież biblioteka, cenny stary księgozbiór.

— Cenny księgozbiór! — mruknęła nadaśana. — A nie znalazł pan przypadkiem czegoś ciekawego?

— Czy może chodzi pani o powieści kryminalne?

— Nie znoszę powieści kryminalnych — wykrzyknęła zgorszona. — Wyglądam na aż tak głupią?

Broniś nie zdążył odpowiedzieć. W drzwiach stała markiza z grubym tomem w ręku.

— Cóż to, studiujesz, Mario?

Ton głosu był taki, że Bronisia przeszły ciarki. Dopiero potem zwróciła się do „swego bibliotekarza”.

— Mówiłam już, żeby mnie pan uprzedził, gdyby ktoś tu przeszkadzał w pracy.

— Nikt mi nie przeszkadza, proszę pani.

51

— Pracować można tylko w absolutnym spokoju. Absolutnym, rozumie pan?

— Naturalnie i mam tu absolutny spokój. Naprawdę absolutny.

Tymczasem dziewczyna, nie spiesząc się, wstawiła na miejsce trzymaną w ręku książkę.

— Bardzo mi się tu podoba, babciu — powiedziała z rozbijającym uśmiechem. —

Takie piękne niektóre oprawy, bo książki... ani ugryźć, wszystkie po łacinie...

— To książki nie dla ciebie, Mario — markiza przesunęła na ręku grubą złotą bransoletę — i proszę cię na przyszłość nie przychodź tu i nie przeszkadzaj...

— Dobrze, babciu — przepraszający uśmiech w stronę

Bronisia.

— A teraz idź i zostaw nas. Broniś zaniepokoił się nie na żarty.

— Czy moja wnuczka — markiza oparła pięknie wymani-curowane palce na globusie — szukała tu czego?

— Sądziła, że znajdzie coś do czytania, jakąś współczesną powieść...

— A poza tym?

— Zdaje się, że nie interesują jej stare książki.

Markiza podeszła do czarnej teczki. Broniś, który niespokojnie śledził jej ruchy, zauważył, jak rozwiązawszy tasiemki, wydobyła jakiś papier.

— Dziękuję — rzuciła w przestrzeń i poszła ku drzwiom. Broniś gorączkowo otworzył teczkę. Była pusta. Jednak

wyraźnie widział, jak markiza wyjmowała z niej pożółkły papier. Nic tam przecież

nie wkładał, więc kto? Kto ruszał tę diabelską teczkę? I co tam włożył? Jakiś

czas miał spokój, a teraz znowu... zaczyna się... Przedtem ten zwariowany

intendent, obecnie dla odmiany wnuczka. Czyżby i ona miała klepki nie w porządku?

A wygląda na normalną dziewczynę, choć licho ją wie...

52

Z tego wszystkiego jedno było jasne: markiza nie życzyła sobie jakiegokolwiek kontaktu „bibliotekarza” z którymś z domowników, szczególnie zaś irytowały ją wizyty tychże domowników w bibliotece. Broniś postanowił unikać na przyszłość spotkania czy to z dziewczyną, czy z intendentem, by nie narazić się na nową perorę o „absolutnym spokoju”.

Dziewczyna na szczęście przestała interesować się biblioteką. W ogóle jej nie widywał. Raz tylko na spacerze zobaczył jasną sukienkę nad brzegiem Ronco. Maria była w towarzystwie intendenta. Uniknąłby spotkania, ale wyłonili się nagle spod arkady weneckiego mostu i dziewczyna podeszła do niego pierwsza.

— Przykro mi, że przeze mnie miał pan nieprzyjemność — powiedziała wstrząsając ciemną czuprynką — ale babci tak zależy na tych książkach, że... no, rozumie pan? Proszę nie mieć do niej żalu.

Uśmiech, jaki towarzyszył tym słowom, mógł rozbroić najbardziej opancerzone serce i Broniś już, już miał uznać markizę za najczulszą z babek, gdy mimo woli spojrzął na intendenta. Towarzysz dziewczyny stał z opuszczoną głową, rozgniatając żwir obcasem. Oczu nie było widać, lecz zmarszczone brwi i zaciśnięte usta wskazywały, w jakim był nastroju. Nie wtrącił się do rozmowy i

Broniś, zapewniwszy dziewczynę, że nie czuje żadnego żalu ani do niej, ani do markizy, oddalił się pospiesznie.

Coraz trudniej było zrozumieć mieszkańców Willi Attendo-la i właściwie najlepiej czuł się we własnym jedynie towarzystwie. Rzadziej też oglądał program telewizyjny, bo i pracy robiło się coraz więcej. Przez te kilka miesięcy wiele się nauczył, stare druki nie były już tak obce, a i łacina, dzięki grubemu słownikowi Koncewicza, który przysłał uczynny pan Błażewicz, przestała straszyć trudnym do odczytania tekstem. Regularnie co tydzień odnosił na pocztę spory pakiecik kart katalogowych — dubletów tych pozycji, które coraz cieżniej

53

zapełniały specjalnie zamówione na ten cel w miejscowej papeterii pudła.

Margrabina bardzo pana chwali — napisał ostatnio dyrektor — a ponieważ doktor Piotrowicz znalazł wśród pańskich kartek kilka dzieł, których nie ma w zbiorach Biblioteki Narodowej, jesteśmy pełni nadziei, że pod wpływem pańskich bibliotekarskich zalet pani Chiaramonte będzie bardziej skłonna do pertraktacji. Słowa te napełniły Bronisia zrozumiałą goryczą, wiedział bowiem, jak fałszywe pojęcie mieli tam w Warszawie o pani Chiaramonte i o jego zaletach.

VI

Lipiec zaczął się deszczowo. Bardzo dobrze, bo trawa nad brzegami Ronco pożółkła przedwcześnie, a zieleń parku Willi Attendola poszarzała, jak gdyby przysypana popiołem.

Pewnej nocy Broniś obudził się o pierwszej i już nie mógł zasnąć. Padał deszcz, słychać było szum kropel na liściach, przez otwory w żaluzjach wpływało świeże, pachnące wilgocią powietrze i zdawało się, że wszystko usposabia do snu, a jednak... Zaczęły go nachodzić różne myśli... o tym, o owym... o niepokojącym intendencie, o dziewczynie... o cotygodniowym sprawozdaniu, które nazajutrz miał sporządzić, o dwóch trudnych do rozgryzienia pozycjach, dotąd nie opracowanych i pozostawionych na następny ranek, na „świeżą głowę”...

W pewnej chwili posłyszał gdzieś na korytarzu skrzyp drzwi, a potem lekkie kroki. W ciszy, do której nie dochodził z zewnątrz żaden dźwięk, oprócz szumu deszczu, wszystkie te odgłosy dziwnie były wyraźne i jak gdyby wyolbrzymione. Kroki podeszły pod jego drzwi, minęły je, zawróciły. Spacer ten powtórzył się kilka razy. Broniś wydobył się z czeluści przepaścistego łoża i stanął, nasłuchując. Wiedział, że za jego drzwiami, na korytarzu, też ktoś stoi i nasłuchuje. Takie

cze-

54

kanie było doprawdy irytujące, najlepiej wyjść i sprawdzić, kto tej nocy również cierpi na bezsenność i potrzebuje ruchu. Udało mu się prawie bezgłośnie otworzyć drzwi. Na korytarzu w ciemności majaczyła jakaś postać, która szybko do niego podeszła. Poznał dziewczynę w kusiutkiej piżamce. W oczach miała przerażenie.

— Boję się — powiedziała szeptem. — Okropnie się boję.

— Czego?

— Nie wiem... coś się dzieje w moim pokoju — wskazywała drzwi w głębi korytarza.

Broniś poszedł pierwszy, dziewczyna za nim.

Był to pokój, który szykowano dla gościa, gdy kiedyś przechodził korytarzem.

Rozmiarami i umeblowaniem przypominał jego komnatę. Tylko łoże nie miało

baldachimu, lecz kotary, a na przeciwległej ścianie zamiast wniebowziętej

Madonny wisiał duży portret jakiegoś ponurego jegomościa w czerni, opierającego dłoń na głównej szpady.

— Tu, na tej ścianie — wskazała dygocząc — coś chrobotowało, a potem zapaliły się

świąteczka... jak gdyby oczy tego na portrecie — wzdrygnęła się — nie lubię go, taki ponury...

— Niech się pani nie boi, ja też coś podobnego przeżyłem pierwszej nocy po przyjeździe. Ale to chyba niegroźne, nic mi się nie stało. W takim starym domu pełno zakamarków, gdzie się gnieźdzą myszy...

— Obudziłam się i nie mogłam długo zasnąć. Raptem posłyszałam chrobot... a potem to światło... Wybiegłam na korytarz... Na tym piętrze zdaje się mieszkamy tylko my, pan i ja... więc podeszłam do drzwi pana pokoju i tak chodziłam... było mi raźniej... Chciałam w ten sposób doczekać świtu... na korytarzu... Tak się dziwnie czułam, zupełnie jak gdyby z tej ściany ktoś na mnie patrzył, obserwował mnie... — Rozszerzonymi strachem oczami wodziła po gładkim murze. W świetle twarz mężczyzny na portrecie miała rzeczywiście bardzo nieprzyjemny wyraz.

55

— Straszny ten Sforza, prawda? To okropne mieć go ciągle przed oczami. W dzień to jeszcze, ale nocą... Już mówiłam babci, powiedziała, że zawsze tu wisiał, od początku, odkąd zbudowano Willę Attendola i że nic nie można zmienić... I akurat ja dostałam ten pokój... Dziękuję panu i przepraszam...

— Och, drobiazg. Nie powinna się pani przejmować. U mnie się to więcej nie powtórzyło, tylko raz...

— Skąd pan wie? A może pan spał i nie słyszał?

— Może, ale to naprawdę głupstwo. Nie warto się denerwować. Niech się pani położy, ja już pójdę, dobranoc.

— Zostawia mnie pan? Na pastwę tego... tego Sforzy? Za nic nie zostanę sama. Wolę siedzieć na schodach.

— Naprawdę nie ma się czego bać, nic pani nie grozi.

— Nie wiem. Gdy patrzę na jego twarz... ciarki mnie przechodzą...

— Proszę nie patrzeć. Może pani czytać. Jest pani pewna, że to jakiś Sforza?

— Tak, ten najgorszy... Lodovico Moro. Maur... Dobrze dano mu przyzwisko, co? Jeżeli był taki ciemnoskóry jak na portrecie...

— Więc to Lodovico ii Moro? — zainteresował się Broniś. — A czy wie pani, czyjego pędzla ten portret?

— Bernardino Luini. Był malarzem Sforzów.

— Fiu — gwizdnął Broniś i z jeszcze większym zainteresowaniem przyjrzał się portretowi.

— Dla niego zamordować kogoś to zabawka. Równie dobrze władał sztyletem jak szpadą, a sypanie trucizny do wina było jego specjalnością. A teraz wciąż na mnie patrzy... Łotr...

— Najlepiej poprosić markizę o inny pokój. A ja naprawdę pójdę. Już po drugiej, o trzeciej robi się jasno i jeżeli ktoś zobaczy...

56

— Nikt pana nie zobaczy. Nie zostanę sama. Gdyby coś się stało, miałby mnie pan na sumieniu.

— A cóż się może stać? Przecież jest pani w domu swojej babki, a nie wśród zbójców.

— Jestem wśród Sforzów, a to o wiele gorsze.

— Wśród Sforzów? Na szczęście oni dziś niegroźni, o ile wiem, rodzina ta dawno już wygasła i nie ma powodu...

— Oni tu żyją — obejrzała się trwożnie i dodała po chwili: — Po co ja właściwie przyjechałam, mój Boże, po co przyjechałam?

— Odwiedzić babkę, to chyba normalne?

Potrząsnęła głową i spojrzawszy niepewnie na Bronisia zniknęła za kotarami łoża. Po chwili wróciła w długim płaszczu kąpielowym.

— Porozmawiamy, dobrze? Proszę, niech pan siada i opowie o Polsce, o Warszawie...

Gdy po godzinie jak złodziej przekradał się do siebie, było już jasno i w parku odzywały się ptaki.

Broniś przyjrzał się podejrzliwie swojej Madonnie, zanim wyciągnął się pod purpurowym baldachimem.

— Znowu ci Sforzowie — mruczał — a zdawało się, że dziewczyna całkiem dorzeczna. To widać jakaś rodzinna mania.

Zbudziła go dopiero Agata ze śniadaniem. Nie było już czasu na poranny spacer i w ogóle trzeba się było spieszyć, by o dziewiątej zacząć pracę. Dzień włókł się jakoś sennie wszystko wydawało się nudne i bez sensu. Sterczy oto sam w obcym domu, wśród obcych mu ludzi, owszem, w wymarzonej Italii, ale co właściwie z tego ma? Zamknięty jak więzień, bez kontaktu z innymi, bez wrażeń, a tyle sobie po tym pobycie obiecywał! Żeby choć coś ciekawego było wieczorem w telewizji. Jak na złość jakaś głupia rewia... z dowcipami, których nie rozumiał!

O dziesiątej miał dość i poszedł na górę. Pozostała jedyna

57

rozrywka — ilustrowane tygodniki, które poprzedniego dnia kupił w miasteczku. O jedenastej postanowił się położyć, kiedy zapukano do drzwi. Czyżby i ta noc miała być bogata w zdarzenia?

Na jego ciche — avanti — wszedł intendent.

— Chciałbym z panem pomówić — spojrzął na Bronisia, na posłane na noc łoże, wreszcie na obraz Madonny.

— Proszę.

— Wolałbym gdzie indziej. Może pójdziemy...?

— Dokąd? Przecież możemy i tu...

— Do mnie — przerwał gość. — Pan wybaczy, ale mam powody...

Intendent markizy Chiaramonte zajmował dwa niewielkie pokoje na drugim piętrze. Sufity były tam o wiele niższe, umeblowanie skromne, okna małe, dość wysoko osadzone. To mieszkancko poprzedzał nieduży przedpokój, potem był rodzaj gabinetu-pracowni, a na końcu sypialnia. Francesco Petracini wprowadził Bronisia do tego ostatniego pokoju i wskazał zniszczony, obity skórą fotel.

— Dawno już chciałem panu powiedzieć — zaczął — ale brak było okazji... Wczoraj pomógł pan mojej kuzynce, zaopiekował się pan nią, wystraszyła się biedaczka. Dowiedziałem się od niej, że i pan przeżył podobne emocje. Ten dom nie jest pewny... Wszędzie kryją się niepowołane oczy i uszy... i tylko tu... Pamięta pan, jak prosiłem o pomoc?

Broniś nie zapomniał wizyty w baszcie Castello Sforzesco, spotkania z intendentem i obietnicy, danej może nieopatrznie. Oczekiwał tej rozmowy, bo jeżeli tamten prosił go o pomoc, a on przyrzekł, to wreszcie tej pomocy będzie musiał kiedyś udzielić. Wszystko to mogło okazać się nieobliczalne w skutkach, ale co robić? Słowo się rzekło...

— Pamiętam — powiedział niezdecydowanie. — Pan coś wtedy mówił o testamencie królowej Bony...

— Otóż to. — Mroczna twarz intendenta ożywiła się. —

Widzę, że to pana interesuje, tym łatwiej więc dojdziemy do porozumienia.

— Do porozumienia?

— Nie chciałbym pana niepokoić, ale przychodzę jak przyjaciel i potrzebuję przyjaciela. Jestem sam, a dzieło, którego mam dokonać, przerasta siły jednego człowieka.

Broniś był coraz bardziej zaintrygowany.

— Muzio Attendolo, obdarzony przydomkiem Sforza, założyciel rodu, z trzech żon i kilku konkubin miał dwanaścioro dzieci: dziesięciu synów i dwie córki. Mówiłem już panu, że męstwem i szpadą doszedł do wielkich zaszczytów, ale dopiero jego syn Francesco wspiął się stopnie książęcego tronu. Kondotier walczący dla Filipa Visconti, księcia Mediolanu, tak sobie ujął tego ostatniego, że dostał za żonę jego nieślubną córkę Biankę. Sam zresztą Francesco był nieprawym synem Muzia Attendoli, niemniej z niego wywodzi się główna mediolańska linia Sforzów, Filip Visconti bowiem umierając nie zostawił syna, a zięć narzucił ludowi swą władzę i sięgnął po koronę.

Francesco pozostawił dziewiętnaścioro dzieci, przy tym w owej epoce tak zwane dzieci z nieprawego łoża traktowano na równi z dziećmi zrodzonymi z legalnego związku. Tytuł książęcy odziedziczył pierworodny syn Francesca i Bianki Galeazzo Maria. Był to człowiek okrutny, rozwiązłego życia i może nie na próżno posądzano go o najgorsze: o otrucie własnej matki i pierwszej żony. Nic też dziwnego, że zginął młodo od sztyletu spiskowców, mając zaledwie 33 lata. Z jego dziesięciorga dzieci na tron wstąpił syn najstarszy, Giovanni Galeazzo, który w dniu śmierci ojca liczył 9 lat. Niemniej ukoronowano go jak przystało na księcia Mediolanu, a rządy w jego imieniu sprawowała matka wraz z przydaną jej Radą. Nieszczęściem tego księcia jednak był stryj Lodovico, zwany dla ciemnej cery ii Moro — Maur. Chciwy władzy zajął Mediolan, odstawiając od rządów bratanka i jego matkę. Młody Giovanni Galeazzo żył krótko, zaledwie 25 lat i zginął,

59

jak mówiono, od trucizny podanej ręką stryja. Przed śmiercią jednak zdążył się ożenić i mieć czworo dzieci. Wybranką jego była — spokrewniona z nim przez matkę — Izabella Aragońska, córka Alfonsa II, króla Neapolu i Hipolity Sforza.

Tragiczne losy tego młodego księcia wiążą się z sytuacją polityczną ówczesnej Italii, gdyż ambitna Izabella, oburzona warunkami, w jakich jej przyszło żyć, odsunięta od należnych jej hołdów i splendorów, poprosiła o pomoc Hiszpanów. Dało to początek krwawym wojnom, które — jak pan wie — spustoszyły Italię. Dwie potęgi ścierały się na naszym terytorium: Hiszpania i Francja, gdyż Lodovico nie czekał biernie na przyjście odsieczki dla bratanka, lecz ze swej strony wezwał na pomoc Francuzów. I tak Karol VIII z wielkim wojskiem najechał Italię.

Francuski monarcha odwiedził w Pawii chorego Giovanni Galeazza, a młody książę, umierając, polecił jego opiece swego syna Francesca.

Pochowano go jak wszystkich jego poprzedników w mediolańskiej katedrze z odpowiednimi honorami, a stryj Lodovico nie przeczuwał nawet, że jego żądza władzy doprowadzi do upadku ród Sforzów, a obca interwencja na długie wieki położy kres niepodległości Italii.

Broniś nie odrywał oczu od twarzy mówiącego. Intendent pani Chiaramonte odchodził gdzieś na bok, obcy i daleki. Na jego miejscu pojawił się nowy, nieznany człowiek. Człowiek, który z takim znanstwem rozprawiał o ludziach Renesansu, jak gdyby żyli wczoraj i byli mu bliscy.

— Nieszczęsna Izabella utraciła kolejno troje ze swych dzieci: najmłodszą Biankę,

dziewięcioletnią Hipolitę oraz syna, całą jej nadzieję. Syn ten miał kiedyś, jak się spodziewała, odzyskać utracone księstwo i przywrócić należne matce stanowisko. Tymczasem Ludwik XII wprowadził go do Francji, sama bowiem nieopatrznie powierzyła syna francuskiemu monarsze wierząc, że tym uchroni go od prześladowań.

60

Przedwczesna śmierć była jednak pisana i temu księciu. Zamknięty przez króla w opactwie Marmoutier koło Tours, według jednych tak nieszczęśliwie spadł z konia, że zabił się na miejscu, inna natomiast wersja przypisuje jego zgon truciznie, widząc w tym długie ramię Lodovica Mora.

Nowina ta musiała wywrzeć straszne wrażenie na Izabelli, która wówczas od dawna znajdowała się w Neapolu, dokąd uciekła bojąc się o swe życie. Zresztą Lodovico zwrócił jej księstwo Bari jako odszkodowanie za wniesiony Sforzom posag. Tam też osiadła z jedyną pozostałą jej córką, późniejszą królową Polski — Boną.

Francesco Petracini skończył nareszcie swój wykład, a zmęczony zbrodniami Sforzów Broniś na próżno zapytywał siebie, jaki był cel tej opowieści i o czym miała go ona przekonać.

Przedłużające się milczenie przerwał znowu gospodarz, podsuwając Bronisiowi kartkę.

— Tu narysowałem część drzewa genealogicznego Sforzów z tymi członkami rodziny, o których przed chwilą mówiłem. Na razie to najważniejsze.

Broniś ujął kartkę z następującym rysunkiem:

MUZIO ATTENDOLO SFORZA 1369-1424 FRANCESCO I
1401-1466

GALFAZZO MARIA
1444-1476

LODOVICO IL MORO
1452-1508

I ?-----1-----

-----,
GIOVANNI GALEAZZO MAKSYMILIAN FRANCESCO
?69 -1494 /493-1530 1495-1535

1J-----,-----,-----,

FRANCESCO HIPOLITA BONA BIANKA J49M512 1493-1501 1494-
1495-\557 1496

61

— Widzi pan, pod Franciszkiem pierwszym, księciem Mediolanu, obok pierworodnego Galeazza umieściłem i Lodovica Moro, gdyż on zagarnął władzę po śmierci bratanka. Niedługo jednak cieszył się panowaniem. Zdradziwszy Francuzów stanął na czele założonej przeciwko nim Ligi i gdy po śmierci Karola VIII Ludwik XII wkroczył do Italii, Lodovico miał powody do obaw. Zdradzony z kolei i wydany Francuzom, ostatnie lata życia spędził w wieży zamku Loches w Turanii jako więzień królewski. Dwaj jego synowie, którzy kolejno panowali w Mediolanie, nie odznaczyli się żadnymi zaletami, były to zresztą czasy bratobójczych walk między książętami włoskimi, z czego korzystając, rosnąca w potęgę Francja, obaliła nie tylko dom Sforzów, ale i Aragonów, i tak Italia, a z nią i Mediolan przeszły pod obce panowanie.

Tym razem milczenie przeciągnęło się jeszcze dłużej. Intendent miał wyczekujący wyraz twarzy, wyglądał, jak gdyby spodziewał się jakiejś reakcji ze strony gościa.

— Więc cóż ci... Sforzowie? — zagadnął wreszcie Broniś.

— Oficjalnie skończyli się, gdy wygasła główna mediolańska linia tej rodziny.

Pozostały jednak liczne odgałęzienia, wywodzące się od młodszych synów Muzio Attendoli i ich następców. I tak mamy Sforzów z Pesaro, Santa Fiora, Bo-rgonovo, Caravaggio i do dziś istniejąca rodzina Sforza — Cesarini. Ale to nie to... nie to...

— A... królowa Bona? — Broniś uświadomił sobie, że pragnie jak najprędzej wydostać się z tego pokoju, nawiedzonego zdawałoby się krwawymi widmami wszystkich Sforzów, jacy kiedykolwiek żyli.

— Tak, królowa Bona... Tylko to już inna sprawa, dalszy etap interesującego nas problemu.

— W takim razie... — Broniś podniósł się — dziękuję za niezwykle ciekawy wieczór. Mnie jako historyka...

— Niechże pan poczeka, nie doszedłem jeszcze do sedna sprawy.

62

Broniś nie powstrzymał się od gestu zniecierpliwienia.

— Sam pan powiedział, że to dalszy etap i nie dziś... Zrobiło się późno.

— Dziś jeszcze musi się pan dowiedzieć! Po to przyszedłem.

Nie pozostawało więc nic innego, jak wysłuchać wszystkiego do końca.

— Tak, powinien pan wiedzieć. Jest pan Polakiem, a to dla mnie najlepsza rękojmią pewności. Główna mediolańska linia Sforzów nie wygasła. Zachował się mały odrostek, którego żywotna siła utrzymała przy życiu stary pień... O tu — na rysunku przedstawiającym fragment drzewa genealogicznego Sforzów palec intendenta wskazał syna Gian Galeazza. — Widzi pan? Francesco...

— Francesco? — Broniś odczytał daty urodzenia i śmierci ostatniego Sforzy z linii mediolańskiej. — Taki młody... dwadzieścia jeden lat...

— Dwadzieścia jeden lat — powtórzył jak echo intendencja. — Tak, rzeczywiście bardzo był młody w chwili śmierci ten Francesco Sforza, jedyny syn Gian Galeazza, prawowity następca książąt mediolańskich, nazywany przez współczesnych „książątkiem”, zamknięty w klasztorze przez Ludwika XII, wreszcie zdradziecko zamordowany...

— Czy są jakieś dokumenty? Czy wiadomo coś bliższego o jego życiu?

— Wiadomo. Do Francji towarzyszył mu nauczyciel, wierny sługa Sforzów. Gregorio da Spoleto. Wzmianki o tym preceptorze, jak najbardziej pochlebne, spotykamy u Ariosta i u innych pisarzy humanistów tej epoki. Biedne książątko, urodzeniem predestynowane do najwyższych godności, siłą obleczone w habit i wtłoczono w ciasne mury klasztornej więzienia. To postać godna Szekspira, nie uważa pan? W jej tragicznym losie więcej patosu niż w dziejach Orłątka, którego klatka była przynajmniej złocona...

63

— A jaki był według oceny współczesnych?

— Chłopiec niezwyklej urody i wielkiego rozumu. Synowie Lodovica Mora w porównaniu z nim to nędzne kreatury. Zmarli też bezpotomnie.

— Koniec wielkich rodów przeważnie bywał tragiczny. Walka o władzę nikomu nie wychodziła na zdrowie.

— Ród Sforzów nie skończył się na Francescu. Młody książę pozostawił syna... Niestety dziecko, by uchronić je przed prześladowaniem, nosiło inne nazwisko i dopiero potem, gdy dorosło, poznało swe pochodzenie.

— Francesco, jak pan mówił, zamknięty był w klasztorze, dziecko było więc nieprawe?

— W owych czasach to nie miało znaczenia. Nawet na królewskich dworach bastardi wychowywali się wraz z prawowitym potomstwem. Syn Francesca był Sforzą

i większe miał prawa do tronu niż synowie Lodovica.

— Co się z nim stało?

— Przeżył. Ożenił się. Pozostawił syna. Ten syn także miał dzieci i tak aż do naszych czasów.

— Więc istnieje drzewo genealogiczne tej gałęzi Sforzów?

— Istnieje. Jego najstarszą część pan odnalazł w tutejszym księgozbiorniku. Jakie szczęście, że nie wpadło w ręce markizy. Byłoby dla mnie stracone, a tak...

— Zbiera pan materiały do dziejów tej rodziny? Jeśli je pan kiedyś opublikuje, będzie istotnie naukowa sensacja. O tym pewnie nikt nie wie.

— Prawie nikt.

— I mówi pan, że rodzina ta jeszcze żyje? Czy w Italii?

— W Italii. Chcę być z panem szczery do końca. Potomkiem „książątka” w prostej linii jestem ja.

— Pan?

Teraz wszystko już jasne. To wariat, opętany manią wielkości, oślepiiony blaskiem potęgi książęcego rodu. W szpitalach dla umysłowo chorych pełno Napoleonów i Janów So-

64

bieskich. A więc przede wszystkim spokój, poza tym trzeba udawać, że się wszystkiemu wierzy, największym nawet bredniom.

— Dziękuję za zaufanie. — Broniś podniósł się, tym razem zdecydowany jak najprędzej wydostać się z niezdrowej atmosfery tego pokoju.

— Uważa mnie pan za niespełna rozumu? Rzeczywiście to, co powiedziałem, brzmi fantastycznie, niemniej jest prawdą. Wkrótce przedstawię dowody i pan uwierzy. To ja dziękuję i liczę na pańską pomoc... Dobranoc.

VII

Siedziała na pokrytej pleśnią kamiennej ławce, w najdalszym i najbardziej zacienionym kącie parku, w pobliżu muru. Płakała. Broniś słyszał, jak głośno wycierała nos i widział zaczerwienione oczy. Nie odwróciła się jednak, gdy ukazał się u wylotu alejki.

Nie wiedział, czy podejść bliżej i spytać o powód łez, czy też udawać, że nie dostrzega stanu, w jakim się znajduje. Po krótkim wahaniu zdecydował się na pierwsze wyjście i zagadnął:

— Czy mogę w czymś pomóc? Doprawdy, przykro mi, że pani płacze.

— On taki dobry — wyszlochała — a babcia tak go traktuje...

— Kto taki?

— No, on... Franco. Babcia nie ma prawa tak do niego mówić! (Nowy atak płaczu).

— Dlaczego na to pozwala? — krzyknęła nagle odrywając od oczu chusteczkę. — Zupełnie jak gdyby był jej służącym! Nie mogę tego znieść!

Broniś przysiadł na brzegu ławki.

— Pani kuzyn jest trochę dziwny — zaczął ostrożnie.

— Co to znaczy dziwny? — zaperzyła się. — Wspaniały człowiek! Gdyby nie on, dawno umarłabym z głodu. Pan nie wie...

5 — Renesansowa przygoda

65

— Słyszałem. Było pani ciężko w dzieciństwie.

— Naturalnie, że pan słyszał. — (Chlipnięcie) — O tym wszyscy wiedzą. Wyobrażam sobie, jak w swoim czasie cała Meldola trzęsła się od plotek. A więc tak, tak, było mi ciężko, nawet bardzo ciężko i gdyby nie Franco... to on nas utrzymywał. Zawdzięczam mu wszystko, wszystko!

— I mimo to przyjechała pani do babki?
— Musiałam, on tak chciał. Prosił mnie. Trzeba mu pomóc... nie ma nikogo...
— On i mnie prosił o pomoc, tylko...
— Wiem, wiem, boi się pan babci.
— Moja sytuacja jest trochę kłopotliwa, proszę to zrozumieć, a poza tym... pani kuzyn naprawdę taki... taki inny...
— Bo on jest inny, czyż pan tego nie widzi? Proszę mu się przyjrzeć, wygląda jak książkę.
— Owszem, wygląd ma rzeczywiście wspaniały. Pasowałby na renesansowego kondotiera, ale... Czy niczego pani nie zauważyła?
— O czym pan mówi?
— Usposobienie kuzyna... jego sposób bycia... czy ja wiem...
— Jest za dobry i za cierpliwy. Ja bym tak nie potrafiła.
— Czy jego zainteresowanie historią nic pani nie mówi?
— Historią? Jaką historią?
— No, historią, przeszłością, dziejami Italii.
— Chciał pan pewnie powiedzieć dziejami Sforzów?
— Właśnie.
— Ma po temu powody.
— Obawiam się...
— To zresztą są jego sprawy.
— Niewątpliwie. Czy sądzi pani, że wyciągałem go na zwierzenia? Nie wiem, czy kuzyn panią wtajemniczył. Jeśli o mnie chodzi, to wszystko wydaje mi się dość... niewiarygodne.

66

— Ma pan na myśli Sforzów?
— Widzi pani, kilka dni temu przyszedł do mnie późnym wieczorem. I poszliśmy do niego. U mnie nie chciał nic mówić. Opowiedział mi historię taką... taką nie bardzo prawdziwą...
— Zaręczam, że najprawdziwszą — przerwała. — Więc opowiedział panu?
— Tak, o Francescu Sforza, więźniu Ludwika XII, o tym, że miał syna...
— Więc opowiedział. Może to i lepiej, że pan już wie. Będzie nas więcej.
— Trudno mi w to uwierzyć. To chyba taka idee fixe pani kuzyna.
— Uważa go pan za wariata, co? Naturalnie, takie rzeczy nie mieszczą się panu w głowie. Poza biblioteką nic pan nie widzi. Zresztą babcia... Jeszcze pan gotów to wszystko jej powtórzyć...
— Nie jest pani zbyt uprzejma. Za kogo mnie pani ma?
— Więc jeżeli nie chce nam pan pomóc, to przynajmniej proszę milczeć.
— Obiecałem pomagać.
— Obiecał pan? Naprawdę? Tylko jeśli pan nie wierzy... A Franco sądził, że jako Polak...
— Co to ma do rzeczy?
— Ma. Syn Francesca Sforzy chował się w Polsce.
— W jaki sposób?
— To już Franco panu wyjaśni. Pomoże pan? On taki sam, bo cóż ja...
— Nie wiem, co prawda, na czym ta pomoc ma polegać, ale pomogę. Mówiłem już pani, że obiecałem.
— Tak, wiem. Polacy dotrzymują słowa, tak było i wtedy z synem Francesca Sforzy...

Tego popołudnia Broniś wchodził do biblioteki z zamętem w głowie.

67

Czyżby te majaczenia zrodzone w wyraźnie chorym mózgu miały być prawdą? Zdrowy rozsądek temu przeczył, ale z drugiej strony zapewnienia dziewczyny... Co prawda chwilami i ona nie wydawała się normalna, pochodziła przecież z ich rodziny i jak oni zarażona była „bakcylem Sforzów”, niemniej...

Przez kilka wieczorów oczekiwał ponownej wizyty niesamowitego intendenta.

Pierwszej nocy drzemał, jak się to mówi, „na jedno oko”, niepowołany gość jednak się nie zjawił, więc następnej nocy spał już lepiej.

Spotkali się dopiero po tygodniu. Przypadkowo. W westybulu.

— Ciekawy dziś program w telewizji — zauważył mijając Bronisia Franco Petracini.

— Przedwojenny film z Gretą Garbo. Przyjdzie pan?

— O której?

— O dziewiątej.

— Przyjdę.

Już przed dziewiątą zastał przed telewizorem dziewczynę i intendenta. Przy drzwiach, oparty o futrynę, stał Mauro. Broniś zajął swoje zwykłe miejsce i zaraz zaczął się film „Pani Walewska”, znany już z warszawskiego „Iluzjonu”. Mauro zdawał się jednym okiem oglądać Gretę Garbo, podczas gdy drugie nie schodziło z siedzącej przed telewizorem trójki.

Na szczęście głos dzwonka dobiegający z dalszych pokoi oderwał go od futryny.

Odszedł z ociąganiem.

— O północy — powiedział szybko po jego wyjściu intendent. — U mnie. Czekam.

Skrzypnęły drzwi i wsunęła się Agata. Przysiadła na najbliższym krześle i zastygła wpatrzona w szklany ekran. Do-siedziała do końca filmu.

Towarzystwo rozeszło się, życząc sobie dobrej nocy. Broniś z dziewczyną wspięli się na pierwsze piętro, intendent wy-

68

szedł na dwór. W otwartych drzwiach westybulu przez chwilę widać było żarzący się w ciemności koniec papierosa.

Broniś nie zapalał światła i uchylił żaluzji.

W parku było ciemno i duszno jak zwykle po upalnym dniu. Chwilami z oddalonej szosy niósł się warkot samochodu lub dolatywało szczekanie psa z któregoś z domów przytulonych do krańców miasteczka.

I wtedy po raz drugi usłyszał chrobot w ścianie za „Wniebowzięciem”. Chrobot, a potem w górze zapaliły się dwa światełka, jak gdyby na wysokości oczu Madonny.

Broniś jednym skokiem dopadł wyłącznika. W jasnym świetle pokój miał normalny wygląd. Dokoła panowała absolutna cisza. Tak minął może kwadrans. I nagle tupot. Ktoś biegł korytarzem. W szeroko otwartych drzwiach komnaty stanęła dziewczyna.

— Znowu! — wyrzuciła oglądając się za siebie. — Znowu to chrobotanie i światełka! Siedziałam w oknie, było ciemno... i ten Sforza ze ściany znowu na mnie patrzył... Boże, Boże!

— U pani też?

— Więc i u pana?

— Tak, u mnie było to samo. Ciekawe. Zaraz sprawdzę.

— Co pan chce zrobić?

— Zobaczyć, co się kryje za tym obrazem.

— Niech pan tego nie robi, boję się. Roześmiał się.

— Niech pani nie żartuje! Cóż mi się może stać? Fotel posłużył za stopień, a dalej łatwo już wejść na stojący

po obrazem stół. Twarz Bronisia znalazła się prawie na wysokości łagodnych oczu Wniebowziętej.

— Ta Madonna to też Bernardino Luini — szepnęła dziewczyna nerwowo. — Malarz Sforzów. Pewnie sportretował tak którąś z księżniczek. Czy widział pan w Mediolanie w kościele del Monastero Maggiore portret Hipolity Sforza?

— Nie byłem w Mediolanie — Broniś opukiwał ramę obrazu.

69

— To jego arcydzieło. A zna pan „Judytę”?

— Z reprodukcji. — Broniś wodził palcem po otaczającej głowę Madonny aureoli.

— Niechże pan już zejdzie!

— Zaraz.

— Jeszcze coś się stanie. Tak się boję! Oni są zdolni do wszystkiego...

— Zapomina pani, że „ich” już nie ma, pozostały tylko portrety.

— Nie tylko! — znowu się wzdrygnęła. — Musimy już iść, zaraz północ.

— A rzeczywiście. Chodźmy.

Dom cały spał. Jak dwa cienie przemknęli na drugie piętro. Zza nie domkniętych drzwi sączyła się smuga światła. Minęli przedpokój, gabinet i weszli do pustej sypialni. Gdzie był gospodarz? Zjawił się dopiero po mniej więcej dziesięciu minutach.

— Przepraszam, że nie udało mi się wrócić wcześniej, ktoś mnie spłoszył.

— Och, Franco, znowu były te światełka... i chrobotanie... a u pana to samo...

— Znowu? — zainteresował się intendent.

Broniś pokrótce zdał sprawę z zaszłych wypadków i opisał badanie, jakiemu poddał obraz Luiniego. Wreszcie, by przerwać panujące milczenie, zaczął:

— Panna Maria wspomniała mi...

— Tak — przerwała dziewczyna — wyobraź sobie, wziął cię za wariata! Nie wierzy ani jednemu słowu z tego, co powiedziałeś! Przekonaj go!

Wesoły uśmiech odmłodził i upiększył poważną twarz intendenta.

— Wcale mu się nie dziwię! — wykrzyknął. — Gdybym był na jego miejscu, też pewnie miałbym zastrzeżenia.

70

— Opowiedz mi o Francescu Sforzy i jego dziecku... no i jak to było w Polsce.

— Tak, proszę mi opowiedzieć, a jeżeli są jakieś dokumenty...

— Są, są. Posiadam między innymi nigdzie dotąd nie publikowane listy królowej Bony.

— Bony?

— Tak. Bona Sforza miała zaledwie pięć lat, gdy jej brata wywieziono do Francji. W jej pamięci zachował się jedynie błydy obraz „książątka”, żywego, ładnego chłopca, który był od niej tylko o trzy lata starszy. Wiadomość o jego śmierci zastała ją wraz z matką w Bari. Był to rok 1512. Bona była wtedy śliczną osiemnastoletnią dziewczyną, o oryginalnej urodzie: blondynka z czarnymi oczami. Nic też dziwnego, że powodzenie miała szalone. Kochał się w niej cały dwór neapo-litański, a jakiś anonimowy autor uczynił ją nawet bohaterką hiszpańskiego romansu. Bonita — tak nazywała ją matka, Izabella Aragońska — jest w owym czasie po trosze Hiszpanką, bowiem dynastia Aragonów, panująca w Neapolu, szerzyła w Italii hiszpańską modę w obyczajach i literaturze. Jeśli to pana interesuje jako bibliotekarza, znajdzie pan tę publikację w Bibliotece Narodowej w Neapolu. W dwóch egzemplarzach. Jeden z 1519 roku wydany w Salamance, drugi z 1598 roku z Antwerpii. Pierwsze zaś wydanie ukazało się w Walencji w 1513 roku. Tytuł hiszpańskiego oryginału brzmi: „Cue-stión de amor”, a w jego bohaterce,

Belizenie, współcześni bez trudu odgadywali Bonę. Ciekawe tylko i dotąd nie wyjaśnione, kogo autor ukrył pod imieniem Flamiana, młodzieńca nieszczęśliwie zakochanego w Belizenie.

Czytałem to dzieło, znam bowiem trochę hiszpański. Pełno tam opisów polowań, zabaw i turniejów; sielankowe sceny przeplatają nudne dziś rozważania na temat cierpień miłosnych, naszpikowane mitologią grecką i rzymską.

W tym czasie Izabella Aragońska rozglądała się za mężem

71

dla córki. Chodziło naturalnie o partię odpowiadającą jej urodzeniem i koligacjami. Los jednak spełnił te życzenia z nawiązką, gdyż w 1517 roku Bona poślubiła Zygmunta I Jagiellona, króla Polski. O tak wspaniałym mariażu nie marzyła nawet pozbawiona książęcej korony wdowa po Janie Galeazzo Sforzy. I oto Bona, po ślubie per procura w Bari, zjeżdża na Wawel. Teraz nareszcie może zbadać okoliczności towarzyszące tajemniczej śmierci jedyne go brata. Ma po temu środki. W tym celu do Francji zostaje wyprawiony skromny ksiądz z Bari, przybyły do Krakowa w orszaku Bony.

Zachowało się sześć listów, które ten jakiś nieznany bliżej Anselmo — bo tak się podpisywał — przesłał królowej w interesującej ją sprawie.

— Ma pan te listy? — nie wytrzymał Broniś.

— Mam. Zaraz odczytam fragmenty dotyczące „książątka”. Tekst oryginału dla pana może trochę za trudny, tym bardziej że ów ksiądz Anselmo nie był zbyt biegły w piśmie i jego włoszczyzna nie zawsze jest jasna. Oto one.

Z kasy pancерnej zajmującej jeden kąt sypialni intendent wydobyl grubą teczkę.

— To są kopie — pokazał plik kartek. — Oryginały znajdują się w Banku Neapolitańskim we Florencji. Mam tam sejf. Na moje nazwisko.

Panna Nebioli wpatrywała się w kuzyna jak w tęczę.

— Pierwszy list z Paryża datowany 20 listopada 1518 roku, a więc sześć lat po śmierci brata Bony, nie zawiera nic specjalnie interesującego. Anselmo donosi o szczęśliwym przybyciu do stolicy Francji, o spotkaniu rodaka, jakiegoś brata Hieronima, fra Girolamo, franciszkanina, pisze ponadto, że król wraz z dworem przebywa w Blois. Drugi z grudnia jest już nieco ciekawszy. Pozwolicie, że odczytam kawałek „przełożony” na współczesną włoszczyznę:

...Fra Girolamo zaprowadził mnie do Mes ser Bernarda, królewskiego lekarza.

Człowiek to skryty, małomówny, ale widać,

72

że brat Hieronim z nim zaprzyjaźniony, gdyż doktor przyjął mnie bardzo uprzejmie. Nie od razu mogłem zadać potrzebne pytania; zauważyłem, że unika interesującego nas tematu; gdy zaczynałem mówić o młodym księciu, zbywał mnie byle jaką uwagą. Nie mogłem nalegać, by płosząc ptaszka nie popsuć sprawy. Fra Girolamo jednak zapewnia, że medykowi wkrótce język się rozwiąże.

— Chciałbym zobaczyć oryginał — Broniś dotknął teczki, na której było wypisane czerwonym atramentem „Notatki”.

— Zobacz pan w swoim czasie, jak i inne, jeszcze ciekawsze dokumenty.

Broniś nie odrywał oczu od cennej teczki.

— A teraz dalej, trzeci list, z 29 grudnia:

... Opowiedział mi, jak król obiecywał matce ożenić go ze swoją córką, czym do reszty omamił biedną kobietę, i jak potem zamknął go w Mar. (Marmoutier) w Pikardii, w diecezji Tours. Cały dwór żałował, że tak śliczny i obiecujący młodzieniec ma przywdziać habit, król jednak nie zmienił decyzji... A potem jeszcze: ...Nie wiem, w jaki sposób fra Girolamo skłonił lekarza do zwierzeń, w

każdym razie przedstawił mnie jako zaufanego mediolańskiego domu i medyk, gdy się już rozgadał, powiedział te słowa: ^Szkoda, że Madonna Izabella lepiej nie pilnowała syna, klimat Pikardii wyraźnie mu nie służył«. Dalej dowiedziałem się, jak to ów messer Bernardo kilkakrotnie był wzywany do młodego księcia, jeszcze gdy król przebywał w Loches i jak za każdym razem zdrowie jego słabszym znajdował.

Widocznie Bona przez umyślnego przesłała nowe instrukcje, gdyż w liście czwartym, jaki posiadam, z końca lutego 1519 roku Anselmo wspomina o jakiejś Damę Marguerite, wtajemniczonej jakoby w krótki i jedyny romans „Książątka”. Aż do końca nie podaje jednak nazwiska panny, która odpłacała równym uczuciem za afekt biednego więźnia. Cytuję Anzelma: ...Damę Marguerite po niejakich targach przyznała się, że wpuszczała księcia na pokoje siostrzenicy opata, która w od-

73
wiedziny do wuja w owym czasie przyjechała... Dalej idą mniej ważne szczegóły, opisujące pobyt wysłannika Bony w Tours i Marmoutier.

Dwa ostatnie listy, oba z kwietnia, pisane w odstępie dwóch tygodni, bogatsze już są w szczegóły. List piąty: ...Gdy więc księżę tak nieszczęśliwie spadł z konia, że sztuka messer Bernarda nie potrafiła zatrzymać w nim życia, siostrzenica opata opuściła klasztor. Udało mi się dowiedzieć, że osiadła w małej posiadłości pod Blois pozostałej jej po rodzicach i, jak na miejscu zbadałem, mieszkała tam trzy lata mając przy sobie dziecko. I list następny: ...Damę Marguerite twierdzi, że uciekła w obawie przed siepaczami księcia Maksymiliana, który zdaje się przewąchał całą intrygę. Odtąd ukrywa się wraz z dzieckiem w klasztorze Dominikanek w Orleanie. Obiecała za umówioną sumę ułatwić mi dostęp do pani. Jeżeli rzeczywiście jest tak, jak utrzymuje, postąpię zgodnie z instrukcją.

Z tej samej teczki intendent wyjął następne kartki.

— Tyle jedna partia dokumentów — powiedział, spoglądając kolejno na Bronisia i na dziewczynę. A oto listy Bony do matki, łatwo się bowiem domyślić, że do roku 1524, to jest dopóki żyła Izabella, istniała ożywiona korespondencja między Bari a Krakowem. Już w lipcu 1519 roku Bona informuje matkę o doniosłym dla rodziny odkryciu: Francesco zostawił syna, po-grobowca, niemniej prawdziwego Sforzę. Brak natomiast odpowiedzi matki, widocznie listy Izabelli pozostały w Krakowie i należy ich szukać w którymś z archiwum polskich.

— Wiele klęsk spadło na nasz kraj od tego czasu — zauważył Broniś. — Najazdy, rozbiory, powstania, a ta ostatnia wojna... Zginęło tyle skarbów kultury narodowej...

— Może kiedyś uda mi się odszukać te pisma. Dla mnie to bezcenny dokument. No, ale chwilowo wracajmy do listów Bony. Tu mam najważniejszą wiadomość w tej sprawie, jaką przesłała matce, z 18 października: ...Anna błaga mnie o pomoc, ludzie Maksymiliana krążą wokół klasztoru, przeczuwa

74

ich zbrodnicze zamiary wobec dziecka. Na szczęście Anselmo wszystkim się zajmie, posłałam już 500 dukatów na ten cel. Niech opłaci, kogo trzeba, niech sypie złotem, aby tylko szczęśliwie wydostać dziecko. Matka nie opuści już dominikanek. Obiecałam donosić jej regularnie o chłopcu.

— Więc wysłannikowi Bony udało się wywieźć dziecko? — Broniś patrzył wyczekująco na intendenta. — A jeżeli był nieuczciwy i podstawił innego chłopca?

— Bardzo słuszna uwaga. Bona też liczyła się z tą możliwością. Inny więc wysłannik, tym razem Polak, zupełnie nie wtajemniczony w sprawę, woził do Anny,

czyli matki chłopca, miniaturę tego ostatniego, wykonaną już w Krakowie przez włoskiego artystę. Wszystko to Bona opisała matce. Ów Polak, wysłany do Orleanu z miniaturą, nazywał się Maciej Korycki. Anna otrzymawszy portrecik syna potwierdziła jego tożsamość. Wszystko to mam tutaj — uderzył dłonią w teczkę — a oryginały, jak mówiłem, bezpieczne w bankowym sejfie.

— Jeśli tak, to rzeczywiście dokonał pan nadzwyczajnego odkrycia.

— Niczego nie odkryłem, wiedziałem o tym od początku, prawie od urodzenia, tak samo jak mój ojciec, dziad, pradziad i tak dalej.

— I nie ma pan żadnych wątpliwości?

— Żadnych. Nie można mieć wątpliwości, jeśli istnieje ciągłość rodzinnej tradycji popartej dokumentami, ponadto zapiski i inne równie niezbite dowody.

— Proszę coś opowiedzieć o tym dziecku. Wychowało się więc w Krakowie?

— Tak. Bonie udało się uprowadzić bratanka prawie pod nosem siepaczy. Zresztą jeden z nich, przekupiony przez Anzelma ogromną na owe czasy sumą stu dukatów, wyśpiewał prawdę. Postawieni byli na straży klasztoru rzeczywiście przez synów Ludwika Mora i dawali baczenie, aby nikt bez ich wiedzy nie opuścił murów, których strzegli. Jak się po-

75

wiodło Anzelmowi, jakiego fortelu użył i jak to przeprowadził, może stanowić rozdział sensacyjnej powieści a la Dumas i kiedyś to wam opowiem. W każdym razie należy przypuszczać, że Maksymilian zgubił ślad chłopca, którego istnienie wisiało nad nim jak groźba. Sześciolatek Guido był bezpieczny pod potężną opieką polskiej monarchini. Przez cały czas przebywał zresztą w najbliższym otoczeniu Bony, jako przybyły z Italii chrześniak jednej z jej dam, donny Laury Arcamone. Został potem pażem przy osobie króla Zygmunta, otrzymał staranne wychowanie i wykształcenie. Naturalnie po polsku mówił gładko jak Polak. Świadczą o tym trzy listy, jakie posiadam. Ale to już innym razem, zresztą pan to lepiej ode mnie oceni.

Bronisiowi zaczynało się robić gorąco z wrażenia. Do licha, jeżeli to wszystko prawda, jeżeli ten niezwykle intendent udostępni mu swe „bankowe archiwum” i w dodatku upoważni do opublikowania choć części zawartej w nim korespondencji, może to się stać nie lada wydarzeniem naukowym. Warto by przy tym pogrzebać i w polskich archiwach, a nuż coś się tam zachowało, co uszło dotąd uwagi badaczy, a co dopiero w świetle tych oto rewelacji nabierze właściwego znaczenia?

Jeżeli przy tym wykroi sobie jakiś fascynujący temat pracy doktorskiej... A

niedawno żałował, że tu przyjechał, że traci czas, narzekał na brak wrażeń.

Ślepy, ślepy i głupi! Okazało się bowiem, że wystarczy rękę wyciągnąć! Trzeba tylko umieć patrzeć i... mieć odrobinę szczęścia.

Te gorączkowe myśli przerwał niski głos Franca Petracini.

— Biedna Izabella Aragońska, która listy swe podpisywała „Jedyna w nieszczęściu”, nigdy nie ujrzała wnuka. Umarła pełna nadziei, że potomek Sforzów odzyska tron dziada i wróci do Mediolanu na zamek, którego sale zdobiły freski Leonarda. Inne zupełnie były jednak jego losy. Bona bała się wysłać bratanka do Italii, lękała się nie tylko Maksymiliana i jego brata, ale i króla francuskiego, do którego mogła dojść wiadomość o istnieniu tego odrostka Sforzów. Zbyt wiele

76

osób było wtajemniczonych, a zbir w torturach wyznałby wszystko, więcej nawet, niż się spodziewano. Guido więc chował się w Polsce razem z młodszymi od siebie dziećmi Bony, która już w 1519 roku urodziła córkę, nazwaną na cześć babki Izabellą, a w rok potem następcę tronu, Zygmunta Augusta. Potem przyszły na

świat jeszcze trzy córki: Zofia, Anna i Katarzyna i na końcu w roku 1527 Olbracht, urodzony przedwcześnie i zmarły tego samego dnia. Młody Sforza miał więc okazałą gromadkę królewskich kuzynów.

— Podziwiam pańską erudycję. A narzekał pan na brak wykształcenia, mówił o nieznajomości metod naukowych.

— Braki te odczuwam coraz bardziej, a to, co wiem, nie powinno pana dziwić. Nie ma to nic wspólnego z erudycją, gdyż każdy przeważnie zna swoje rodzinne dzieje. Rodzinne dzieje! Bronisia aż zatkało. Niech go gęś kopnie z rodzinnymi dziejami! Ale ma rację, jeżeli jest naprawdę Sforzą!

— Guido odznaczył się w rycerskim rzemiośle, doszedł też do godności i urzędów na dworze, lecz mając dwadzieścia sześć lat naraził się królowej, która kochała go prawie jak własnego syna, widząc w nim przedstawiciela swojej włoskiej dynastii.

— Cóż takiego zrobił?

— Zakochał się w pannie nierównej mu urodzeniem, córce włoskiego ogrodnika, mistrza sprowadzonego z Italii, by na stokach wawelskiego wzgórza założył wspaniałe ogrody. Królowa przebijająca w księżniczkach w poszukiwaniu żony dla bratanka, została postawiona przed faktem dokonany: Guido pewien zakazu, ożenił się potajemnie. Gniew Bony był straszny. Ogródnik wtrącony do lochu przeklął córkę, a młoda para musiała uchodzić do Włoch.

— Czy Guido wiedział., kim jest?

77

- Wiedział. Bona upoważniła Anselma, tego samego księdza, który przywiózł go do Polski, by wyjawiał prawdę, gdy chłopiec dojdzie do pełnoletności. Kazała jednak powiedzieć, by nigdy przed nią się nie zdradził, że wie, co ich łączy. Zawiodła się na nim bardzo. Przyzwyczajona do kierowania ludźmi, pierwszy raz natrafiła na opór, na nieposłuszeństwo. Nie mogła tego przebaczyć. Wymazała bratanka z pamięci, a przypomniała o nim dopiero przed śmiercią, już w Bari, sporządzając testament.

— Jakie nazwisko nosił chłopiec? Nie nazywał się przecież Sforza...

— Ma pan rację, nikt nie wiedział o jego związku z rodziną książąt mediolańskich. Czy pamięta pan założyciela rodu, Muzia Attendola? Niektórzy historycy utrzymują, że był synem włościanina... Otóż żona jego, Eliza, była z domu Petra-cini. Tak też Bona nazwała chłopca: Guido Petracini i tak już zostało...

VIII

— Dziękuję. — Broniś odstawił talerz z nie dojedzonym makaronem.

— Cóż to, nie smakuje? — Agata zmrużyła oczy i podeszła do stołu.

— Nie, doskonałe, ale upał...

Zbierając talerze Agata wymruczała niepochlebne zdanie o swoim stołowniku, po czym wyszła, głośno zamykając drzwi.

W oczekiwaniu na drugie danie Broniś wytarł spoconą twarz i popił wody mineralnej. Po mniej więcej piętnastu minutach do jadalni weszła młoda, pulchna dziewczyna w białym fartuszkach na czarnej sukni i w kokietyjnym cze-

78

pęczku na równie kruczonych włosach. Niosła półmisek. Za nią kroczyła Agata z deserem.

— Nina, druga pokojowa— przedstawiła sucho młodszą koleżankę.

Broniś skinął głową i obejrzał „drugą pokojową”, która przechodząc, otarła się o niego wydatnym biustem.

Agata z ponurą jak zwykle twarzą dozorowała zmiany talerzy i podawania półmiska. Broniś jadł szybko. Spieszył do miasteczka. Od paru dni silny wiatr chłodził nieco rozpalone powietrze i można było poruszać się bez przykrości nawet w porze sjeści.

Mijając pocztę wrzucił list do ciotki Zuzanny i poszedł dalej pustymi o tej porze dnia ulicami. Gdziekolwiek zza opuszczonych żaluzji dolatywały odgłosy spóźnionego obiadu, a fale kuchennego zapachu owijały przechodnia.

Miał niecierpiący zwłoki interes do doktora Davitti. Poranna poczta przyniosła list od panny Agnieszki, która błagała, by się dowiedział o pewien włoski specyfik na wątrobę dla jej chorej matki. Niestety, doktora nie zastał. Wyjechał rano na ważną konsultację do Forli. Pani Wanda oczekiwała powrotu męża dopiero wieczorem.

— Proszę przyjść na kolację, zrobi nam pan prawdziwą przyjemność — dodała — a mąż wszystko, co trzeba, objaśni.

— Dziękuję, jeśli można, przyjdę po kolacji — Broniś spojrzał wymownie na panią domu. — Obawiam się narazić Agacie. Już dostatecznie krzywo na mnie patrzy, a teraz ma jeszcze sprzymierzeńca. Nowa pokojówka.

— Równie groźna?

— Inny gatunek. Tak zwany kociak. Nie przepadam — jeśli mam być szczerzy.

— Kociak? Doskonale znam ten typ. W Warszawie zawsze wymyślą coś takiego. Świetnie! Kociak!

Wracając spotkał w parku pannę Nebioli.

79

— Widział już pan tę... Ninę? — zatrzymała go. — Że też babcia zgodziła się...

— A co takiego? Widziałem.

— Podoba się panu? Siostrzenica kucharki. Kucharka potrzebuje pomocy i uprosiła babcię... Okropna!

Już od pierwszego dnia Nina zaczęła próbować siły swych wdzięków na męskich mieszkańcach Willi Attendola. Wracając po kolacji do siebie, Broniś zastał ją w swoim pokoju, grzebiącą w szafie.

— Odniosłam czystą bieliznę — poinformowała. — W jednej koszuli brakowało guzika. Przyszyłam.

— O, dziękuję.

— Bardzo lubię zajmować się męską bielizną. A pan taki miły... Biondino...

I po dłuższej chwili milczenia:

— Kiedy panu posłać łóżko? O jedenastej nie będzie za późno?

— Nie będzie za późno.

Obrzuciła go obrażonym spojrzeniem i wyszła wyraźnie nadąsana.

Broniś pokręcił się chwilę, zmienił koszulę, po czym po raz drugi tego dnia wyruszył do miasteczka.

Doktor na szczęście był już w domu i wieczór zapowiadał się przyjemnie, jak zwykle u państwa Davittich. Pani Wanda właśnie podała chłodzący cocktail własnego pomysłu, gdy zadzwonił telefon.

— To z Forli — zerwał się doktor — od tego pacjenta... Gdy po chwili wyszedł z gabinetu, miał dziwny wyraz twarzy.

— Jak się ma pacjent? — spytała pani Wanda.

— To nie pacjent. Telefonowano z Willi Attendola. Muszę jechać...

— Czy ktoś zachorował? — zaniepokoił się Broniś.

— Dzwonił intendent... Pani markiza dostała ataku serca...

80

Dziwne. Serce miała zawsze mocne jak u konia. Trudno. Jadę. Wybaczcie. Po chwili wsiadł do wozu z walizką w rękę.

— Aldo bardzo już zmęczony — zauważyła pani Wanda z troską. — Tyle ma ostatnio pracy. We wrześniu wyjedziemy na wakacje...

Doktor wrócił po godzinie.

— Coś się tam musiało wydarzyć — powiedział siadając w ulubionym fotelu. — Jakaś rodzinna scena czy coś w tym rodzaju. Markiza w okropnym stanie, jeszcze jej takiej nie widziałem. Wnuczka nie opuszcza pokoju babki. Ładna dziewczyna, owszem, ale niepodobna do matki, zupełnie inny typ urody. Z wprawą opiekuje się chorą. I ten intendent... Pewnie się pobiorą, jak pan myśli?

— Kto?

— No, intendent i wnuczka markizy. Bardzo w niej zakochany, to widać.

— Czy stan markizy... groźny?

— Nie, potrzebuje jedynie spokoju. Bardzo się czymś zdenerwowała czy przejęła. Trudno się czegośkolwiek dowiedzieć w tym domu, ale tak wywnioskowałem...

Broniś wchodził w bramę parkową z lekkim niepokojem. Co się właściwie stało? Co potrafiło wyprowadzić z równowagi chłodną wyniosłość markizy, zburzyć jej pewność siebie, opanowanie? A ci młodzi? Zakochani... Chyba tak jest, jak mówi doktor. Są co prawda kuzynami, ale pokrewieństwo pewnie dalekie albo i żadne. Jedenasta, ale w kilku oknach parteru przez szpary w żaluzji błyszczało światło. Nie spotkawszy nikogo z domowników dostał się na pierwsze piętro. W komnacie panował przyjemny chłód. Gdy zapalił lampę, od razu zorientował się, że ktoś tu był podczas jego nieobecności. Posłane na noc łoże świadczyło o bytności pokojówki, ale poprzekładane w szufladzie drobiazgi?...Z niepokojem otworzył teczkę na listy. Tam

8 — Renesansowa przygoda

81

też ktoś grzebał i nie potrafił, czy nie zdążył, ułożyć wszystkiego w poprzednim porządku.

Noc minęła w spokoju. Przypuszczalnie markiza czuła się lepiej. Rano Nina wniosła śniadanie. Widać Agata wycofała się całkowicie z obsługi gościa. „Druga pokojowa” robiła wrażenie obrażonej, postawiła tacę na stole, zaanonsowała „śniadanie” i wyszła. Broniś zaledwie zdążył podziękować. Ale tak było lepiej. O dziesiątej w bibliotece zjawił się intendent. Usiadł ciężko po przeciwnej stronie wielkiego stołu, pobawił się globusem i wreszcie powiedział:

— Wczoraj pani markiza dostała ataku serca. Z mojej winy. Bardzo mi przykro.

— Jak się teraz czuje?

— Lepiej, a nawet chyba dobrze. Wzywałem lekarza. Zrobił zastrzyk, nakazał spokój. Powinna kilka dni poleżeć. Widzi pan... moja obecność działa jej na nerwy, ale nie mogę wyjechać. Nie zostawię Marii. Otoczona jest wrogami...

— Panna Maria? Przecież jest u babki.

— Ta babka pozwoliła jej żyć w nędzy. U boku ojca łajdaka. A teraz... Służba szpieguje każdy jej krok. Chcę pana ostrzec przed tą nową... To kreatura Maura, a Mauro duszą i ciałem zaprzędany markizie. Ech, straszne to wszystko, ohydne. Gdyby nie Maria, dawno rzuciłbym te strony... ale nie mogę, nie mogę...

— Przepraszam, co łączy pana z markizą?

— Jak to? Nie wie pan? Jestem jej intendentem...

— Widząc pana trudno uwierzyć...

— W co? W moje wysokie stanowisko? — zaśmiał się gorzko. — Byłem sierotą, jak Maria, bez grosza. Markiza mnie wychowała. Ani na chwilę nie wypuściła z ręki

mojego losu. A twarda to była ręka, może mi pan wierzyć...

— W takim razie Sforzowie...

— Co Sforzowie? Sądzi pan, że pozostawili mi swoje ma-
82

jątki. A może słynne „sumy neapolitanskie”? Od kilkuset lat szukamy, obowiązek ten przechodzi w naszej rodzinie z ojca na syna — i nic... A to gdzieś tu musi być, tutaj... — Powiódł wzrokiem po zastawionych szafami ścianach. — Tak, tu. — Spojrzał na łaciński napis pod sufitem: — Cokolwiek czynisz, czyń rozważnie i przewiduj koniec — przeczytał głośno. — To nasza dewiza. Ale cóż z tego, jak dotąd jestem nędzarzem.

— Może pan pracować, zarabiać. Istnieją różne możliwości.

— Nie mogę stąd odejść, rozumie pan? Muszę pilnować, by ktoś obcy nie wykradł tajemnicy. Ta banda już coś prze-wąchuje. Są za głupi, by dojść prawdy, to ignoranci, dla których przeszłość i historia są martwą literą, ale i oni chciwi na pieniądze. Zresztą nie dałbym głowy, czy ktoś nie stoi za takim na przykład Mauro.

— Jeśli udowodni pan swe pochodzenie...

— Komu mam udowodnić? Markizie? Doskonale o tym wie i nie chce dopuścić... Dlatego chowała mnie w poniżeniu, jak sługę... żeby tylko zdeptać wszelką dumę, która we mnie mogłaby się odrodzić. Może to i niepięknie tak mówić o swej opiekunce, już raz zresztą jej przebaczyłem ze względu na Marię, ale trudno zmienić duszę Sforzów.

— A czy nie próbował pan gry w otwarte karty?

— Wszystkiego próbowałem, ale nierówni z nas partnerzy. Ona zna mnie od dziecka, trzyma w ręku, jest zimna i podstępna. A ja... niech pan nie zapomina o Marii — dodał cicho.

— Czy panna Maria jest przywiązana do babki?

— Słyszała o niej wiele złego, ojciec nie oszczędzał teściowej, poza tym ludzie gadali... Przyjechała jednak pełna najlepszych chęci. Babce widać zależy na przywiązaniu wnuczki, stara się ją pozyskać, a nawet zaczyna ją pewnie kochać na swój sposób. Maria teraz nie opuszcza jej w chorobie.

Broniś dałby wiele, by się dowiedzieć przyczyny ataku ser-
83

ca markizy, dotąd zdrowej „jak koń” według wyrażenia doktora Davitti. Nie wypadało jednak pytać.

Intendent nie odchodził. Bawił się globusem i wyglądało, że miał coś jeszcze do powiedzenia.

— Chciałbym pana uprzedzić — zaczął po chwili wahające — Markiza nikomu nie ufa... pan jeden jako nie zainteresowany, obcy całej sprawie...

— Słucham. — Broniś spojrzał prosto w chmurne oczy gościa.

— Prosiłbym, by pan się nie zdradził, że wie, o co chodzi, że zna mój sekret...

— Znam pana sekret, to prawda, niemniej w dalszym ciągu nie wiem, o co chodzi.

— To nic, dowie się pan wszystkiego. Mam do pana zaufanie jako do Polaka.

Mówiłem już panu, że wtedy ten odtrącony przez Bonę Guido Petracini, na dobrowolnym wygnaniu, sam, bez nazwiska, bez fortuny, bez możliwych protektorów, otoczony wrogami... Jeden tylko człowiek okazał mu serce i pomógł, był przyjacielem, ów Maciej Korycki, zwany z włoska przez współczesnych kronikarzy Matteo Corizio. Tylko on... Więc i pan dla mnie... Szukam przyjaciół, bo czuję, że sam niewiele mogę zrobić. Wie pan, ja jednak jestem słaby. Teraz też sumienie wyrzuca mi... Stara, chora... Moi przodkowie nie miewali podobnych skrupułów!

Sztylet najemnego zbira przecinał nie takie konflikty, a szczypta „białego proszku” wystarczała, by ułagodzić najkrwawsze nawet waśnie. To byli ludzie wspaniali, silni, pozbawieni cienia hipokryzji; nie obawiali się pokazać światu najczarniejszych stron swego charakteru, nie wstydzili się nawet zbrodni. My przy nich to karły.

— No wie pan!... Jeżeli to mają być bohaterowie... Przecież pan nie myśli czegoś podobnego na serio? Zresztą takich teorii nie trzeba szukać aż w Renesansie. O ile pamiętam, gło-

84

sili je dobrze nam znani „nadludzie”, a biedny Ludwik Moro wiele mógłby się od nich nauczyć.

— Wiem, wiem, a mimo wszystko zazdroszczę Ludwikowi Moro.

— Ależ czego?

— Odwagi czynienia zła, jawnie i otwarcie, bez maski. Na mnie ciąży już cywilizowana moralność dwudziestego wieku i raczej dam się skrzywdzić... Na jednym tylko punkcie będę nieugięty: nie pozwolę skrzywdzić Marii.

— Domyślam się, że u podstaw całego... nazwijmy to nieporozumienia leży testament królowej Bony. Czy tak?

— Tak. Słyszał pan zapewne o „sumach neapolitańskich”?

— Słyszałem.

— Walka toczy się dalej. I chociaż wygaśli oficjalni spadkobiercy, choć nie ma już Jagiellonów ani Wazów, pozostałem ja.

— Chyba to już nieaktualne. Przecież nie ma tych pieniędzy. Na kim chce pan dochodzić swych praw?

Intendent podniósł rękę.

— Testament Bony jest znany wszystkim historykom polskim i włoskim. Od razu jednak było wiadomo, że jest sfałszowany. Istnieje poza tym kodycył... Mówiłem już, na łożu śmierci Bona przypomniła o bratanku... Osobny kodycył dołączony do testamentu regulował sytuację Guida Petracini uznając jego prawa do sukcesji Sforzów. Kodycył ten zaginął. Wielu osobom zależało na zniszczeniu tego dokumentu, na zatarciu jedyne go śladu, jaki prowadził do ocalałej z pożogi ostatniej odrośli wielkiego rodu. Można by przypuszczać, że im się to udało, gdyby nie fakt, że do dziś nie ujawniono istnienia tego kodycyłu. Jest więc ciągle nadzieja...

— Rzeczywiście tego rodzaju odkrycia nikt by nie trzymał pod korcem. Byłaby to nie lada sensacja dla historyków. Aha, chciałem pana jeszcze zapytać, czy to pan włożył coś do tej czarnej teczki? — Broniś postanowił działać przez zaskocze-

85

nie, uznał zresztą ten moment za doskonały do tego rodzaju rozmowy, pragnął przy tym nareszcie zaspokoić słuszną ciekawość.

— Do teczki? — Intendent rozwiązał tasiemki. — Nie rozumiem, przecież nic tu nie ma.

— Teraz nie ma, ale niedawno markiza wyjęła stąd jakiś papier. Widziałem. Nawet mi podziękowała, myśląc, że to ja, ale nic tam nie kładłem, więc...

Wiadomość ta wyraźnie zdenerwowała gościa.

— Biblioteki nie zamyka się na klucz — powiedział krążąc niespokojnie między stołem a szafami. — Markiza wie, że służbie nic po książkach, a nikt inny przecież tu nie zagląda. Sam na noc zamykam drzwi wejściowe i obchodzę dom.

— Szkoda, że nie ma psa, łatwo przecież zakraść się do parku.

— Markiza nie lubi zwierząt i biedny byłby pies skazany na taką panią. Zresztą

Mauro zamyka na noc bramę, a mur wysoki.

— Są tu skarby sztuki...

— Wszystko ubezpieczone na wielkie sumy i nikt się nie połakomi na rzeczy, których nie mógłby spieniężyć. Ponadto Meldola to zapadły ką, położony z dala od utartych szlaków turystycznych.

— Ale o tej teczce wiedzieliśmy chyba tylko my dwaj, prawda?

— Tak mi się wydaje. Zaraz, wspomniałem kiedyś Marii...

— Może pan spyta przy okazji. Pragnąłbym bardzo wyświecić tę zagadkę.

Biblioteka jest moim miejscem pracy i wolałbym wiedzieć...

— Dobrze, spytam ją, koniecznie. A teraz pójdę, do widzenia panu.

Tego samego dnia po południu Bronisia czekała jeszcze jedna wizyta. Mniej więcej o piątej do biblioteki wsunął się Mauro. Mruknął coś po swojemu, stanął przy drzwiach i ob-

86

rzucił salę ponurym wzrokiem. Dopiero dokończywszy tej inspekcji „zauważył” gospodarza.

— Pani markiza prosi — powiedział jak zawsze burkliwie. — Jest na dole, u siebie.

Broniś odłożył do pudła wypełnioną kartkę katalogową i wstał.

Mauro prowadził go znaną już amfiladą parterowych salonów. Gdy minęli „żółty salon”, służący stanął.

— To tu — wskazał drzwi usuwając się na bok. Na pukanie wyszła panna Nebioli.

— Babcia chce pana widzieć — powiedziała cicho — tylko nie wolno jej długo rozmawiać, doktor zalecił spokój.

Broniś skinął głową.

Sypialnia pani domu, ogromny, narożny pokój o czterech oknach, utrzymana była w tonach błękitnych. Niegdyś ściany tej komnaty obciążnięto niebieskim atłasem, którego wyblakłe resztki pozostały już tylko na jednej ścianie, gdzie stało również niskie łóżko z białego drzewa. Pozostałe ściany pomalowano na bładny błękit imitujący obicia. Wszystkie meble były białe, a zajmujący środek pokoju dywan, wytarty czasem i użyciem, ukazywał na rogach przepyszne bukiety błękitnych kwiatów, które zachowały zdumiewającą świeżość barw.

Markiza leżała na szezlongu, otulona mimo upału w długi, bladoniebieski szlafrok.

Była jak zawsze starannie uczesana, a na rękach połyskiwały grube bransolety.

Okrągły biały stoliczek przysunięty do szezlongu ugiął się po prostu pod ciężarem butelek i buteleczek z lekarstwami. Gdy Broniś wszedł, wskazała jeden z dwóch fotelików, które razem z szezlongiem i stoliczkiem stanowiły komplet.

— Jestem trochę niezdrowa — powiedziała tym swoim melodyjnym głosem. — Trudno mi wejść na górę do biblioteki.

— Mam nadzieję...

— Tak, tak, dziękuję, czuję się już lepiej, lekarz jednak zalecił kilkudniowy odpoczynek. Nie jestem taka młoda, na jaką

87

wyglądam — dodała z uśmiechem, który jak wszystkie jej uśmiechy nie miał w sobie ani odrobiny ciepła.

Broniś nie wiedział, co odpowiedzieć, w ogóle czuł się w tej sypialni

niezręcznie i nie na miejscu. Przysiadł na brzegu fotelika i czekał, co nastąpi,

z góry przekonany, że rozmowa nie będzie przyjemna, jak wszystkie dotychczasowe rozmowy z „chlebodawczynią”.

— Chciałam pana spytać, czy nie znalazł pan podobnego rękopisu jak ten z

czarnej teczki!

— Niczego nie znalazłem.

— A gdzie go pan znalazł, czy w polskiej książce?

— Czy mógłbym zobaczyć ten papier?

— Proszę. — Spod poduszki wyjęła klucze i podała gościowi. — W biureczku, prawa szuflada.

W biureczku, białym jak wszystkie meble, w prawej szufladzie leżał plik rozmaitych papierów związanych gumką. Broniś podał całą paczkę, z której chora wprawnie wyłuskała jeden arkusz.

— Proszę — powtórzyła podając dokument.

Był to papier wcale nie stary sądząc z wyglądu, który po - bliższym zbadaniu okazał się listem, zaczynał się bowiem od słów Droga matko, a kończył podpisem Lorenzo.

Broniś spojrzał prosto w oczy pani Chiaramonte i rzekł dobitnie:

— Nie włożyłem tego papieru do teczki.

— Nie włożył pan? Więc skąd się tam wziął?

— Nie wiem. Pierwszy raz go widzę...

— Mógł pan nie zwrócić uwagi. Jeżeli znajdzie pan jeszcze podobne pismo, proszę doręczyć mi je bezzwłocznie.

— Dobrze, proszę pani.

— Dziękuję. Teraz chcę odpocząć.

Panna Nebioli czekała za drzwiami. Obrzuciła pytającym spojrzeniem wychodzącego, a widząc, że się spieszy, dała za

88

wygraną i znikła w pokoju babki. Broniś, przeskakując po trzy stopnie, wpadł jak burza do biblioteki.

Nie uwierzyła mu, ale tak pewnie lepiej. Przecież nie skłamałby, musiał powiedzieć, że niczego nie włożył do tej przeklętej teczki. Ale jakoś się udało i nie zwróciła uwagi...

Odeszła ochota do pracy, zresztą zbliżała się szósta. Poukładał książki w dwa stosy po obu stronach globusu, wrzucił kartki do pudła i już zamierzał odejść, gdy coś go tknęło i zajrzał do czarnej teczki. Wewnątrz leżał list podobny do tego, który pokazała mu markiza, zaczynał się również słowami Droga matko i kończył imieniem Lorenzo.

Broniś chwycił intrygujący papier i ukrywając go w pierwszej lepszej książce, którą wsunął do kieszeni, wypadł z biblioteki. Tego było już za wiele i należało jak najprędzej wyświetlić niepokojącą zagadkę.

Na jego pukanie z mieszkania intendenta wyszła Nina. Trzymała przed sobą zwitek brudnej bielizny.

— Czy nie ma pana Petracini?

— Nie ma.

— Czy Nina nie wie...

— Nie wiem. Gniewam się na pana.

— Nie rozumiem.

— Niech pan nie udaje, znam się na tym. Widziałam, jak pan umie podrywać panienki.

— Nie można by jaśniej, Nino?

— Tak, tak, proszę sobie przypomnieć, w parku, panna Maria... A pan Franco taki zakochany...

Irytująca idiotka!

— Nina ma dziwne oczy i widzi to, czego nie ma. Ja natomiast zobaczyłem coś, czego do przyjścia Niny nigdy nie widziałem.

— A co? — spojrzała kuszaco.

— Ktoś przewracał moje rzeczy, a ponieważ dotąd nigdy to się nie zdarzyło...

89

— Może co ukradłam? Chce mnie pan oskarżyć? Niech tylko pani markiza wyzdrowieje, zaraz jej powiem, jakie z pana ziółko. I panienka, i pokojówka, wszystkie dobre! A ja myślałam, że taki miły... Wygląda tak niewinnie. Biondino!

Wykręcił się na pięcie i zbiegł na dół. Niestety, Franco Petracini był tego dnia nieuchwytny. A ponieważ sprawa nie cierpiała zwłoki, nie należało jej odkładać, lecz samemu zabrać się do dzieła. Nad odczytaniem i zrozumieniem znalezionej w teczce listu Broniś strawił cały wieczór, a gdy już dokument został przetłumaczony na polski, pozostało tylko dowiedzieć się, kim był ten podpisany u dołu Lorenzo.

List nie miał daty, a brzmiał, jak następuje:

Droga matko,

spieszę ci podziękować za starego Brezzi, to prawdziwa perła wśród notariuszy.

Omówiłem z nim całą sprawę. Bardzo mądrze doradził mi, co i jak zrobić, zrozumiał wszystkie moje obiekcje i rozwiązał wątpliwości co do procedury.

Wszystko pod względem prawnym będzie najzupełniej legalne. Najbardziej zależy mi teraz na dyskrecji, chwilowo nie chcę wtajemniczać w to ?, ona jest taka drażliwa na punkcie pieniędzy, ja jednak nie byłbym spokojny, gdybym nie zapewnił dziecku przyszłości. Rozumiesz mnie, prawda? Widzieliśmy już takie smutne przykłady, chociażby rodzina Gontarinich. W razie czego pragnę liczyć na twoje poparcie, wiem, że potrafisz tak to przedstawić, że B. nie poczuje się urażona. Chwilowo tak ma nabita głowę mrzonkami, że wszystkie inne sprawy zeszyły na dalszy plan. Trochę mnie to niepokoi ze względu na dziecko, czuję się przy tym winny, że to ja odgrzebałem całą tę historię, a przede wszystkim, że jej o tym powiedziałem. Nigdy jednak nie podejrzewałem, jakie w niej drzemią skłonności. Czasem wydaje się dziwnie chłodna i daleka, jak gdybyśmy ja i dziecko nie istnieli, zaabsorbowana całkowicie swoją „idee fixe”. Bardzo pragnę, żebyś przyjechała choć na trochę, masz zawsze na nią zbawienny wpływ. Po skończonej kuracji, bądź dobra pamiętać o mnie. Dziecko sprawia mi

90

wiele radości, myślę, że kiedyś będzie z nas para przyjaciół-Poznaje mnie już, gdy wchodzi, i śmieje się. W ogóle uest weSołe, co mnie bardzo cieszy: będzie z usposobienia podobnej ?0 cjebie. Paola doskonale się sprawuje, myślę, że wybór nasz Oyf dobry-Jeśli ci więc czas i liczni przyjaciele i znajomi pozwolą napisz słówko i upewnij mnie, że przyjedziesz. Zresztą ????? mogłabyś używać kąpieli morskich i w Riccione, miałybyś tam nawet przyjemne towarzystwo, gdyż słyszałem, że Carlo ?^0??[z żoną i pani Allora będą tam tego lata. Czekam wieści i \rpCe

Twoje całuję

Lorenzo

IX

— Nie widziała pani pana Petracini?

— Nie widziałam.

— Szukam go od wczoraj. Jak zdrowie pani ?^?TM?

— Dziękuję, babcia dobrze spała.

— Nic dziwnego, pod taką opieką...

— Pielęgnować chorych to jedyna rzecz, jaką po\raf|ę pan ma interes do Franca?

- Tak.
- Może poszedł do miasteczka, nie wiem. Też ?0 ??? widziałam.
- Czy mogę prosić, żeby pani powtórzyła... fyi am tak3 pilną sprawę...
- Dobrze, powiem, gdy wróci.
- Jestem jak zawsze w bibliotece.
- Na pewno do pana wpadnie.
- Dziękuję.

Dzień jednak minął, a Franco Petracini nie pokazał się w bibliotece.

Wieczorem Broniś znowu powędrował na dru[^]je piętro i znowu bezskutecznie. Nikt nie odpowiedział na pukanie.

91

— Może co ukradłam? Chce mnie pan oskarżyć? Niech tylko pani markiza wyzdrowieje, zaraz jej powiem, jakie z pana ziółko. I panienka, i pokojówka, wszystkie dobre!

A ja myślałam, że taki miły... Wygląda tak niewinnie. Biondino!

Wykręcił się na pięcie i zbiegł na dół. Niestety, Franco Petracini był tego dnia nieuchwytny. A ponieważ sprawa nie cierpiała zwłoki, nie należało jej odkładać, lecz samemu zabrać się do dzieła. Nad odczytaniem i zrozumieniem znalezionej w teczce listu Broniś strawił cały wieczór, a gdy już dokument został przetłumaczony na polski, pozostało tylko dowiedzieć się, kim był ten podpisany u dołu Lorenzo.

List nie miał daty, a brzmiał, jak następuje:

Droga matko,

spieszę ci podziękować za starego Brezzi, to prawdziwa perła wśród notariuszy. Omówiłem z nim całą sprawę. Bardzo mądrze doradził mi, co i jak zrobić, zrozumiał wszystkie moje obiekcje i rozwiązał wątpliwości co do procedury. Wszystko pod względem prawnym będzie najzupełniej legalne. Najbardziej zależy mi teraz na dyskrecji, chwilowo nie chcę wtajemniczać w to ?, ona jest taka drażliwa na punkcie pieniędzy, ja jednak nie byłbym spokojny, gdybym nie zapewnił dziecku przyszłości. Rozumiesz mnie, prawda? Widzieliśmy już takie smutne przykłady, chociażby rodzina Gontarinich. W razie czego pragnę liczyć na twoje poparcie, wiem, że potrafisz tak to przedstawić, że B. nie poczuje się urażona. Chwilowo tak ma nabita głowę mrzonkami, że wszystkie inne sprawy zeszyły na dalszy plan. Trochę mnie to niepokoi ze względu na dziecko, czuję się przy tym winny, że to ja odgrzebałem całą tę historię, a przede wszystkim, że jej o tym powiedziałem. Nigdy jednak nie podejrzewałem, jakie w niej drzemią skłonności. Czasem wydaje się dziwnie chłodna i daleka, jak gdybyśmy ja i dziecko nie istnieli, zaabsorbowana całkowicie swoją „idee fixe”. Bardzo pragnę, żebyś przyjechała choć na trochę, masz zawsze na nią zbawienny wpływ. Po skończonej kuracji, bądź dobra pamiętać o mnie. Dziecko sprawia mi

90

wiele radości, myślę, że kiedyś będzie z nas para przyjaciół. Poznaje mnie już, gdy wchodzi, i śmieje się. W ogóle jest wesołe, co mnie bardzo cieszy: będzie z usposobienia podobne do ciebie. Paola doskonale się sprawuje, myślę, że wybór nasz był dobry. Jeśli ci więc czas i liczni przyjaciele i znajomi pozwolą, napisz słówko i upewnij mnie, że przyjedziesz. Zresztą później mogłabyś używać kąpieli morskich i w Riccione, miałabyś tam nawet przyjemne towarzystwo, gdyż słyszałem, że Carlo Molini z żoną i pani Allora będą tam tego lata. Czekam wieści i ręce Twoje całuję

Lorenzo

IX

- Nie widziała pani pana Petracini?
- Nie widziałam.
- Szukam go od wczoraj. Jak zdrowie pani markizy?
- Dziękuję, babcia dobrze spała.
- Nic dziwnego, pod taką opieką...
- Pielęgnować chorych to jedyna rzecz, jaką potrafię. Pan ma interes do Franca?
- Tak.
- Może poszedł do miasteczka, nie wiem. Też go nie widziałam.
- Czy mogę prosić, żeby pani powtórzyła... Mam taką pilną sprawę...
- Dohrze, powiem, gdy wróci.
- Jestem jak zawsze w bibliotece.
- Na pewno do pana wpadnie.
- Dziękuję.

Dzień jednak minął, a Franco Petracini nie pokazał się w bibliotece.

Wieczorem Broniś znowu powędrował na drugie piętro i znowu bezskutecznie. Nikt nie odpowiedział na pukanie.

91

Przed telewizorem królowała Nina, odpadła więc i ta forma wieczornej rozrywki. Zniechęcony cofnął się do westybulu i pchnął drzwi wejściowe. Na dworze było pięknie. Kończąca się pełnia zalewała park światłem i można powiedzieć bez przesady, że było jasno jak w dzień. Poszedł powoli w kierunku bramy. Za furtką połyskiwał zapraszająco asfalt szosy, a dalej lśniła woda w rzece Ronco, od której wyraźnie odcinały się arkady weneckiego mostu. Jeszcze dalej było wzgórze, trudno dostępna ongiś skała, dźwigająca teraz czarne ruiny. Księżycowe światło ożywiło jednak martwe mury, uzupełniając braki w poszczerbionych hełmach wież i zaludniając ruchomymi cieniami opuszczone od dawna dziedzińce.

Sam nie wiedząc kiedy, stanął przed pierwszą bramą wiodącą do zamku. W tej chwili na miejskim zegarze zaczęła bić dziesiąta. W księżycowym oświetleniu o wiele wyraźniej niż za dnia wystąpiły piękne płaskorzeźby na kamiennych filarach, a kuta w żelazie krata ukazała misterny wzór czarnych esów-floresów.

Droga pięła się coraz bardziej stromo, masyw zamku powiększał się, zdawał się zwiśać nad okolicą jak groźba, wreszcie Broniś wstąpił w cień potężnej jeszcze fortecy, minął drugą bramę i znalazł się na znanym dziedzińcu. Teraz jednak wszystko wyglądało inaczej niż w dzień. Postać chwilę obserwując grę światła na płytach podwórza, gdy usłyszał skrzyp drzwi. Dźwięk dochodził od strony znanej już baszty. Człowiek, który wyszedł, oślepiony blaskiem, nie dostrzegł Broniś-sia, toteż drgnął usłyszawszy powitanie:

- Dobry wieczór, nareszcie pana znalazłem.
- Ach, to pan! Dobry wieczór. Więc mnie pan szukał?
- Od wczoraj nic innego nie robię.
- Czy... znowu coś?
- Tak.
- Proszę, niechże pan wejdzie.

92

Broniś po raz drugi wszedł do baszty, którą zwiedził pewnej pamiętnej niedzieli. Franco Petracini oświetlił latarką nagie mury, prowadząc gościa w głąb sieni, skąd strome kamienne schody wiodły w dół.

— Uwaga, głowa!

Zgięci we dwoje schodzili coraz niżej. Intendent, widać dobrze obznajomiony z terenem, szedł pewnie, świecąc latarką pod nogi gościa. Po chwili stanęli w

niewielkim lochu, gdzie zwisające ze ścian łańcuchy wskazywały, do jak ponurych celów służyło niegdyś to miejsce.

— Dawne więzienie — objaśnił lakonicznie intendent. Siedli na kamiennej ławie — był to raczej występ muru, biegnący wzdłuż jednej ze ścian — i gospodarz tego nieco makabrycznego pomieszczenia zapalił świecę wydobytą z kąta.

— A teraz proszę mówić.

Broniś bez słowa podał list nieznanego Lorenza.

— Co to jest?

— List, który znalazłem w czarnej teczce. Drugi. Pierwszy ma markiza. Widziałem. Od tego samego... do matki.

Intendent z gorączkowym pośpiechem odczytał tajemnicze pismo.

— To list męża markizy, Lorenza Chiaramonte, do matki... Nie znałem jej, umarła dość wcześnie...

— Czy pytał pan panny Marii?

— Nie zdążyłem. Ale to chyba ona, bo któż inny? Przeczytał pan?

— Przeczytałem, a nawet przetłumaczyłem na polski. Miałem trochę trudności, ale z pomocą słownika... Czy ta B. z listu to markiza?

— Oczywiście, Bianka. Rozumie pan, markiz przedsięwziął jakieś kroki, by w razie czego zabezpieczyć los dziecka. Jednak się nie udało. Markiza wydziedziczyła córkę, gdy ta wbrew jej woli poślubiła grajka. Jest winna jej śmierci, a biedna Maria... Gdy pomyślę, jak straszne miała dzieciń-

93

stwo... Teraz ojciec złagodniał, potrzebuje jej opieki, więc tylko wyciąga od niej grosze. Ale dawniej... Wiem coś o tym. Babka pozostawiła ją jej losowi, na łasce pijaka pozbawionego ludzkich uczuć. Jeżeli to Maria włożyła listy do teczki, dowiemy się, skąd je miała i co zawierał pierwszy z nich.

Broniś, zafascynowany grozą otoczenia, oglądał poczerńnięte mury. Kto tu liczył dni i lata upływające w niewoli? Czyje jęki słyszały te ściany? Jacy aktorzy grywali w wystawianych na tej scenie dramatach?

— Mówiłem już panu — przerwał te rozważania intendent — że istniało kiedyś podziemne przejście łączące zamek z pałacem Sforzów, czyli dzisiejszą Willą Attendola. Niestety nie udało mi się odnaleźć zejścia do tych podziemi. Chyba tu... Czasem jednak trudno pracować samemu.

— Chętnie pomogę — ofiarował się Broniś, którego niepomiernie zaciekały te historyczne ruiny. — Choćby zaraz.

— Rzeczywiście, skoro już tu jesteśmy...

— A jeżeli strażnik czy dozorca...

— W nocy nie ma tu nikogo. O tej porze tylko ja odwiedzam to zamczysko. Dozorca zresztą dobrze mnie zna.

— W takim razie chodźmy.

— Chodźmy! — Franco Petracini zerwał się z kamiennej ławy, podnosząc wysoko świecę. — Zabierzemy tę pochodnię, co? Latarka na pół już wypalona.

— A ten loch? Wygląda interesująco.

— To ślepa uliczka. Nie ma stąd innego wyjścia jak te schody, którymi przyszliliśmy. Wszystko już tu zbadałem, opukałem ściany, szukałem obluzowanego kamienia, otwierającego tajemne przejście, i nic...

Opuścili basztę i znaleźli się na dziedzińcu. W czasie takiej pełni żadne sztuczne oświetlenie nie było potrzebne. Starając się robić jak najmniej hałasu doszli do głównego budynku, którego środkowa część, dotąd zachowana, znajdowała

się pod dachem. Wąskie drzwi prowadziły do monumentalnej

94

sieni, służącej w swoim czasie jako kordegarda. Jeden kąt zajmował olbrzymi komin, gdzie można by upiec wołu, a poczerniały od dymu okap wskazywał, że nieraz dobywały się stąd smakowite zapachy, podczas gdy pracowite psy obracały rożen, na który nadziewano całe sztuki dziczyzny.

W chybotliwym świetle świecy ogromna ta sala wyglądała imponująco, a Bronisia szczególnie zachwyciły dwie kute w żelazie, doskonale zachowane, obręcze do wkładania pochodni, wpuszczone w kamienne filary przy jednej ze ścian.

Z tej sieni wąskim otworem dostali się do następnej sali, nieco mniejszej, której jedna część leżała niestety w gruzach. Mimo to na ocalałych filarach wyraźnie był widoczny przygotowany do skoku lew Sforzów.

— Ten główny budynek należy do nowszej części zamku — intendent oparł dłoń na herbowym znaku rycerza z Cotig-noli. — Niestety mało z niego pozostało. Jest jeszcze jedna wieża z tej samej epoki, z którą wiązę największe nadzieje.

— Jakieś podziemne przejście na pewno istniało. Nie wiadomo tylko, czy łączyło zamek z pałacem. Równie dobrze mogło prowadzić gdzieś w pole lub w pobliże rzeczki, aby w razie oblężenia zamknęci w twierdzy rycerze mogli wydostać się z pułapki. Czy nie było tu żadnych badań?

— Owszem. Skała i jej zamek od dawna znane są historykom. Wystarczy wspomnieć prace pana Marinelli z lat dwudziestych. Mamy to w naszej bibliotece i jeśli pana interesuje...

— Wszystko mnie interesuje, co ma związek z tym zamkiem. Te ruiny są wspaniałe, a przyjemność zwiedzania potęguje swoboda poruszania się, brak wszelkiego rodzaju dozorców, przewodników i tłumu turystów, nieodłącznej plagi innych zabytków.

— Mury opasujące zamek są jeszcze solidne, resztę zabezpieczono tak, że wszędzie można wchodzić bez obawy. Jak już jednak mówiłem, Meldola nie figuruje w spisie turysty-

95

cznych atrakcji naszego kraju, oprócz tych ruin nie ma tu nic ciekawego i w porównaniu z taką na przykład Rawenną jesteśmy tylko zwykłą prowincjonalną dziurą. Na ten zamek trzeba amatora, historyka lub szperacza, a takich nieczęsto spotyka się wśród turystów zalewających rokrocznie nasz Półwysep. Większość mieszkańców Meldoli zna te ruiny tylko z daleka, cóż bowiem ciekawego przedstawia dla nich kupa starych kamieni? Przywykli do nich, widząc je co dzień od urodzenia, gdyby jeszcze mieli z tego jaki dochód, ale tak?...

— Niech pan nie narzeka. Dzięki temu może się pan czuć w tych murach jak udzielny władca. A właściwie dlaczego panu zależy na tym przejściu?

— Zależy mi w ogóle na odnalezieniu podziemi. Mam powody przypuszczać, że kryją one niejedną tajemnicę. Widzi pan, królowa Bona w jednym z ostatnich listów wspomina o Meldoli...

— O Meldoli?

— Właśnie o Meldoli. Wydaje się, że nigdy tu nie była. A jednak... Dzieciństwo jej upłynęło przecież w Mediolanie i w Pawii, gdzie okrutny stryj zamknął Gian Galeazza w tamtejszym zamku. Po śmierci męża biedna Izabella ucieka z córkami do Neapolu i następnie osiada w Bari, które Ludwik Moro wspaniałomyślnie zwrócił wdowie. Smutno jednak cały rok przebywać w średniowiecznym, pozbawionym wygód i upiększeń zamczysku, dlatego też matka z Boną więcej czasu spędzają na świetnym dworze wicekróla w Neapolu, gdzie po upadku Andegawenów panują Hiszpanie.

— Królowa Bona założyła w Polsce miasto Bar, na pamiątkę swej włoskiej posiadłości.

— Nie wiedziałem o tym. Wyszukam w atlasie...

— Może mi pan powiedzieć, w jaki sposób Bari dostało się Sforzom? Leży przecież daleko od Mediolanu, na południu Włoch.

— To także jedna ze zdobyczy Muzia Attendoli. Jako

96

kondotier królowej neapolitańskiej tak się przysłużył monar-chini, że obdarowała go trzema miastami: Benevento, Bari i Trani oraz portem Manfredonią. Mówiono niedwuznacznie i o innych usługach dzielnego Muzia, który podobno miał wolny wstęp i do królewskiej alkowy... Ale co do tego nie mamy pewności, może były to tylko plotki zawistnych dworaków?

— Tak, rozumiem. Wracając więc do Bony, wspomniał pan o jakimś liście, w którym jakoby wymieniła Meldolę.

— Nie jakoby, ale naprawdę własną ręką napisała nazwę naszego grodu. Widziałem ten list... nawet pozwolono mi go przepisać. Jest w zbiorach rękopiśmiennych w Neapolu. Na krótko przed śmiercią, w październiku 1557 roku Bona pisała z Bari do swej przyjaciółki, księżny Colonna. List może nie ma wielkiego znaczenia z punktu widzenia historyków, jednakże jest w nim jedno zdanie, które dla mnie stanowi problem numer jeden.

— Co takiego?

— Stara, cierpiąca na reumatyzm królowa skarży się przyjaciółce na stan zdrowia, które nie pozwala jej na odbycie planowanej podróży. Otóż obchodzące mnie zdanie brzmi tak: A koniecznie muszę być na Skale w Meldoli, ja jestem ostatnia, która wie, a nie mam już nikogo zaufanego, nikogo, kogo bym tam posłać mogła. To wszystko.

— I co pan przypuszcza?

— Trudno powiedzieć coś stanowczego, w każdym razie według starych — ale czy wiarygodnych — źródeł, w tutejszym zamku mieścił się rodzaj tajnego archiwum rodzinnego Sforzów, o istnieniu którego powiadomiony bywał tylko najstarszy członek rodu, w tym więc wypadku Bona — chodzi bowiem o główną linię mediolańską. Archiwum to musiało być dobrze strzeżone, a jeszcze lepiej ukryte, skoro nigdy nie wpadło w obce ręce, mimo że zamek różne przechodził koleje.

7 — Renesansowa przygoda

97

— Właśnie, chciałem się dowiedzieć, jakie były losy tej Skały po bezpotomnej śmierci synów Ludwika Mora?

— Jeszcze za życia Sforzów zamek zmieniał właścicieli. Jakiś czas należał do książąt Malatesta z Ceseny, potem do władców Rimini, potem przyszli tu Wenecjanie, a na końcu, po krwawych bojach o Romanie, którą koniecznie chciał podbić dla siebie Cezar Borgia, Meldola wraz z resztą prowincji weszła w skład państwa kościelnego. Papież przyznawali dobra tu leżące różnym rodom, w ten sposób Meldola dostała się najpierw rodzinie Aldobrandinich, następnie Pamphilich, a w końcu otrzymali ją ich spadkobiercy Doria, no i wreszcie w ubiegłym stuleciu była własnością rodu Borghese. Naturalnie w zamku dawno już nikt nie mieszkał, mury powoli chylły się do ruiny, książę Borghese bowiem ożeniwszy się z piękną Paulina, siostrą Napoleona, wolał mieszkać w Rzymie, w swej wspaniałej willi, w otoczeniu dzieł sztuki. Dziś to muzeum...

I tak minęła świetność tego orlego gniazda, obojętność właścicieli doprowadziła je do dzisiejszego upadku. Państwo na szczęście dba o zabytki, zabezpieczono

więc, co jeszcze pozostało do uratowania. Dużo tu takich pamiątek w okolicy... Rodzina Sforzów zapisała się chlubnie w dziejach tej prowincji, przebywszy długą drogę od wiejskiego domu w Cotignoli do mediolańskiego zanku ozdobionego freskami Leonarda! A co do bohaterstwa... Wystarczy choćby wspomnieć o obronie Forli przeciwko oblegającym je wojskom Cezara Borgii. Po śmierci męża na czele rycerzy stanęła wdowa, Katarzyna z domu Sforza. Cóż to była za kobieta! Nierówna walka z góry skazywała na zagładę załogę zamku, ale Katarzyna walczyła do ostatka, męstwem swym wprawiając w podziw całą Europę. Dziś takich nie ma... — Są, żeby pan wiedział. Niedawno temu, bo przed dwudziestu sześciu laty, w Powstaniu Warszawskim... I nie tylko kobiety, ale i dzieci...

98

— Owszem — przyznał intendent obojętnie. — Nie przeczę, ale wówczas...

— Nie widzi pan naszej teraźniejszości, naszego bohaterstwa, żyje pan ciągle w Renesansie.

— Tak, żyję w Renesansie i chcę żyć w Renesansie, to mój jedyny ratunek przed' pogardą dla samego siebie. Miniona wielkość pozwala mi znosić moją własną mierność, usprawiedliwia moją nędzę, upadek. I tylko tu, w tych murach oddycham swobodnie, tu czuję się u siebie. U siebie — powtórzył głośnie.

— Jak pan może? A... Maria?

— Maria? — oczy Franca Petracini zabłyśły w mroku jak oczy kota. — Maria jest dla mnie wszystkim, lecz coż mogę jej ofiarować?

— To, czego potrzebuje do szczęścia każda dziewczyna. Ale panu to nie wystarcza, pan chciałby wprowadzić ją do pałacu z freskami Leonarda, włożywszy jej uprzednio na głowę książęcą koronę. Człowieku, spytaj wpierw, czy jej to by odpowiadało? Znając ją, myślę, że wolałaby trzypokojowe mieszkanie w nowoczesnej dzielnicy Mediolanu, z telewizorem, elektryczną kuchnią i innymi udogodnieniami. Na ten wybuch intendent odpowiedział jedynie pobłażliwym uśmiechem.

— Mierzy ją pan miarą przeciętnych dziewcząt. Ale Maria jest inna, ma inne dążenia, inne aspiracje.

— Pan widzi w niej bohaterską Katarzynę Sforza, a ona jest po prostu panną Nebioli, uroczą panną Nebioli, która nocą boi się tajemniczych głosów Willi Attendola i niepokojących oczu jegomościa ze starego portretu. I przez to jest tak urocza i dlatego pan ją kocha.

— Sądzi pan, że kobietę kochamy dla jej słabości?

— Nie wiem...

— A ja wiem — uciał intendent i ruszył w kierunku wyjścia.

99

Na dziedzińcu panowała ta sama co przedtem cisza. Minęli ocalały fragment trzeciej bramy i wydostali się na drugie podwórze, gdzie czas i ludzie dokonali jeszcze większego spustoszenia. 'Ze strome go zbocza skały sterczała tylko jedna baszta, ze zrujnowanym wierzchołkiem, ale solidną podstawą wyrastającą zdawałoby się z kamiennego podłoża. Drzwi, widać, dorobiono już w dwudziestym wieku i cienkie, niestarannie oglądzone deski raziły przy mocnych murach, które oparły się tyłu stuleciom.

— Stąd jest zejście do podziemi, nie wiem tylko, czy jedyne — intendent podniósł świecę wchodząc do ciemnego jak pieczara wnętrza.

Baszta była okrągła. W samym środku znajdowało się coś w rodzaju studni, otoczonej żelazną balustradą.

— Studnia — stwierdził Broniś zaglądając w suchą głąb otworu.

— Studnia albo i nie. Według mnie to zakamuflowane zejście do podziemi. Widzi

pan te stopnie?

— Kiedyś mogła tu być woda. Znane są przecież lochy schodzące nawet pod rzekę, dokąd także wrzucano więźniów skazanych na śmierć głodową. We Francji lochy te nazywano „oubliettes”, gdyż o nieszczęśnikach po prostu zapomniano.

— O ile udało mi się stwierdzić, nigdy tu nie było wody. Mogę się zresztą mylić... Ta świeca i tak nie pozwoli nam dziś na dokładne zbadanie studni.

— Możemy spróbować — Broniś już przekładał nogę przez żelazną poręcz. Schody były tak strome, prawie prostopadłe, że raczej pasowałyby do nich nazwa drabiny. Spuszczali się ostrożnie, czepiając się chropowatych kamieni, którymi wyłożono ściany studni. Po kilku metrach powiało nagle chłodem, a po prawej ręce zaczerpnął wąski otwór. Chwiejny płomyk świecy ukazał początek korytarza.

— Byłem tu — zaczął intendent szeptem (inaczej głos hu-
100

czał jak w prawdziwej studni). — Korytarz ma kilka odnóg i raz omal nie zablądziłem.

— Nie powinien pan sam zapuszczać się w te labirynty. Razem zbadamy podziemie. Posunęli się kilka kroków w głąb skały — korytarz wyraźnie schodził w dół — po czym cofnęli się ku stopniom. Było nonsensem wybierać się na podobną wyprawę bez należytego oświetlenia oraz innych pomocy. Studnia wydawała się bez dna. Niestety świeca miała się ku końcowi i należało wracać.

Gdy Broniś stawiał stopę na pierwszym stopniu, trzymając się krawędzi muru obok otworu korytarza, palce jego natrafiły nagle na jakieś wyżłobienie. Krzywa linia musiała być uczyniona ludzką ręką, brzegi bowiem rowka były gładkie i ostre, a rysunek pewny.

— Poproszę o świecę, tu jest jakiś znak czy litera...

W słabym świetle, które intendent skwapliwie przybliżył do muru, ujrzeli głęboko wyżłobioną literę Q, wysoką może dziesięć centymetrów.

— Co to znaczy? Przedtem tego nie widziałem.

— Nie zauważył pan. Przecież nie zrobiono tego wczorajszej nocy. Litera ta czeka na nas od stuleci, od czasów gdy używano tego lochu do mniej lub więcej zbrodniczych celów. Ale to rzeczywiście ciekawe. Może to jakaś wskazówka?

— Może...

Ciężkie krople roztopionej stearyny spłynęły bezgłośnie w ciemną otchłań. Po omacku wydostali się z baszty, wrócili na pierwszy dziedziniec. Gdy zstępowali ze wzgórza, była pierwsza.

— Wejźdźmy do domu osobno — zaproponował Franco Petracini. — Lepiej, by nas nie widziano razem. Ja tu zaczekam. Spotkamy się pojutrze, dobrze?

— Dobrze. Dobranoc.

— Dobranoc, dziękuję.

Broniś szedł powoli parkiem napawając się pięknnością no-
101

??). Gdy dochodził do stopni ganku, od kolumny oderwał się czarny cień.

— Dobry wieczór. (Bez trudu poznał mrukliwy głos Maura). — Cóż to, ze spaceru?

— A ze spaceru. Taki księżyc...

— I samotnie?...

— Czemu nie? Jak kto woli. Mauro też, widzę, nie lubi towarzystwa.

Włoch odburknął coś niezrozumiale i wszedł do westybulu.

W jasnym świetle elektrycznej pochodni twarz nagiego Efeba przybrała ostry, niemiły wyraz. Broniś ze złością rzucił okiem na antycznego „playboya” i wbiegł na górę przeskakując po trzy stopnie. Komnata powitała go przyćmionym światłem

stojącej lampy, połyskiem złota na ramie „Wniebowzięcia”, głęboką czerwienią baldachimu. Było cicho i przytulnie.

Leżąc w wielkim jak gmach łożu przeżywał wrażenia wieczoru. Pobyt w Willi Attendola stawał się coraz bardziej atrakcyjny.

Tajne archiwum Sforzów! Toż to nie lada gratka! Oczywiście, o ile intendent się nie myli, bo że jeszcze nie zostało odkryte, za to mógł dać głowę, podobna sensacja nie przeszłaby przecież bez echa. A o niczym podobnym jak dotąd nie słyszał. A jakie polonika zawiera! Ach, gdyby mu się udało...

Jeden tylko szczegół psuł podniecającą atmosferę przygody: dziewczyna. Tak, śliczna Maria Nebioli, którą sam los postawił na jego drodze. Mogło to być najpiękniejsze z przeżyć, ale prawdziwy pech połączył ją z Frankiem Petracini. Oczami wyobraźni Broniś ujrzał chmurne czoło, cienki nos i smagłe policzki „kondotiera”. Sforza! Potomek książąt mediolańskich! Psiakrew! Zawraca dziewczynie głowę tą wielkością... A jeżeli to oszust? Zręczny szarlatan wyzyskujący jego głupotę przeciw markizie? Broniś aż usiadł porażony nagłym niepokojem. Może Maria jest współniczką Franca. Mo-

102

że obojgu zależy wyłącznie na ograbieniu pani Chiaramonte? A on przykłada do tego rękę. Powinien przecież trzymać się od wszystkiego z daleka, być lojalny. Z drugiej jednak strony zamek... podziemia... tajne archiwum...

Usnął, mając pod powiekami wielkie Q, które jaśniało wszystkimi ogniami nie zbadanej dotąd tajemnicy.

X

Następnego dnia po południu do biblioteki weszła Maria.

— Babcia śpi — powiedziała od progu — a Franco pojechał do For li. Kazał mi wyjaśnić panu...

— Więc to pani włożyła listy do tej teczki?

— Ja... Listy znalazłam już dawno, w rzeczach pozostałych po mamie. Wszyscy mówili, że gdyby dziadek żył, inaczej potoczyłoby się nasze życie... i mama nie umarłaby. Zabrałam je z sobą, gdy tu jechałam, chciałam babci rzucić w twarz, tak mi było smutno i ciężko, gdy myślałam o mamie. Ale babcia przyjęła mnie jak gdyby nic... i nie miałam odwagi. Zresztą zna pan babcie. Jest taka... onieśmielająca... Więc milczałam. I dopiero gdy zobaczyłam, jak babcia traktuje Franca...

— A co pani markiza?

— Nie wiem. Nie rozmawialiśmy o tym. Potrzebuje jeszcze spokoju, nie wolno jej denerwować. Franco opowiedział mi o wczorajszym odkryciu, o studni. Obiecał zabrać mnie na następną wyprawę i pokazać... Co pan myśli o tej literze na ścianie? „Q”. Czy to wskazówka?

— Przypuszczalnie. Może to jaki skrót. Za słabo znam język, żeby coś wymyślić.

— Skrót. Tak, to może być skrót, ale jaki? A może szyfr?

— Może. Proszę myśleć.

— Dobrze. — Obiecała i już jej nie było. Zaplanowana na następną noc wyprawa do zamku nie do-

103

szła do skutku. Interesy markizy wymagały wyjazdu intendenta do Bolonii. Wrócił po dwóch dniach zmordowany i zły.

A potem nadeszło Ferragosto — Wniebowzięcie Matki Boskiej obchodzone uroczyście 15 sierpnia. W Italii to jedno z większych świąt. Każdy, kto może, wyjeżdża na krótkie wakacje. Na kilka dni zamykają się sklepy, Włosi zamieniają się w

turystów, spieszą do Florencji, do Sieny, do Rzymu, do Pompei, zwiedzają, odkrywają zabytki i cuda sztuki, podziwiane dotąd wyłącznie przez cudzoziemców. Już starożytni Rzymianie świętowali w tym miesiącu na cześć Augusta i łacińska nazwa Feriae Augusti stawszy się włoskim Ferragosto przeszła na święto chrześcijańskie.

Markiza, która podniosła się po krótkiej chorobie, na dwa dni przed piętnastym wezwała Bronisia do żółtego salonu.

— Pojutrze święto — powiedziała bez wstępu. — Ma pan trzy dni wakacji, 15, 16, 17 sierpnia. Może pan wyjechać, coś zwiedzić — dodała łaskawie. — Jest pan wolny. Po kolacji Broniś pognał do państwa Davittich.

— Jestem wolny! — wołał od progu. — Bibliotekarz pani markizy ma trzydniowe wakacje! Wolno mu wyjechać. Chcę zwiedzić Florencję! Przychodzę po radę...

— Pojedzie pan z nami — zdecydował doktor. — Ja też muszę odetchnąć.

Podrzucimy pana do Florencji i zostawimy u mojej ciotki. Będzie zachwycona. Na Ferragosto i tak w żadnym hotelu nie znalazłby pan miejsca. My z żoną jedziemy nad morze, do Viareggio, jak co roku.

Trzy dni zleciały zbyt szybko. Na ten czas Broniś wyrzucił z pamięci mieszkańców Willi Attendola, zamek i królową Bonę. Całym sobą chłonał piękno nagromadzone w tokańskiej stolicy.

Tu wreszcie była Italia. Prawdziwa. Mieszkała u starej pani Aldini, w domu pamiętającym chyba czasy Dantego. Wąskie drzwi i strome schody nie zapowiadały nowoczesnego komfortu, a jednak harmonijnie spletały się tu dawne wieki ze

104 współczesnością. „Via Laura” — uliczka, podobna do kamiennego korytarza, prowadziła na plac, który niegdyś obudował sam mistrz Brunelleschi. Nocą było tu cicho i pusto, Broniś wracając do domu płoszył tylko koty przemykające się pod murami.

Ciotka doktora, dama otyła i chorowita, spędzała całe dnie w bujanym fotelu w chłodnym salonie o opuszczonych żaluzjach. Poinformowała gościa, że latem Florencja opróżnia się ze stałych mieszkańców, a miasto co roku o tej porze przeżywa inwazję turystów ze wszystkich stron świata. Poza tym uniwersytet, który organizuje kursy wakacyjne dla studentów z zagranicy, ściąga tłumy różnojęzycznej młodzieży.

Broniś za mało miał czasu, by zanurzyć się z głową w tej niepowtarzalnej atmosferze. Trzy dni... Cóż to znaczy? Ledwie starczyło, by jako tako rzucić okiem na skarby sztuki wypełniające miasto po brzegi. Na inne wrażenia nie było już niestety miejsca.

Osiemnastego sierpnia, w poniedziałek, jak zwykle o dziewiątej wchodził do biblioteki Willi Attendola. Wrócił poprzedniego dnia późnym wieczorem wraz z doktorem i jego żoną, przebywszy samochodem Apeniny.

Kilka następnych nocy odsypiał zaległości, a we czwartek w Meldoli spotkał intendenta.

— Jakże wakacje?

— Wspaniale! Zakochałem się we Florencji.

— Nie pan jeden. Czy mogę teraz liczyć na pomoc?

— Naturalnie. Kiedy idziemy?

— Choćby dziś.

— Doskonale. O której?

— Proszę wyjść po kolacji. Spotkamy się na miejscu. Przygotowałem dwie mocne latarki.

Latarcki okazały się prawdziwymi reflektorami, rzucały bowiem snop silnego światła na odległość kilkunastu metrów. Ponadto była kreda do robienia znaków na murze, by nie zbłą-

105

dzić w podziemnych korytarzach, oraz kawałek mocnego sznura „na wszelki wypadek”. Uzbrojeni każdy w latarkę opuścili się studnią do znanego już korytarza opatrzonego literą „Q”. Robiąc na murze znaki kredą, poszli, pochyleni, w mroczną głąb. Korytarz schodził łagodnie w dół, zataczając jak gdyby koło we wnętrzu skały coraz niżej i niżej. Po drodze napotkali kilka odnóg, trzymali się jednak głównego korytarza, ciekawi, dokąd zaprowadzi ich ten podziemny tunel. Na murach pojawiły się oznaki wilgoci, czarny mech, plamy i raz Broniś omal nie upadł pośliznąwszy się na wilgotnych kamieniach. Zataczając coraz szersze kręgi doszli do miejsca, gdzie ubita ziemia zastąpiła kamienną podłogę, a korytarz wijący się dotąd na kształt trzepaczki do ubijania piany wydłużył się nagle linią prostą w niewiadomym kierunku.

— Idziemy? — intendent puścił snop światła w tajemniczą czern.

— Idziemy — Broniś oświetlił ściany tunelu. Korytarz był nieco szerszy, ale za to coraz niższy. Najpierw

szli z pochylonymi głowami, potem zgięci we dwoje, wreszcie nie było innej rady, jak czołgać się po wilgotnym gruncie. Na tę ewentualność nie byli „ubraniowo” przygotowani.

— Sądząc po wilgoci, korytarz wychodzi gdzieś w okolicy rzeczki — zauważył intendent.

— To by się zgadzało z ówczesnymi zwyczajami — odparł Broniś badając uważnie ziemię. — Co to? Ślady?

Franco Petracini ukląkł i przybliżył twarz do wyraźnie odcisniętych ludzkich stóp.

— Nie powie pan chyba, że pochodzą z czasów Renesansu? — zażartował Broniś. — Zobaczmy, skąd prowadzą i dokąd.

Okazało się, że ślady prowadziły z jednej z odnóg, która odchodziła od głównego korytarza jeszcze w jego części nazwanej przez odkrywców „trzepaczką do ubijania piany”. Co jednak ciekawsze, zatarto je starannie i tylko kilka odcisków

106

stóp pozostało tam, gdzie je odkrył Broniś. Kto przed nimi zapuścił się w podziemne rejony Castello Sforzesco? I jaki był cel tego rekonesansu? Oto zagadka, przed jaką stanęli.

Naturalnie za pierwszą bytnością nie było mowy, by odpowiedzieć na te pytania.

Zbadanie wykutych w skale korytarzy zajęło im tydzień. Dowiedzieli się, że po pierwsze: nigdzie, na żadnej ze ścian nie było wrytej litery, podobnej tajemniczemu „Q”; po drugie: korytarz rzeczywiście prowadził nad rzeczkę Ronco, a kończył się zamaskowanym włazem, opatrzonym okienkiem, dzięki któremu mogli dokładnie oznaczyć miejsce. Właz starannie zamurowano widać już w bardzo dawnych czasach, a z zewnątrz — bo i to sprawdzili — był całkowicie niewidoczny, kamień bowiem wtapiał się w zbocze schodzące ku rzeczce. Dokonali tego wszystkiego dzięki roboczym kombinizonom, które Franco zdobył specjalnie na tę okazję. Prawie wszystkie odnogi kończyły się ślepo, a wykuto je przypuszczalnie dla zmylenia ewentualnej pogoni, jeden tylko korytarz, oddzielając się w połowie drogi od głównego tunelu, stromo opuszczał się w dół kończąc się rodzajem niewielkiego loszku, w którym znaleźli ślady bytności człowieka, i to człowieka jak najbardziej współczesnego, o czym świadczyły rozrzucone tu i ówdzie

niedopałki. Loszek wydawał się bez wyjścia i chyba nie służył za więzienie, brak bowiem było łańcuchów oraz innych znaków wskazujących, że istniały tam kiedyś drzwi. Niemniej obecność tajemniczego gościa pozostawała niepokojąca. Gdy wszystko już zbadano, na ostatnią wyprawę „grotołazi” (bo tak siebie nazwali) zaprosili Marię. Dziewczyna była zachwycona przygodą, zrećnie zeszła po stopniach studni obwiązana sznurem, którego koniec trzymał Broniś, podczas gdy intendent z korytarza zabezpieczał zejście. Raz jeszcze obejrzelili ściany szukając tajemniczej litery oraz zbadali ślady nieznanego poprzednika. Ponieważ podczas tych nocnych

107

„sam na sam” w dość niezwykłych warunkach Broniś i intendent zaczęli mówić sobie po imieniu, więc na tej pierwszej wyprawie we troje, Maria ładnie zwłoszczyła imię Polaka i odtąd Broniś podpisywał się na listach do ciotki Zuzanny jako Bronco.

Marii przyszła też do głowy genialna myśl, gdyż widząc, jak młodzi ludzie zniechęceni nikłym wynikiem poszukiwań zbierali się do odwrotu, pochyliła się nagle nad otworem studni i rzekła:

— Stopnie schodzą w głąb, nie wiadomo, jak daleko. Może są tam inne podobne korytarze? Czy byliście niżej?

— Nie — odparł intendent.

— Jeszcze nie — poprawił Broniś.

— Czemuż więc pospuszczaliście nosy, jeśli nie wiecie, co kryje studnia? Coś mi mówi, że właśnie tam czekają na nas inne litery...

Zanim jednak przystąpili do dalszych badań, musieli na kilka dni przerwać konspiracyjną działalność. Mauro coś węszył i trudno było wyjść niepostrzeżenie z domu. Wieczorami wiecznie kręcił się przy drzwiach lub przy bramie, rzucając spode łba podejrzliwe spojrzenia na przechodzących.

Korzystając z przerwy w badaniach, Broniś odwiedził w Meldoli przyjaciół, których ostatnio nieco zaniedbał.

— Zapomniał pan o nas — skarciła gościa pani Wanda — a my na wrzesień wyjeżdżamy. Na południe — dodała patrząc z uśmiechem na męża.

Właśnie podczas jednej z tych wizyt, pod nieobecność doktora, Broniś dowiedział się od pani Wandy, w jaki sposób los rzucił ją z dalekiej Polski nad fale rzeczki Ronco.

— Na pierwszym roku studiów zapisałam się na lektorat języka włoskiego — wspominała pani Davitti — i raz przeglądając jakiś włoski tygodnik, w rubryce „listy od czytelników” znalazłam adres studenta pragnącego korespondować ze studentami z krajów Europy północnej. Napisałam. Otrzyma-

108

łam odpowiedź. I tak się zaczęło. Po roku Aldo przyjechał do Warszawy z wycieczką młodzieży włoskiej. Zaręczyliśmy się. Czekaliśmy jednak, aż skończymy studia i dopiero wtedy weźmiemy ślub. Jestem sierotą — dodała wyjaśniająco — nie było mi więc ciężko rozstawać się z rodziną, nie miałam nikogo specjalnie bliskiego, a Aldo jest taki dobry...

Broniś nie bez żalu myślał, że na cały miesiąc zostanie pozbawiony towarzystwa przyjaciół i nie przestąpi gościnnego progu państwa Davittich, których dom stał się dla niego prawdziwą „ostoją na obczyźnie”. Pocieszała go jedynie nadzieja na podniecające przygody w podziemiach zamku oraz pewność, że w młodych mieszkańcach Willi Attendola zyskał sobie nowych przyjaciół.

Tymczasem sierpień się kończył, lecz trwająca nadal piękna pogoda sprzyjała

nocnym wyprawom. Bez reszty więc poświęcił się „sprawie”, jak nazywał swe nowe obowiązki, „do-sypiając” w porze sjęsty.

Markiza widać czuła się znowu dobrze i jak przedtem zjawiała się w bibliotece, interesując się postęпами w robocie.

Trzeciego września rano przyniesiono Bronisiowi paczkę. Ciotka Zuzanna zawsze pamiętała o imieninach bratanka, a i z Biblioteki Narodowej nadeszły liczne życzenia. Ciotka przysłała pudełko czekoladek, „by było czym przyjąć imieninowych gości”. Dźwigając pudło pod pachą, pierwszy tego wieczoru oczekiwał „wspólników” pod zamkową basztą. Gdy posłyszał skrzyp żwiru na drodze, wystąpił na środek zalanego księżycowym światłem dziedzińca, idący natomiast znalazł się w cieniu murów. Broniś posunął się naprzód z wesołym słowem powitania, nowo przybyły jednak, zamiast minąć wejściowe filary, cofnął się w jeszcze głębszy mrok i zaczął zbiegać ze wzgórza. Broniś skoczył ku bramie, ale posłyszał już tylko szmer usuwających się spod stóp zbiega kamyków.

Po kwadransie nadeszli oczekiwani Franco i Maria.

109

— Ktoś tu był, myślałem, że to wy — zrelacjonował zdarzenie. — Uciekł, gdy mnie zobaczył.

— Czy nas kto śledzi? ,-*?*- przestraszyła się Maria.

— Ech, nie — uspokoił intendent — mógł to być włóczęga, wziął Bronka za dozorcę i dał drapaką.

— Trochę się boję — wyznała. — A jeśli komuś zależy...?

— Przecież nikt nie wie.

— Czemu Mauro taki podejrzliwy? Ostatnio ciągle za mną łązi. I ta Nina! Jak u mnie sprząta, przeszukuje moje rzeczy. Raz ją przyłapałam. Już wołę Agatę, mimo że taka niesympatyczna.

Uspokoila się dopiero, gdy Broniś otworzył pudło z czekoladkami.

Były to najdziwniejsze imieniny, jakie miał w życiu.

Tego właśnie wieczora postanowili dokonać oględzin studni. Intendent poszedł pierwszy, gdyż otwór ział czarną otchłanią niezbadanej czeluści i w razie wypadku... Dalej strach było pomyśleć. Broniś i Maria, przewieszeni przez żelazną poręcz, z zapartym tchem śledzili każdy ruch śmiałka, oświetlając niebezpieczną drogę.

Po chwili o ściany studni obił się głęboki, dudniący głos intendenta:

— Jest! — wołał — znalazłem!

— Co? — odkrzyknął Broniś.

— Litera! Słyszycie? Jest litera!

— Schodzimy — zdecydowała Maria.

Opuszczanie dziewczyny odbyło się jak za pierwszym razem. Gdy Maria obwiązana sznurem znalazła się w bezpiecznym miejscu koło Franca, Broniś sam przedsięwziął zejście. Kilka metrów pod pierwszym znajdował się podobny korytarz, a na ścianie, tuż u wylotu studni, widniała litera. Nie było to jednak tajemnicze „Q”, jak piętro wyżej, lecz „A”, równie jednak głęboko i wyraźnie wyżłobione jak tamto.-

— Jakie to będzie słowo? — denerwowała się dziewczyna.

110

— QA — złożył litery Broniś. — O ile wiem, po „Q” musi być zawsze „U”, więc...

— A może to łacina?

— W łacinie tak samo jak we włoskim, „Q” bez „U” nie występuje.

— To pewnie skrót — wtrącił milczący dotąd Franco. — Dawniej często tak pisano, widziałem na starych listach.

— Może i skrót — Broniś nie był przekonany. — W każdym razie znak, który nas do czegoś doprowadzi.

Należało zatem przystąpić do zbadania nowego korytarza. Świecąc dwiema latarkami posuwali się krok za krokiem wzdłuż ściany, która znęciła ich obiecującym znakiem.

— Ta góra podziurawiona jak ser szwajcarski — zaśmiała się nerwowo Maria. — Jeszcze gdzie wpadniemy...

Korytarz jednak okazał się równie bezpieczny, jak te, które już zwiedzili. Tyle że był prawdziwą „drogą donikąd”.

— Niemożliwe! — zaprotestował Broniś uderzając prawie nosem o granitową zapórę, zamykającą przejście.

— Kamień. — Intendent wodził dłońmi po chropawej powierzchni nagle wyrosłej przeszkody. — Nic nie poradzimy, tędy drogi nie ma.

— Nie ma! — powtórzyła jak echo Maria. — Więc co zrobimy?

— Wrócimy, skąd przyszliśmy.

— A może niżej jest jeszcze jeden korytarz?

— Z pewnością jest. Ta studnia przypomina budowę dantejskie piekło. Obejrzyjmy jednak lepiej ściany tego tunelu. — Broniś podniósł głowę i oświetlił sufit.

— Kamień, kamień i nic — westchnęła dziewczyna. Dokonawszy szczegółowej inspekcji korytarza, wrócili do wylotu.

— Więc jak? Schodzimy?

— Schodzimy. Może ja tym razem pierwszy? — Broniś podał latarkę Marii i przygotował się do zejścia.

111

Od razu stwierdził, że schody były wygodniejsze, bardziej pochyłe, nie tak prostopadłe, przez co zmniejszył się obwód czeluści pod stopami. Jak można było przypuszczać, kilka metrów niżej ciągnął się nowy korytarz, jednakże nie oznaczała go u wejścia żadna litera! Zbadanie tego tunelu odłożyli już na dzień następny, gdyż na tak niebezpieczną wyprawę należało przyjść w lepszej kondycji. Przez kilka wieczorów pracowali we dwóch i dopiero gdy mogli pochwalić się jakimi takimi osiągnięciami, zaprosili dziewczynę.

Ten korytarz z trzeciej, niższej kondygnacji był najwęższy, ale dziwnie kręty.

Wił się we wnętrzu skały niczym górska drożyna, a kończył się tak samo jak jego poprzednik ślepią ścianą.

Jednakże w połowie mniej więcej długości, za jednym z zakrętów w skalistym dnie tunelu Broniś odnalazł trzecią literę. Było to duże „P”, pięknie wyłobione, którego ostre brzegi starł i złagodził czas, a może stopa przechodzącego kiedyś tamtędy człowieka.

Broniś długo klęczał nad zagadkowym znakiem, opukał kamień dookoła litery, zbadał ściany. Na próżno. Wszędzie była lita skała. Dopiero niższa, czwarta kondygnacja kryła niespodziankę. Zejście było jeszcze wygodniejsze, a otwór studni jeszcze węższy. Pochylona nad wylotem z latarką Maria wydawała się już tylko małym punkcikiem.

Zajęci poszukiwaniami zapomnieli na chwilę o dziewczynie, gdy przeraźliwy krzyk przywrócił ich do rzeczywistości. Rzucili się do stopni. Pięli się jeden przez drugiego i cud prawdziwy, że niechcący nie postrącali się w przepaść.

Na pół przytomna ze strachu Maria czepiała się kurczowo żelaznej balustrady.

— O Boże, Boże, chciał mnie zepchnąć, zabić!

— Kto? Na miłość boską, powiedz kto?

— Nie wiem... Jakiś człowiek...

112

— Chciał cię zepchnąć?

— Może... Tak mi się zdawało... Był tu, blisko — wskazywała pogrążone w mroku wnętrze zrujnowanej baszty.

Podczas gdy intendent zajmował się struchlałą ze zgrozy dziewczyną, Broniś przeszukał basztę i podwórze. Nigdzie nie było żywej duszy. Obszedł ruiny, zajrzał na pierwszy dziedziniec, do wieży, nawet do więziennego lochu, ale nie znalazł nikogo.

— Może on nie miał złych zamiarów — tłumaczyła tymczasem uspokojona już nieco dziewczyna — i nie chciał mnie strącić. Tylko ukazał się tak nagle i tak bardzo mnie przestraszył.

— Nie ma nikogo — Broniś puścił snop światła w czarną głąb studni.

— Pewnie myślicie, że mi się zdawało, co? — odparła przerażona. — Uważacie mnie za histeryczkę...

— Skądże. Bardzo łatwo wejść tu niepostrzeżenie... tak ciemno... My w dole, a ty tu sama, pochylona nad czeluścią. Każdy by się przestraszył.

— Grunt, że nic się nie stało — zakończył Franco. — Ani na chwilę nie zostawimy cię więcej na górze. Sami omal nie pospadaliśmy słysząc twój krzyk. I tak jesteś wspaniała. A teraz chodźmy, dość na dziś tych emocji. Jutro czekam was o dziesiątej, porozmawiamy...

Rozstali się u podnóża skały. Intendent poszedł naprzód, a Broniś z dziewczyną powędrowali wzdłuż rzeczki Ronco. Gdy wrócili, dom spał pogrążony w ciemności. Nazajutrz w bibliotece pierwszy raz Broniś sprzeniewierzył się obowiązkowi i zamiast zająć się katalogowaniem łacińskiej starzyzny, sporządził mapę topograficzną ruin Castello Sforzesco, a potem rzucił na papier plan podziemnych korytarzy, oznaczając starannie wszystkie odkryte, a nie wyjaśnione dotąd litery. Szykował się do wieczornego spotkania i w tej

8 — Renesansowa przygoda

113

chwili nic a nic nie obchodził go księgozbiór markizy Chia-ramonte.

Dostanie się na drugie piętro wymagało jednak chytrych węża i przebiegłości Indianina. Akurat tego wieczoru Mauro odkurzał zawieszane nad schodami obrazy, a Nina biegła w górę i w dół z miotełką i ściereczką. Ta dziwna pora, wybrana na sprzątanie, zastanowiła Bronisia. Udał więc, że idzie do intendenta w sprawach biblioteki i z paczką książek w rękę zapukał do znajomych drzwi.

— Pan Petracini wyszedł — poinformowała usłużnie Nina. — Potrzebuje pan czego? Może Mauro lub ja?...

— Dziękuję. Przyjdę później.

Zbiegł do westybulu. Z bocznego saloniku, gdzie zainstalowano telewizor, wyłoniła się Maria dając znaki. Szybko zamknął za sobą drzwi.

— Franco umyślnie wyszedł — szepnęła — nie udało mi się zawiadomić cię wcześniej. Ta para szpiclów sterczy na schodach, że ani przejść...

— Tak — przytaknął Broniś — widziałem. Właśnie wracam z góry.

— Opowiedz, coście odkryli. Franco wspomniał, że coś ciekawego. Nie mieliśmy okazji porozmawiać.

— W tej czwartej kondygnacji znaleźliśmy jeszcze jedną literę, „A”.

— „A”? Po raz drugi?

— Tak.

— To już mamy QAPA... Słuchaj, a może to nie jest „Q”, tylko „G”. Trzeba by

zbadać jeszcze raz. Mogliśmy się pomylić.

— Wykluczone. Odrysowałem dokładnie każdą literę, w ogóle przygotowałem plany ruin i podziemi.

— Pokaż.

— Teraz lepiej nie, każdej chwili może ktoś wejść. Udawajmy, że gapimy się w telewizor, tak bezpieczniej.

114

— Słusznie — westchnęła. — Franco też mówił, żeby nie budzić podejrzeń. I tak już przewąchali, że jesteśmy w zмовie. A co jeszcze odkryliście?

-- Tym razem literę umieszczoną na suficie, żeby było trudniej znaleźć. Pod nią był rysunek, co prawda mocno zatarty, ale wygląda, że to lew Sforzów...

— A korytarz? Też ślepy?

— Kończy się studnią.

— Studnią?

— Zwykłą studnią, z wodą. Widzieliśmy, jak błyszczała w świetle latarki. Nie wiadomo tylko, czy głęboka, nie mieliśmy niczego pod ręką, żeby rzucić.

— I co jeszcze?

— Nie ma więcej schodów w dół. To ostatnia kondygnacja.

— Co zamierzacie?

— Raz jeszcze zbadać korytarze na wszystkich czterech piętrach.

— Masz więc nadzieję?

— W tych warunkach łatwo coś przeoczyć. Jeżeli umieszczono tam kiedyś te litery, zrobiono to w jakimś ściśle określonym celu. Nie wolno pominąć najmniejszego szczegółu, wszystko może być ważne.

Ti voglio ben assaie

e tu non ?????? ?? łąły się z telewizora tony neapolitańskiej piosenki, głośząc skrzyp otwieranych drzwi.

— Pani markiza prosi panienkę... — znaczące spojrzenie „drugiej pokojowej” spoczęło na Marii i na Bronisiu.

— Czy babcia źle się czuje? — przestraszyła się dziewczyna.

— Chyba nie, tylko chce, żeby panienka przyszła. Przed chwilą dzwoniła.

— Idę. Dobranoc.

115

Po wyjściu Marii Nina przysiadła na krzeselku. Broniś udawał zajętego programem, mimo że nie słyszał ani jednego słowa ze śpiewanej przez Ritę Pavone piosenki.

— Jestem dyskretna — twarz Niny wyrażała obłudną życzliwość. — Wiem, co to miłość...

— Nina coś mówiła?

— ??, nie, ja tak sobie... To piosenka o miłości, więc... Broniś wstał.

— Już pan wychodzi? A tak pięknie śpiewają...

— Nie jestem muzykalny. Dobranoc.

— Dobranoc panu. Panna Maria nie zabawi długo u babki, pani markiza kładzie się zwykle przed jedenastą.

Z westybulu skręcił do wyjścia. W parku było ciemno — księżyc jeszcze nie wzeszedł — ale przynajmniej cicho i spokojnie. Skierował się ku bramie. Tuż przed furtką prawie zderzył się z intendentem.

— To ty, Bronco? Mam nadzieję, że Maria ci powtórzyła...

- Wiem. Byłem na górze. Twoich drzwi strzegły aż dwa smoki. Słuchaj, Franco, ta Nina to prawdziwa zmija! Nie chciałbym, abyś dawał ucha różnym plotkom...
- Nie przejmuj się. Wiesz, dokąd poszedł Mauro? Śledziłem go. Do ruin.
- Czyżby to on...?
- Na to wygląda.
- Masz tu plany.
- Świetnie. A więc jutro?
- Jutro. Tylko nic nie mów Marii, chciałyby też iść...
- Jasne. Sonda gotowa.
- Dobrze. Ciao.

Na bocznej ścianie pozostała do uporządkowania tylko jedna szafa. Jak mógł przypuszczać z dotychczasowej pobieżnej lustracji, nie było tam żadnych książek polskich ani Polski dotyczących. Niemniej należało zrobić szczegółowy przegląd wszystkich pozycji i w razie czego wciągnąć to i owo na listę „wątpliwości”. Szafa była węższa od sąsiednich, „wysoka i chuda” (jak określił w myśli), z ciemnego drzewa, od którego pięknie odbijały mosiężne okucia.

Oszklone drzwi dawno widać nie były otwierane, a tkwiący w zamku klucz nie dał się obrócić. Broniś szarpnął silniej i odskoczył odepchnięty szatańską chyba siłą: cała szafa jak gdyby „wystąpiła z szeregu” odsłaniając ciemny otwór za plecami.

Broniś stał chwilę oszołomiony odkryciem, gdyż na taką niespodziankę doprawdy nie był przygotowany, po czym wsunął głowę w ziejące pustką zaplecze szafy. Był dotąd święcie przekonany, że biblioteczne półki podpierają solidne siedemnastowieczne mury, tymczasem... A przecież wiedział, że rozmaite skrytki i kryjówki były specjalnością dawnych architektów i tylko współczesne budownictwo wyzyskiwało każdy centymetr sześcienny przestrzeni w swych superoszczędnych planach.

Otwór ział pustką, ale jednocześnie wabił i przyzywał, tym bardziej że z mroku wyłaniały się pierwsze stopnie krętych, prowadzących do góry schodów. Trafił oto na prawdziwe tajemne przejście, jakich wiele kryły grube mury wszystkich pałaców świata. Czyż miał nie skorzystać z okazji, która mogła doprowadzić do nie lada odkryć? Doprawdy byłby chyba głupcem, gdyby się wahał...

Doszedłszy do tego przekonania wsunął się w otwór za plecami szafy i zaczął pięć się w górę krętymi schodami. Wkrót-

117

?? znalazł się jak gdyby na małym podeście, a ręce natrafiły na rodzaj poręczy.

Zastanawiał się chwilę, czy nie mając przy sobie latarki warto iść dalej, gdy suchy trzask pograżył go w zupełnych ciemnościach. Zbiegł po omacku, aby się przekonać, że na miejscu otworu, którym się tu dostał, był teraz tylko gładki mur.

Gorączkowo wodził palcami po kamiennej zaporze oddzielającej go od świata, szukając jakiejś nierówności czy spojenia — przecież szafa z kawałkiem muru wyraźnie oderwała się od reszty ściany — wszystko jednak bezskutecznie. Nie było dosłownie nic, o co mógłby zaczepić palce. Zaczął uderzać w ścianę, ale głuche echo ginęło gdzieś w górze, kilkakrotnie zawołał: „Jestem tu, w murze” i „halo”, nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi. Po prostu nikt go nie słyszał.

Wtedy uświadomił sobie, że na zawsze może zostać więźniem „bibliotecznej pułapki” i dopiero gdzieś po latach, podczas jakichś robót, przebudowy pałacu czy czegoś podobnego, robotnicy natkną się na jego trupa. Ciekawe tylko, czy to

makabryczne skądinąd odkrycie uczeni i badacze odniosą do czasów Renesansu? Czy zrobią z niego ofiarę Sforzów w walce o tron mediolański, czy wezmą go za kochanka, zamurowanego żywcem przez zdradzonego męża?

Spojrzał na zegarek, tarcza na szczęście świeciła w ciemności — dochodziła pierwsza. A więc niedługo ktoś powinien zainteresować się jego nieobecnością na obiedzie. Pewnie Mauro wejdzie do biblioteki, będzie go szukał w jego pokoju, może nawet w parku. Trzeba więc czekać, a potem wołać. Czekał tak pół godziny wyęzając słuch, ale otaczało go to, co się potocznie nazywa grobową ciszą.

Znowu zaczął wołać, krzyczeć, uderzając przy tym w ścianę — daremnie. Należało widocznie szukać wyjścia gdzie indziej. Czepiając się muru poszedł na górę i omackiem odnalazł poręcz na podeście. Gdy wówczas się oparł, musiał bezwiednie poruszyć mechanizm, zamykający wejście do biblioteki. Poręcz była

118
krótka, umieszczono ją na wysokości piersi — zrobiona z gładkiego drzewa czy metalu. Na próżno naciskał centymetr po centymetrze, na próżno przesuwiał dłońmi po śliskiej powierzchni. Ani drgnęła! Zmęczony bezowocnym szamotaniem usiadł na stopniu, postanawiając doczekać wieczoru. Jego nieobecność na kolacji powinna już zaalarmować cały dom. Długo jednak nie usiadł, gdyż straszna myśl przysłała mu do głowy: a jeśli ktoś umyślnie zatrzasał za nim drzwi? Poczul dreszcz przebiegający mu po krzyżu.

Znowu zszedł i znowu wołał i uderzał w ścianę. Wyczerpawszy siły i cierpliwość wrócił na górę i jak mógł najwygodniej usadowił się na schodach. W uszach dźwięczała ciężka, przytłaczająca cisza. Zegarek wskazywał pięć po szóstej, koniec dnia pracy. Trzeba było czekać do kolacji, a wówczas Mauro z pewnością zawiadomi Franca, rozpoczną poszukiwania, powiadomią markizę. A jeżeli pani Chiaramonte nie zna sekretu ruchomej szafy? No cóż, nie warto martwić się przedwcześnie, w tych warunkach trzeba tylko czekać i nie tracić nadziei.

Sam nie wiedział, kiedy zapadł w niespokojną drzemkę. Gdy się obudził, fosforyzująca wskazówka stała na wpół do dziewiątej. Zerwał się zdrtwiałym od niewygodnej pozycji z tego nieledwie madejowego łoża i raz jeszcze krzykiem i stukaniem próbował zwrócić na siebie uwagę. Wszystko bez skutku.

Trzeba było wreszcie zabrać się do działania i szukać wyjścia z tej mysiej nory. Ostrożnie posunął się wyżej — dawno już wymacał stopnie prowadzące z podestu na górę — jednakże obawiał się odejść od zamykającej drogę do wolności ściany.

Szedł wolniutko w absolutnych ciemnościach, aż dotarł do drugiego podestu. Tutaj schody kończyły się, a zaczynał korytarz tak wąski, że tylko szczupły człowiek mógł się zmieścić w tym dusznym kamiennym tunelu. Korytarz biegł w nie-

119
wiadomym kierunku na jednym poziomie, czasem tylko wspinał się po dwóch schodkach w górę lub schodził parę stopni w dół. Trwało to tak długo, że Bronisiowi zdawało się, iż kilkakrotnie okrążył dom. Korytarz wreszcie skończył się, a dalej podobne do pierwszych kręte schody wiodły gdzieś w dół.

Pozostał na tym miejscu korytarza, które nazwał podestem, gdyż wyczuł rękami na gładkim dotąd murze pewne zgrubienie czy nierówność. Znowu wstąpiła w niego otucha. Rozumował, że mogą się tu znajdować zamaskowane drzwi, które otworzy ukryty gdzieś w pobliżu mechanizm. Wyczulone palce błądziły po chropowatych nierównościach, żaden jednak mechanizm nie wprawiał w ruch zbawczych drzwi.

Siadł na stopniach, by spokojnie rozważyć, co robić dalej. Najchętniej coś by zjadł, od śniadania nie miał nic w ustach, obiad już diabli wzięli, a tu zanosilo się na to, że będzie się musiał obejść i bez kolacji. Do licha! Ale

wpadł! Gdzież ten Franco? Czy nikogo nie obchodzi, co się z nim stało? Dochodziła północ, gdy wstał zdecydowany walczyć do ostatka. Nie da się tak łatwo, nie jest przecież szczurem zneconym na plasterek słoniny. Raz jeszcze ruszył do ataku na ścianę, za którą powinno znajdować się ocalenie. Obecnie zmienił taktykę i całym ciałem napierał na wybrany płat muru. I nagle, gdy straciwszy już nadzieję, ostatkiem siły i energii mocował się z kamiennym przeciwnikiem, ściana usunęła się i wpadł głową naprzód do czegoś, co po bliższych oględzinach okazało się zwykłą, najzwyczajszą ścienną szafą na ubranie. W tej chwili jednak nie wisiał tu żaden garnitur ani suknia i gdyby nie obecność Bronisia, szafa byłaby najzupełniej pusta. Można więc powiedzieć, że trafił z szafy do szafy.

Gdy pchnął drewniane drzwi, znalazł się w nieznanym pokoju, a sądząc po rozmiarach, niskim suficie i skromnym urządzeniu był to jeden z pokoi dla służby na drugim piętrze. Stało tam żelazne łóżko, przykryte włóczkową kapą, stolik,

120
dwa krzesła i komoda z lustrem. Z warstwy kurzu pokrywającej lustro i blat komody, wywnioskował, że chwilowo pokój ten nie miał lokatora.

Wyszedł na korytarz dosłownie parę kroków od mieszkania intendenta. Zegarek wskazywał za dziesięć pierwszą. Jego przymusowa wędrówka w murach Willi Attendola trwała więc przeszło dwanaście godzin!

Zapukał do drzwi Franca, ale nie otrzymał odpowiedzi. Postanowił koniecznie zdobyć coś do zjedzenia, post i tak był już przydługi, nie wiedział tylko gdzie się zwrócić. Miał nadzieję, że Franco... ale i tu spotkał go zawód. Dom robił wrażenie wymarłego. Co robić? Zszedł na pierwsze piętro i gdy tak medytował, usłyszał skrzyp drzwi i kroki w westybulu. Przechylił się przez poręcz schodów i zobaczył Franca.

— Bronco! — intendent oparł się ciężko o postument dźwigający Efeba. Twarz miał szarą i wpadnięte oczy.

Bronisia przeraził wygląd przyjaciela. Czyżby się co stało? Ale Franco chwycił go mocno za ramię.

— Jesteś! O Boże, co ja przeżyłem! Wiesz, skąd wracam? Z ruin! Szukałem cię... Ta studnia... Poczekaj, muszę uspokoić Marię.

— Przynies mi co do zjedzenia. Jestem piekielnie głodny. Wszystko ci opowiem.

— W tej chwili. Idź do mnie, dobrze? Zaraz tam będę. Pięć minut potem Broniś siedział w pracowni intendenta.

Na talerzu piętrzyły się plastry zimnej pieczeni. W szklance czerwieniało wino. Ten niezwykle przyjemny widok pobudził fantazję „bibliotekarza pani markizy”, który ze swadą opowiedział swą przygodę.

Intendent, wysłuchawszy relacji, westchnął z ulgą.

— Nie masz pojęcia, jaki kamień spadł mi z serca, gdy cię zobaczyłem — wyznał.

— Nie wiem, dlaczego wyobraziłem sobie, że sam poszedłeś do zamku. Chciałeś zbadać studnię... czy ja wiem zresztą co? Gdy Nina powiadomiła mnie wczoro-

121
rem, że nie przyszedłeś na kolację, nie zaniepokoiłem się, sądząc, że zasiedziałeś się w bibliotece lub w miasteczku. Lecz gdy dodała, że nie byłeś na obiedzie i nie ma cię w bibliotece ani w twoim pokoju, że nikt nie widział cię od śniadania, skóra na mnie ścierpła. Najstraszliwsze myśli przychodziły mi do głowy! Robiłem sobie wyrzuty, że niepotrzebnie wciągnąłem cię w tak niebezpieczną grę...

— Jednym słowem widziałeś mnie na dnie studni z roztrzaskaną czaszką. A ja

tymczasem byłem tuż blisko...

— Mówiłem ci, te mury kryją niejedną zagadkę. Gdy jestem sam w pokoju, nigdy nie mam pewności, że jestem naprawdę sam, a moje mieszkanie jeszcze najbezpieczniejsze, dobrze tu zbadalem wszystkie kąty. Mimo to nie mam zaufania. Jutro, gdy odpoczniesz, pójdziemy zobaczyć...

— Nie jutro, tylko zaraz. — Bronisiowi obfita kolacja przywróciła równowagę ducha. — Zostawiłem otwarte te drzwi w szafie, przez które wyszedłem. Wiesz, myślałem już, że za sto lat, podczas przebudowy pałacu, znajdą mój szkielet w jakimś schowku...

— Nie żartuj, wszystko tu jest możliwe.

— Właśnie się przekonałem — mruknął Broniś połykając ostatni kęs pieczeni. — No to chodźmy, dobrze? To są drzwi obok ciebie. Pokój wygląda na nie zamieszkały.

— Jakiś czas był to pokój Maura. Potem przenieśli go dalej. Poczekaj, wezmę latarkę.

— Najgorsze, że nie znamy systemu otwierania i zamykania tych kryjówek i tylko przypadek... Przecież znowu możemy być uwięzieni. A nie chciałbym tego powtórnie przeżywać — nawet w twoim towarzystwie. Musimy bardzo uważać.

Pokój zastali w tym samym stanie co przed godziną. Jednakże we wnętrzu szafy nie znaleźli żadnego otworu.

— Tu była dziura — denerwował się Broniś. — Dobrze widziałem, a potem nie ruszałem niczego!

122

— Musiałeś coś nacisnąć czy poruszyć i drzwi się same zamknęły, jak w bibliotece.

— Daję ci słowo, że niczego nie dotykałem. Wskoczyłem i basta. To jakaś diabelska sztuczka. Trzeba obejrzeć...

Jednakże oględziny wnętrza szafy nie doprowadziły do niczego. Gładkie deski nie wykazywały wykroju ukrytych drzwi i choć opukali całe zaplecze, nie usłyszeli odgłosu próżni.

— Może to nie ten pokój? — zastanowił się wreszcie intendent. — Pokoje dla służby podobne do siebie, więc...

— To te drzwi — powtórzył z uporem Broniś. — Czy myślisz, że się upiłem?

— Wejdźmy tu obok, zobaczysz...

Pokój był prawie identycznie umeblowany: żelazne łóżko, stolik, dwa krzesła, komoda, tyle że lustro wisiało nad komodą, zamiast na niej stać. Zresztą było równie zakurzone jak i tamto. Intendent otworzył szafę.

— No i jak? To tu, prawda? Broniś pokręcił głową.

— Nie, tu lustro wisi, a tam stało na komodzie.

— Pewny jesteś?

— Dobrze zwróciłem uwagę na ten szczegół: zakurzone lustro na zakurzonej komodzie. Mogę przysiąc, że to było tam.

— To nic. Zajrzyjmy do szafy...

Szafa była pusta, tylko na dnie leżało coś granatowego. Broniś schylił się i podniósł rękawiczkę, cienką damską skórkową rękawiczkę.

— Rękawiczka markizy? — zauważył zdumiony Franco. — Poznaję jej perfumy... Gardenia Chanela.

Rękawiczka była brudna, jak gdyby dotykała kurzu i rdzy. Czyżby to znaczyło?...

Mały, wiotki przedmiot wydał się nagle groźny i tajemniczy. Skąd się tu wzięła rękawiczka pani Chiaramonte?

Szafa wyglądała równie niewinnie jak jej sąsiadka i była

równie uparta — nie zdradziła sekretu. Rozczarowani wrócili do pokoju intendenta.

— Nie chciałbym nikomu mówić — zaczął Broniś.

— Oczywiście, tego nie należy rozgłaszać. Wymyślisz coś... Mam nadzieję, że markiza się nie dowiedziała. Jutro zbadamy tę szafę biblioteczną.

Znalazłszy się rano w bibliotece, Broniś od razu skierował się do

„piekielnej” szafy. W zamku brak było klucza. Stał tam jeszcze, gdy wszedł Franco.

— Nie ma klucza.

— Jakiego znowu klucza?

— No, klucza, który uruchamia mechanizm. Przecież mówiłem ci, że gdy szarpnąłem kluczem, szafa wystąpiła naprzód. A teraz szafa zamknięta, a klucza nie ma.

Czyżby markiza?

— Ona, nikt inny. Dowiedziała się pewnie o twoim zniknięciu, może nawet przysłała tu i domyśliła się. Nie wiadomo tylko, co miała zamiar zrobić... Musisz do niej pójść.

— Ja? Do markizy? Po co?

— Musisz poprosić o klucz. To zupełnie naturalne. W ten sposób rozproszysz podejrzenia.

— Mam udawać, że nic nie wiem o kryjówce?

— Tak dla ciebie lepiej.

— Sądzisz?

— Jeśli to markiza zabrała klucz, domyśliwszy się, gdzie jesteś — tłumaczył cierpliwie intendent — dlaczego nie wyruszyła ci na pomoc?

— Może nie znała tajnego wejścia?

— Jeżeli zabrała klucz, to znaczy, że znała mechanizm i wiedziała, co kryje szafa. A jednak zostawiła cię na pastwę ciemności i niepokoju. Pamiętaj, do czego jest zdolna ta kobieta. Wiesz przecież, co zrobiła z własną córką...

— Francu, ty doprawdy chcesz mi wmówić...

— Pamiętaj, że córce pozwoliła umrzeć.

— Myślisz, że to samo zrobiłaby i ze mną? ??, wszędzie widzisz tak modne w Renesansie zbrodnie.

— Zbrodnia nie jest wymysłem Renesansu. A nic łatwiejszego, jak zawiadomić policję o zaginięciu bibliotekarza pani markizy. Gdybyś się nie zjawił do rana, byłem zdecydowany zawiadomić władze, tylko że poszukiwania prowadzono by w niewłaściwym miejscu, bo w ruinach... — dodał ciszej.

— Słuchaj, Francu, co ty pleciesz?

— Tak się przedstawia prawda — westchnął intendent. — Ale ty nie chcesz zrozumieć...

— Na Boga, przecież to absurd. W jakim celu miałyby to robić? Mam grać z panią Chiaramonte w ciuciubabkę tylko dlatego, że ty uroiłeś sobie jakieś brednie?

— Proszę cię, Bronco, idź do markizy i zażądaj klucza. Musisz wreszcie opracować książki z tej szafy. I nie zdradź się, że przypadkowo odkryłeś tajemne schody, że cośkolwiek podejrzewasz... Rób, jak ci mówię.

— Pójdę — mruknął Broniś niechętnie — ale robię to tylko dla ciebie.

— Wiem. Ty jesteś prostolinijny, szlachetny Polak, a my... Walka idzie na śmierć i życie, rozumiesz? A teraz wpłątane jest w nią i twoje życie, pamiętaj. Broniś odkładał, jak mógł, niemiłą rozmowę. Z pomocą przysłała sama markiza, zjawiając się po południu w bibliotece.

Na ustach jej błąkał się jakiś dziwny uśmiech, zimny jak cała jej osobowość, ale głos brzmiał melodyjnie jak zawsze.

— Przyszłam pana zapytać — zaczęła rozglądając się po sali — czy opracował pan już książki z tej szafy? — wskazywała fatalną ścianę.

— Właśnie mam zamiar. Chciałem otworzyć, ale nie ma klucza.

— Niestety. Wczoraj potrzebowałam książki z tej szafy, zamek się zaciął i tak niezręcznie manipulowałam, że złama-

125

łam klucz. Przykro mi ze względu na pana. Trzeba poczekać, aż ślusarz dorobi.

— Dobrze, proszę pani, czekam.

— Nie zaglądał pan do tych książek?

— Jeszcze nie zdążyłem. Właśnie dziś miałem zamiar...

— Proszę tę szafę zostawić na koniec. Ma pan i bez tego jeszcze dość roboty.

— Mam — przyznał ponuro.

— Wobec tego nie przeszkadzam.

A więc miał już tę rozmowę poza sobą. I nawet przeszła łatwiej, niż przypuszczał.

O nic go nie pytano, co wymagałoby kłamstw i kręctwa, ciekawe tylko, czy

markiza wie, gdzie był? I czy dlatego zabrała klucz, by po raz drugi, już

odpowiednio przygotowany, nie wybrał się na zwiedzanie tajemnych przejść Willi Attendola? Wściec się można od tych wszystkich niedomowień!

Gdy po pracy siedział u siebie, zapukali Franco i Maria.

— No i co, jak poszło z babcią?

— Doskonale. Pani markiza potrzebowała wczoraj książki i tak niezręcznie otwierała szafę, że złamała klucz. Trzeba czekać, aż się dorobi nowy. Tymczasem powinienem się interesować innymi szafami, których w bibliotece w bród.

*— Święta racja — przytaknęła. — Czy inne szafy nie ukrywają pułapek?

— Chyba nie. Tyle razy otwierałem je i zamykałem i nigdy nie przyszło mi do głowy... Nigdy zresztą nie usunęła się podłoga ani nie odskoczyła kłapa w suficie...

— Musimy koniecznie odnaleźć to przejście.

— Po co? — wtrącił intendent. — To tajemnica markizy. Ona nam niepotrzebna. Nas obchodzi zamek.

— Wiecie co? A jeżeli to babcia wędruje nocą tymi korytarzami w murach? Może to drapanie w mojej ścianie i u Bronka...

— Słusznie, to może mieć związek. Jest pewnie sposób, by

126

widzieć i słyszeć wszystko, co się dzieje w niektórych pokojach. Po to przecież niegdyś drażono mury...

— Brr — wzdrygnęła się. — A jeżeli tam chodzi ktoś jeszcze oprócz babci?

— Duchy? — roześmiał się Broniś. — Bo służby chyba by nie wtajemniczała. To nie w jej stylu.

— No dobrze, a jeśli babcia potrzebuje pomocy? Może przecież kazać, by Mauro jej towarzyszył. On jej bezgranicznie oddany, mówiła mi, jest go pewna, ufa temu słudze o gębie bandyty.

— Jeszcze nie wiadomo, czy Mauro rzeczywiście taki wierny. — Intendent pokręcił głową. — Mam go na oku, coś mi się nie podoba jego zainteresowanie ruinami.

— Myślicie, że to on?...

— Nic nie myślimy, nie wiemy niczego pewnego, ale wszystko przemawia za tym, że... Zresztą jeszcze za wcześnie wyciągać wnioski.

Nazajutrz markiza wyjechała z Marią do Bolonii. Uznała, że wnuczka nie posiada

odpowiedniej garderoby na zbliżającą się jesień, więc Mauro zasiadł za kierownicą granatowego fiata.

— Wrócimy za dwa, trzy dni — zawołała dziewczyna wpadłszy z pożegnaniem do biblioteki. — Bądźcie tylko rozsądni i nie róbcie beze mnie żadnych głupstw... I proszę cię, Bronco, uważaj na Franca — oczy jej patrzyły na Bronisia błagalnie. Do stołu podawała Agata, widocznie Nina skorzystała z nieobecności pani i wybrała się do miasteczka. Przed szóstą do biblioteki wpadł intendent, by się umówić na wieczór. Tej nocy mieli dokazać nie lada wyczynu: zbadać tajemnicę studni. Była to jedyna okazja do swobodnego działania, gdyż Mauro także był nieobecny.

Wyszli razem tuż po dziewiątej. Intendent zamknął drzwi wejściowe na klucz.

127

— Dziś coś ci pokażę — powiedział uroczyście.

— Co?

— Zobaczysz. Nareszcie przekonasz się, że jestem prawdziwym Sforzą.

— Już się o tym przekonałem — mruknął Broniś podążając w mroku za towarzyszem.

XI

— Opuść niżej latarkę, tak, trochę w prawo. Dobrze.

Broniś leżąc na brzuchu, na skraju korytarza trzeciej kondygnacji, wysunięty prawie połową ciała nad przepaścią, manewrował silną elektryczną latarnią, oświetlając kamienne ściany „suchej studni”. Franco, piętro niżej, dokonywał pomiarów. Dzięki tej nowej latarni zobaczyli wyraźnie nie zbadane dotąd dno wyłożone kamiennymi płytami.

Gdy Broniś zszedł do towarzysza, jeszcze raz wspólnie opuścili latarnię na lince w czarną głąb. W ścianie, tuż przy dnie, ciemniał jak gdyby otwór, a może był to tylko cień rzucany przez ruchomą, uwiązaną do końca linki latarkę? Nie mieli możliwości sprawdzić, sami bowiem nie mogli spuścić się na dno studni. Ponieważ nie było tu nic więcej do roboty, posunęli się ostatnio odkrytym korytarzem czwartej kondygnacji, gdzie w suficie wryto niegdyś czwartą literę wraz ze słabo już widocznym lwem Sforzów.

— Trzeba dokładnie przebadać wszystkie korytarze — zauważył Broniś. — Mogliśmy przeoczyć ważny szczegół. W tak kiepskim oświetleniu...

— Odłóżmy to na jutro, dziś już chyba za późno. Dużo bym dał, by móc zmierzyć głębokość tej prawdziwej studni z wodą...

— Masz przecież sondę.

Intendent kręcił głową z powątpiewaniem.

128

— Myślisz, że wystarczy? Ta woda wydaje się być piekielnie głęboko.

— Zobaczymy. Opuszczaj sondę. Poczekaj, ja rozwinę linkę. Zaraz, nie tak szybko.

Umocuj latarkę.

Gdzieś daleko w dole posłyszeli słaby plusk, gdy sonda dotknęła wody.

— Ciekawe, jak w razie obłączenia wydobywali wodę z tej czeluści?

— Opuszczali wiadra na łańcuchach.

— I dźwigali po stopniach „suchej studni” na górę? Bardzo wątpię.

— Musiało być jakieś inne zejście. Słuchaj, Francu, czy te ruiny rzeczywiście badali specjaliści?

— Badali. Otwór „suchej studni” w zrujnowanej baszcie przykryto ochronną siatką stalową. Podobno po jakimś czasie znikła. Nikt tu nie przychodzi, w dzień dozorca pilnuje ruin, a w nocy... jak widzisz.

— A dzieci? Mogą bawić się w ruinach i jeszcze które wpadnie.

— Dzieci tu nie przychodzą na zabawy, za daleko. Zresztą dozorca nie wpuści.
— No, a jakieś tutejsze męty? Świątek przestępczy może obrać sobie zamek za kryjówkę. To miejsce stworzone do zbrodni...

— Widzę, Bronco, że i ciebie przeniknął duch Renesansu. Wkrótce trucizna i sztylet staną się dla ciebie bliskimi realiami tej wspaniałej epoki.

— Nie żartuj. Ciarki mnie przechodzą na wspomnienie tej, jak mówisz, „wspaniałej epoki” i jej realiów. Wolałbym już mieć do czynienia z realiami naszej współczesności.

— Masz wybitnie zły gust. Nasza współczesność jest równie krwawa i straszna, choćby wspomnieć ostatnią wojnę. Akurat mija trzydzieści lat... Jak porównać te okropności, wierz mi, Renesans lepiej się prezentuje. Jest w tej epoce coś,

9 — Renesansowa przygoda

129

co my, Włosi, określamy słowem „grandioso”, jakaś wyniosła wspaniałość, dumna wielkość ludzi i zdarzeń. Podczas gdy tu... Północni barbarzyńcy na gruzach Rzymu zachowywali się tak samo jak współczesna soldateska. A renesansowi władcy? Przymierz ich do dzisiejszych tyranków. Jacyż mali, podli i wulgarni wydadzą ci się ci ostatni... Ich zbrodnie to ordynarne przestępstwa, podczas gdy wyrafinowane okrucieństwo takich Baglionich czy Malatestów było sztuką.

— Och, znowu zaczynasz mnie epatować tą swoją filozofią zbrodni — skrzywił się Broniś. — Trochę w tym jest pozy, przyznaj. Czujesz się w tej chwili Sforzą i kondotierem, nie sobą. Szczęściem, wiem już, jaki jesteś naprawdę.

Oczy Franca zabłyśły gniewnie.

— Taki właśnie jestem, Bronco, i jestem sobą. To ty jesteś za prosty na te skomplikowane sprawy. Twoja uczciwość buntuje się... To nic, wkrótce ci pokażę...

— Otóż to, miałeś mi pokazać coś ciekawego. — Broniś pragnął zmienić temat rozmowy, która nieznacznie zesłała na niebezpieczne tory.

— Cierpliwości. Najpierw studnia.

Naprężona linka wskazywała, że ciężarek nie dotknął dna.

— Widzisz, za krótka.

— Za krótka, a ma dwanaście metrów!

— Oświećmy dobrze ściany studni, może i tu jest jakiś otwór czy korytarz.

— Niemożliwe, przecież nie ma zejścia!

— W owych czasach mogło być. Na przykład stalowa drabinka czy coś w tym rodzaju...

Rzeczywiście. Gdy opuścili na linie nową latarnię, najwyraźniej — mniej więcej w połowie głębokości, licząc od powierzchni wody do nich — zaczerniał otwór jak gdyby korytarza.

— Musimy się tam dostać!

— Musimy — zgodził się Broniś. — Przypuszczalnie jest

130

inna droga. Trzeba koniecznie raz jeszcze obejrzeć korytarze. Wszystkie.

Z otwierającej się przed nimi otchłani szedł wilgotny chłód i zapach stęchlizny, woda jednak była świeża, jak wskazywała sonda, której nie pobrudziła pleśń.

Widocznie pod skałą było podziemne źródło, zasilające studnię w zawsze świeżą wodę.

— Chodźmy — przynaglił intendent. — Nic tu więcej nie zdziałamy. Trzeba odłożyć na następną noc...

Broniś z westchnieniem oderwał się od czarnej, przyciągającej jak magnes czeluści.

— Coś mi mówi, że to tam — wskazał studnię. — Ach, żeby tak mieć odpowiednie urządzenie...

— Teraz jest nas dwóch — uśmiechnął się Franco — a przedtem ja sam... w tych warunkach...

Broniś zwinął linkę.

— Gotowe, możemy iść.

Gdy znaleźli się na powierzchni ziemi w zrujnowanej baszcie, z dziedzińca doleciało kichnięcie. Zwykle kichnięcie, zwiastujące na przykład katar. Nie zachowując ostrożności wybiegli na dwór. Nie było nikogo.

— To ty, Paolo? — zawołał dozorcę intendent, nie otrzymał jednak odpowiedzi. Szybko wydostali się na pierwsze podwórze, zajrzeli do wieży, wyskoczyli nawet za bramę, wszędzie jednak panowała cisza. Zresztą łatwo było ukryć się w cieniu murów lub za skalnym załomem. Człowiek, który kichnął, nie mógł jeszcze opuścić zamkowego wzgórza, nie słychać było ani odgłosu kroków na płytach dziedzińca, ani skrzypu żwiru na drodze. Gdzież się więc podział? Zużyli na te poszukiwania większą część zamkniętej w latarce energii, wszystko bezskutecznie.

— A jednak ktoś tu był. — Broniś, dysząc ciężko, usiadł na kamiennym progu wieży.

— Ktoś tu jest — poprawił intendent. — Gdzieś się czai, a jeżeli się ukrywa, w takim razie to wróg.

131

— Czy sądzisz, że... wrócił?

— Z całą pewnością. Bolonia niedaleko. W nocy nie jest paniom potrzebny.

— Czy... robi to z polecenia?

— W tym właśnie sęk, że nie wiem. W każdym razie mam duże wątpliwości. No cóż, zobaczymy. A teraz chodźmy.

W przygasłym świetle na pół wypalonej lataraki weszli na te same schody, którymi Broniś wędrował podczas swej pierwszej bytności w Castello Sforzesco. Pięli się mozolnie coraz wyżej, a na każdym zakręcie owiewał im twarz wpadający przez wąskie strzelnice chłodny podmuch.

Wreszcie stanęli przed drzwiami, które zatrzymały wówczas Bronisia w jego wspinacze. Znowu zobaczył ćwieki i o-kucia połyskujące tym razem w słabym świetle lataraki. Mógł też przeczytać napis, biegnący w otoku dookoła drzwi. A nad tym wszystkim przeżył się gotowy do skoku lew.

— To jedyna, zachowana dotąd część zamku — oznajmił intendent. Mówił szeptem, jak gdyby obawiał się by ich kto nie podsłuchał. — Opowiadał mi stary Paolo, dozorca, że gdy tu nastał, drzwi wisiały wyrwane z zawiasów. Naprawiono je. Na szczęście były zbyt mocne, by dali im radę współcześni wandale. Paolo ma klucz. Rzadko jednak wpuszcza tu kogo. Od czasu do czasu bywa konserwator i tyle. — Z kieszeni wyciągnął długi cienki klucz o skomplikowanym „uzębieniu”.

Broniś z wyczekującym wyrazem twarzy śledził ruchy przyjaciela, który biedził się nad otwarciem tych prawdziwie for-tecznych drzwi.

— Stary Paolo nieczęsto widać korzysta ze swego klucza — zauważył wreszcie.

— To nie jest klucz Paola — odparł intendent mocując się z zamkiem. — Mój klucz był robiony pospiesznie, bez możliwości „przymiarki”. Paolo zazdrośnie strzeże swego klucza i można powiedzieć, że się z nim nie rozstaje. Sporządzenie

132

tej kopii kosztowało mnie niemało zachodu. Ale warto było, zobaczysz. Trzeba tylko zgasić latarkę.

Przestąpili tajemniczy próg w zupełnych prawie ciemnościach. Intendent zamknął

starannie drzwi i z zewnątrz nic nie wskazywało, że ktoś jest w baszcie. Gdy wzrok oswoił się nieco z ciemnością, można było jako tako zorientować się w otoczeniu, przez niewielkie bowiem, lecz gęsto zakratowane okno wpadała nocna poświata wygwieżdżonego nieba.

Izba była mała, kwadratowa, wykrojona jak gdyby w grubych murach baszty. W bocznej ścianie widniały niskie drzwi. Podłoga z ceglanych płytek tak była wytarta, że tylko pod ścianami pozostał ślad dawnej polewy. Nie było tu żadnych sprzętów, nic, tylko gołe ściany. Jediną rzeczą godną uwagi okazała się niewielka płaskorzeźba nad niskimi drzwiami. Broniś wyczuł raczej palcami, niż zobaczył, mistrzowskie wykonanie tego renesansowego cacka, a chłodny marmur przekazał mu tylko kształt konia i siedzącej na nim postaci jeźdźca.

— Tullio Lombardo — poinformował szeptem intendent. — Ten sam, który zrobił nagrobek Guidarella Guidarelli. Byłeś w Rawennie, prawda? To rycerz Cezara Borgii, a zginął od sztyletu zdrajcy. Ładny chłopiec, co? Wyobrażam sobie, ile łez wylały po jego śmierci damy z całej Romanii. I jeszcze dziś... Podobno pocałowanie marmurowych warg Guidarella przynosi szczęście. Odgródzono też posąg od publiczności, bo dozorca Akademii skarżył się, że co dzień trzeba zmywać gąbką ślady szminki, pozostawione na białym marmurze przez zbyt gorące wielbicielki. Tę płaskorzeźbę też chciano wywieźć do Rawenny, do tamtejszego muzeum, ledwie gmina obroniła... Na szczęście nie ma tu żadnej reklamy i nikt z obcych nie wie o tym klejnociku...

Broniś rozglądał się dookoła, wysilając wzrok. Chłonał ową niepowtarzalną „atmosferę tamtych czasów”, którą dziwnie namacalnie odczuwało się w wieży. Przypominał sobie, jak to

133

już raz zagadnął intendenta o intrygujące drzwi, które zamykały dostęp do szczytu i jak otrzymał wymijającą odpowiedź. Ileż się zmieniło przez te ostatnie miesiące! „Badał mnie” — przemknęło mu przez głowę i ukradkiem spojrzął na orlą twarz, która doskonale wyśląby w marmurze. Niestety, ten Sforza nie miał swego Donatella czy Verocchia. No cóż, czasy się zmieniły i nastała era mistrzów fotografii.

— Chodźmy dalej — zniecierpliwiał się przewodnik, popychając niskie drzwi pod płaskorzeźbą. — Możesz zapalić — rzucił krótko, gdyż znaleźli się w malutkim pomieszczeniu bez okna, skąd węższe jeszcze schody „w ślimacznice” prowadziły do góry.

Mury były poczerńiałe i tak wygładzone od dotyku rąk, że w świetle latarki lśniły jakimiś brudnobrązowym odblaskiem.

— Chodź prędzej — przynaglał Franco.

— Oto ostatnia kondygnacja wieży — Broniś utkwiał wzrok w górze. — Nareszcie zobaczę, jak stąd wygląda Meldola i okolica... Jak myślisz, czy Paolo wpuści mnie tu kiedy za dnia?

— Może i wpuści. Co prawda strzeże jak Cerber tej baszty, ale jej przecież nie ugryziesz. A teraz zgaś światło i chodź.

Pięli się omackiem w zupełnych ciemnościach. Schody zataczały kręgi dookoła swej osi coraz wyżej, aż kręciło się w głowie. Wreszcie poczuli świeże powietrze i usłyszeli szum wiatru hulającego na szczycie. Znowu była mała, tym razem okrągła izdebka — platforma, nakryta hełmem i otoczona grubymi fortecznymi murami, które gęsto podziurawiono otworami strzelnic, tak gęsto, że mur między tymi wąskimi paskami powietrza wydawał się już tylko przegrodą dzielącą na wiele części to jak gdyby jedno wielkie okno.

— Broń Boże nie zapalaj latarki — ostrzegł intendent. — Nie wiem, co by było gdyby Paolo zwęszył prawdę... Tu na szczęście nie przychodzą turyści, inaczej zniszczyliby wszystko, napis bowiem znajduje się na podłodze. Już i tak jest sła-

134

bo widoczny, wiele stóp deptało te harde słowa. Często zastanawiałem się, dlaczego umieszczono je w tym właśnie miejscu? Może ręką ich twórcy kierowała ta sama chrześcijańska pokora, która kazała grzebać możnych tego świata pod posadzkami średniowiecznych katedr, by najmniejszy z maluczkich mógł deptać prochy grzesznika? Nie wiadomo. W każdym razie treść napisu stoi w jaskrawej sprzeczności z miejscem, gdzie go umieszczono. Odczytasz bez trudu, nawet w ciemności, litery są wypukłe... Widzisz? Trzeba po nich wodzić palcami, to coś jak alfabet "????"?... W tych więc warunkach trzeba je czytać na klęczkach. Może i w tym jest głębsza myśl, nie sądzisz?

Broniś poczuł nierówności pod stopami, ukląkł, jak chciał zapewne autor napisu, i w tej pełnej pokory postawie, przy pomocy intendenta zabrał się do odczytania tego, co przechował kamień.

WZNIÓSŁ MNIE HRABIA BERTINORO — oznajmiała z dumą wieża. — POSIADALI MNIE

ORDELAFFI, PANOWIE TEJ ZIEMI, PÓŹNIEJ ZAWŁADNĄŁ MNĄ MALATESTA NOVELLO Z CESENY,

NASTĘPNIE POTĘŻNY HRABIA Z RIMINI. NALEŻAŁAM DO KSIĘCIA VALENTINO, A POTEM DO

REPUBLIKI WENECKIEJ. JEDNAKŻE ZAWSZE, CZY TO POD RZYMEM CZY POD LOMBARDAMI,

BYŁAM SFORZÓW, TAK JAK JESTEM I BĘDĘ SFORZÓW, DOPÓKI STOI TA SKAŁA, A NA SKALE

CHOĆ JEDEN KAMIEŃ Z TEJ FORTECY. TAK MI DOPOMÓŻ BÓG.

Głos, który zamilkł, powtórzywszy napis, nie był głosem Franca Petracini, intendenta w służbie markizy Chiaramonte. Był to głos, jakim niegdyś właściciele zamku oznajmiali swą wolę poddanym.

— Wierzysz teraz? — spytał. — Rozumiesz, dlaczego nie mogę stąd odejść?

— Rozumiem — przytaknął Broniś, a własny głos wydał

135

mu się także inny niż zwykle. Może to miejsce miało specjalną akustykę, która zmieniała brzmienie dobrze znanych słów?

Z westchnieniem wstał z klęczek, uważając, by nie nadepnąć na chełpliwą wypowiedź. Gdzież byli ci potężni niegdyś Sforzowie? Co się stało z ich zamkami? Kogo dziś obchodzą poszczerbione ruiny, z których mimo upadku i opuszczenia bije jeszcze pycha? Do kogo przemawiają te nędzne resztki? Do kilku starych ramoli, grzebiących się w równie starych szpargałach zakurzonych bibliotek? Czy do zmunifikowanych nudziarzy, przesiąkniętych zapachem formaliny czy innych środków dezynfekcyjnych, jakimi okadza się eksponaty z za-pleśniałych muzeów? Owszem, jest tu pan tej kupy kamieni, bezsilny Sforza, nie mający odwagi nosić brzemiennego w historię nazwiska. I co z tego? Co im przyjdzie, tym rozsypującym się w proch gruzom, z takiego potomka dawnej wielkości?

Odwrócił się z niesmakiem od zarozumiałej pewności siebie „tamtych czasów” i nie czekając na towarzysza zaczął schodzić krętymi schodami w dół.

— Wiem, co czujesz. — Był to znowu głos intendenta pani Chiaramonte. — Niemniej taka jest prawda i nic tego nie zmieni. Nic. Dopóki stoi ta Skała.

Przystanąli dopiero w kwadratowej izbie.

— Chciałbym obejrzeć płaskorzeźbę — mruknął Broniś nie patrząc na towarzysza. — Kogo przedstawia?

— Bosia, jedynego syna Muzia Attendoli, zrodzonego z legalnego związku Sforzy z Antonią Salimbeni. To był też kondotier nie lada. W zamku znajdowało się więcej prac Tullia Lombarda, jak również w pałacu, który się spalił.

— W tym, na którego miejscu wybudowano Willę Atten-dola?

— Tak, spłonęło tam wówczas wiele dzieł sztuki, szczególnie obrazów, w tym parę prac Bernardina Luini, malarza Sforzów, oraz wspaniałe freski. W owych czasach pożary nie były

136

rzadkością i niejeden twór ludzkiego geniuszu padł pastwą płomieni. Niektóre z nich znamy z opisów współczesnych, inne zginęły na zawsze bez śladu.

Broniś nie miał ochoty do rozmowy. Czuł się dziwnie skrępowany, choć sam nie wiedział czemu. Tak się ostatnio zbliżył z Frankiem, a oto znów powróciła dawna obcość. Coś tu było nie w porządku, tylko co?

Intendent jak gdyby czytał w myślach towarzysza.

— Schodzimy? — spytał bawiac się kluczem, a na jego ustach błąkał się ledwie widoczny, bardzo smutny uśmiech. Bronisiowi wydawało się, że twarz przyjaciela wyraża współczucie czy politowanie i wzięła go złość na tego pyszałkowate-go zarozumialca, opętanego swoim rodzajem manii wielkości.

— Schodzimy — odburknął i pierwszy pchnął masywne drzwi izdebki. W tej chwili na schodach rozległ się tupot uciekających nóg. Broniś skoczył naprzód świecąc latarką. Za nim pędził Franco. Wybiegli z baszty na podwórze i tak jak przedtem nie znaleźli nikogo. Broniś wypadł za bramę, ale głęboki cień murów mógł ukryć niejednego uciekiniera.

— Sądzisz, że Mauro ośmieliłby się?... — spytał, gdy po bezowocnych poszukiwaniach wrócili do baszty.

— Jest gotów na wszystko. Czy przyjrzałeś się kiedy jego gębie?

— To dlaczego markiza...?

— On też jest jej tworem. Tak samo jak ja. Od dziecka. Patrzy w nią jak w obraz. Zresztą tak było dawniej, teraz może jest inaczej, nie wiem...

— Nie rozmawiałeś o tym z panią Chiaramonte? Może należy ją ostrzec?

— Nie znasz jej. To twarda kobieta. Wyśmiała mnie, gdy delikatnie starałem się napomknąć, by nie ufała za bardzo służbie.

— I co powiedziała?

— Pożałowałem mego „wtrącania się w nie swoje sprawy”.

137

Tak się wyraziła. Dowiedziałem się przy tym, że jako jeden z nich, to znaczy ze służby, mogę być równie podejrzany, a jeszcze bardziej niebezpieczny. Możemy już chyba pójść, co?

Powoli zstępowali ze wzgórza. Noc była wietrzna, choć pogodna. Mimo tylu wrażeń, Broniś nie czuł zmęczenia i chętnie wybrałby się teraz na długi spacer. Woda w rzece Ronco bulgotała cichutko, a pięć arkad weneckiego mostu rysowało się wyraźnie na nieco jaśniejszym niebie. W parku szumiały stare drzewa i chwilami wiatr przelatywał alejami.

Doszli do domu bez słowa. W westybulu intendent zapalił elektryczną pochodnię nagiego Efeba.

— Wybacz mi — powiedział cicho. — Ty jesteś z innego świata i nie powinienem być mącić twojego spokoju. Ale już jest za późno, a każdy lubi nieść swój ciężar z

pomocą innego człowieka.

Gniew opadł z Bronisia. Znów czuł sympatię i coś na kształt współczucia dla tego chłopca, który będąc niemal jego rówieśnikiem ugiął się pod brzemieniem tragicznej spuścizny.

Leżąc pod purpurowym baldachimem długo nie mógł zasnąć. W uszach brzmiał głos Franca, a pod powieki wciskał się smutny uśmiech intendenta. Dlaczego nie strząsnął z siebie ciężaru wieków? Czemu się zaprzedał w niewolę przebrzmiałej już dziś przeszłości? Mógł się wyzwolić, rzucić do diabła wszystkie te mrzonki, żyć jak współczesny człowiek we współczesnym świecie. Co go trzyma przy tej walącej się wieży? Jest przecież tylko Frankiem Petracini, jednym z milionów młodych ludzi, zajętych urządzaniem sobie życia i używaniem młodości. Do diabła z tym wszystkim! Jeśli jest normalny, musi przecież zrozumieć... I ta biedna Maria! Kocha go, bezwzględnie kocha tego pozbawionego konia i zbroi kondotiera. A on? Twierdzi, że żyje dla niej, niemniej zbyt wiele myśli o sobie i swoich Sforzach. Oni są winni wszyst-

138

kiemu, ich to nienasycona pycha, żądza władzy i wielkości, ich chciwość i okrucieństwo wsączyły w tego biednego chłopca niebezpieczną truciznę. I nagle stanęła przed nim Klara... Piękna a nieszczęśliwa. I też ogarnięta szaleństwem.

Trzeba ratować tego nieszczęśnika! Nie zapomni nigdy śmierci Klary, ją też zgubiła pycha, straszna, nieludzka pycha. Nie można pozwolić, żeby i on...

XIII

Gdy po przerwie obiadowej wrócił do pracy, na bibliotecznym stole czekał list. Pani Wanda dowcipnie opisywała „hotelowe perypetie” i zapowiadała powrót na koniec miesiąca.

...Mimo połowy września w Sorrento pełnia lata. Miasteczko jest rzeczywiście tak piękne, jak przystało na „najbardziej romantyczne miejsce na ziemi”. Jadąc tutaj wstąpiliśmy do Bari i nareszcie miałam okazję zwiedzić słynną katedrę nad brzegiem morza, a w niej dwa równie słynne grobowce: świętego Mikołaja i królowej Bony. Nie wiem, czy interesował się pan przedtem postacią tej kobiety, ale mnie, gdy byłam studentką, zafascynowała ta renesansowa Włoszka na wawelskim zamku. Przeczytałam wówczas wszystko lub prawie wszystko, co o niej u nas napisano, a co było mi dostępne, i z tej lektury wyniosłam dwa portrety Bony, dziwnie od siebie odległe, cóż bowiem łączyło młodą, uroczą Banitę ze starą, groźną królową, lubującą się w truciznie? Grobowiec rzeczywiście wspaniały, Anna Jagiellonka nie poskapiła grosza, gdy wystawiała matce ten pośmiertny pomnik... Posiedzimy do końca miesiąca w ojczyźnie Torquata Passa, a potem będziemy już tylko wspominać „Wróc do Sorrento”, które właśnie uliczny grajek nuci pod oknami brząkając na gitarze...

Broniś wsunął list do koperty i zapatrzył się w błękitne mo-

139

rze na starożytnym globusie, gdzie były syreny, gwiazdy morskie i inne dziwy. Sorrento... Torquato Tasso... O sole mio... Żeby tak kiedy pojechać na to wymarzone Południe. Do licha, jest niby blisko, a mimo to nic z tego.

Dłużył mu się już czas bez wizyt na via Pisacane, tym bardziej że zaprzestali nocnych poszukiwań w zamku, Franco pragnął bowiem „przechytryć” niepożądanego świadka ostatniej eskapady. Poza tym wróciła markiza. Maria miała wreszcie toalety godne wnuczki pani Chiaramonte i[^]-z dumą prezentowała przyjacielom cuda z bolońskich magazynów.

List pani Wandy przywołał go do spraw, od których w ciągu ostatnich dni nieco odszedł. Tak, tak, grobowiec królowej Bony... Bari...

Zerwał się i skoczył do szafy za plecami. Musi tam stać książeczka, Franco raz mu pokazał. O, to chyba ta. Tak, wydana we Florencji w 1833 roku. Tytuł brzmi: „Notizie dei secoli XV e XVI sull'Italia, Polonia e Russia raccolte e pubblicate da Sebastiano Ciampi”, co przełożone na polski będzie mniej więcej tak:

„Wiadomości dotyczące Italii, Polski i Rosji w wieku XV i XVI. Zebrał i wydał Sebastian Ciampi”. Ten Ciampi musiał być nie lada badaczem, a interesowały go stosunki polsko-włoskie w okresie Odrodzenia. W roku 1829 opublikował „Znakomitych Włochów w Polsce”, a w dwa lata potem opisał wrażenia z podróży do Polski odbytej w 1830 roku. Książka, którą Broniś trzymał w ręku była zbiorem listów, not i sekretnych instrukcji wydobytych z zapomnienia z archiwów włoskich przez zapobiegliwego szperacza, a pisanych bądź po włosku, bądź po łacinie. Twardy okazał się ten orzech do zgryzienia dla kogoś, kto jak Broniś nieświeżo znał włoski, a z łaciną był na tyle obyty, o ile potrzeba było, aby móc odcyfrować tytuł dzieła z księgozbioru markizy. Odczytanie więc całych stron drobnego druku, czy to tajnych instrukcji papieskich dla nuncju-

140

szów w Polsce, czy listów Bony, przerastało możliwości i siły takiego czytelnika. Sebastian Ciampi zadedykował swój zbiór dokumentów o stosunkach polsko-włoskich w XV i XVI wieku hrabiemu Stanisławowi Zamoyskiemu, oddając przy tym należny hołd pamięci wielkiego kanclerza Jana, ucznia, a potem przez jakiś czas rektora padewskiego uniwersytetu.

To wszystko było jeszcze zrozumiałe, dalej jednak zaczynała się abrakadabra. Bez pomocy Franca nic nie poradzi. A może Maria? Tylko czy starczyłoby jej cierpliwości? Zresztą i tak nie zna łaciny. Zapytać doktora, gdy wróci? Albo najlepiej panią Davitti.

Nie odstawił książki na miejsce, postanawiając tymczasem prosić o pomoc intendenta.

Tego dnia praca znowu nie szła. Bardziej niż zwykle odczuwał samotność i oddalenie, jak gdyby oderwanie od świata. W Warszawie było zupełnie inaczej. Przede wszystkim był dom, a w nim ciotka Zuzanna. Byli też przyjaciele i koledzy z dawnych lat. Ponadto był wolny. Po pracy mógł iść do kina, do teatru, spotkać się z kim chciał. Była też ulica, był ruch i gwar. Było życie. A tu? Cóż z tego, że o szóstej skończy biblioteczne zajęcia, gdzież potem pójdzie? Co zrobi z wolnym czasem? Znowu będzie siedział w wielkim zabytkowym pokoju czytając stare romanse lub się wybierze na samotny spacer. Złaził już tak całą okolicę — i co z tego? A wieczorem? Najwyżej pogapi się w telewizor w towarzystwie mrukliwego szofera i zaczepnej pokojówki.

Miał już doprawdy dość tego wszystkiego. Jeszcze te nocne wizyty w ruinach to była jakaś podniecająca przygoda, ale i one ustały. Franco używa makiawelicznych wybiegów i myśli, że wyprowadzi wroga w pole, a tymczasem odwlecze się tylko rozwiązanie pasjonującej zagadki, jeśli takowa rzeczywiście istnieje. Dziś zwątpił już prawie we wszystko, w co kazano mu wierzyć. Widzi teraz jasno, że uległ jedynie per-

141

swazji. Jego rozum nie brał udziału w tej nieprawdopodobnej awanturze. Z całego tego bałaganu można jednak wyciągnąć pewną korzyść. Włosi w Polsce w epoce Renesansu... Czyż to niedobry temat do pracy doktorskiej? Chyba warto się zastanowić.

Stary globus skrzypi na podstawce pod niecierpliwą ręką. Broniś bezmyślnie kręci osią, na której osadzono tę minizie-mię, obracającą się teraz w zawrotnym tempie. Raptem... Odgłos jak gdyby wystrzału i globus rozpadł się na dwie części, ukazując puste wnętrza obu półkul. Na lśniącym blacie stołu leży karteczka, nie karteczka, raczej pasek sztywnego jedwabiu lub innej podobnej materii, którą w tym oryginalnym miejscu przechowały może wieki.

Powoli, ostrożnie Broniś dotyka niemego świadka „tamtych czasów”. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to świadek stary, okazuje się też, że bynajmniej nie jest niemy, na szaro-brudnym bowiem tle czernią się litery. Trudno je odczytać, bo trudno, takie powykręcane, ozdobione różnymi „fiorytu-rami”, ale przecież... W zamyśleniu podnosi głowę i machinalnie spogląda na napis pod sufitem. Tak, wstążka z globusa powtarza dobrze znane przysłowie: Quidquid agis, prudenter agas et respice finem.

Broniś ogląda pasek jedwabiu, a nawet wacha go — perfumy z czasów Renesansu były niezwykle trwałe, niektóre szkatuły czy flakony zachowały zapach starych pachnideł aż do naszych czasów — po czym ostrożnie wkłada do jednej z półkul. Ale jak złożyć zepsuty globus? A może nie jest wcale zepsuty? Może to przemyślna skrytka do schowania jakiegoś cennego dokumentu? Skąd jednak to przysłowie? Franco co prawda wspomniał, że to dewiza jego rodu, ale jakie znaczenie...? Składa delikatnie dwie połowy globusa. W środku tkwi oś. Chwilę żongluje półkulami, gdy suchy trzask oznajmia, że ziemia jest znowu cała, jednolita, bez śladu pęknięcia. Oto

142

globus stoi na podstawce, obrócony do Bronisia Nowym Światem. Nie ma najmniejszego znaku, że coś się wydarzyło, nikt nie pozna tajemnicy „wnętrza ziemi”!

Mija jeszcze trochę czasu, a Broniś nie może oderwać wzroku od niezwykłego globusa. Zaraz, zaraz, jest przecież i drugi! A jeżeli i ten...? Warto spróbować. Drugi globus jest cokolwiek mniejszy, może starszy, gdyż bardziej zniszczony. Na próżno jednak Broniś obraca kulę ziemską, globus nie rozpada się na dwie połowy. Wygląda mocno i solidnie. Nowy Świat nie zdradza najmniejszych chęci, by odseparować się od Starego. Nie zrażony Broniś nie przestaje kręcić, aż wreszcie „głowa odłącza się od tułowia”, to znaczy globus od podstawki. Oś, na której jest osadzony, wysuwa się z małego, okrągłego otworu, rozszerzającego się lejowato w puste wnętrza podstawki.

No i co? Co zyskał wykręciwszy globus z podtrzymującej go drewnianej podpory? Jednakże warto zbadać. Może to też swego rodzaju schowek? Kto wie? Broniś potrząsa podstawką, otwór jest za mały, by wyraźnie dojrzeć... Może tam co i leży. Doprawdy nie wiadomo. Najlepiej chyba szpilką... Ostry koniec wyszarpuje z wnętrza podstawki podobny do pierwszego pasek jedwabiu. I tu są litery.

Bronisiowi robi się gorąco. Ależ tak, najwyraźniej stoi napisane: QAPAERF. QAPA! Te litery śniły mu się po nocach. Ileż razy łamał sobie głowę nad ich znaczeniem! Ile hipotez wysunęli trzej poszukiwacze odnośnie tych znaków! Broniś wpatruje się w kawałek przybrudzonego jedwabiu powtarzając w kółko: QAPA, QAPA, QAPA. I znowu wzrok jego wędruje ku górze, napotyka dobrze znany napis: Quid-quid agis... Boże, Boże, już wie! Jakże mógł tyle czasu...? Przecież to bije w oczy! Quidquid agis... QA... Prudenter agas... PA, a dalej to litery ze wstążki: ERF — et respice finem!

Z hałasem odsuwa krzesło, zrywa się, wymachuje rękami,

143

zachowuje się jak wariat. Rozpiera go duma: oto odkrył tajemnicę, wyjaśnił zagadkę, która jeszcze przed chwilą wydawała się nie do rozwiązania! A to takie proste! Że też nikomu z nich trojga nie przyszło na myśl! I akurat ten globus... Chwileczkę. Ktoś się interesował globusem, dobrze pamięta. Krótka czuprynka, ciemne oczy... „Czy ten globus stale tu stoi?” Naturalnie, to Maria pytała go i obracała kulą ziemską, i tak patrzyła, przyglądała się globusowi i podstawie... Quidquid agis... — starożytna dewiza przyjęta przez renesansowych kondotierów. Ale jaki związek? Tu, pod sufitem bibliotecznej sali, na skrawkach jedwabiu w globusach i tam w podziemiach ruin...

Tak, jaki związek? Ileż jeszcze trzeba wyjaśnić! A właściwie, tak prawdę powiedziawszy, to czy wie, czego szuka? Franco wciągnął go w swą grę, posługuje się nim jak pionkiem na szachownicy. I co dalej? Mówił coś o tajnym archiwum Sforzów, odczytał jakiś list na poparcie swych słów, poza tym wspomniał o testamencie Bony. Tak, to właśnie jest najważniejsze: testament. Teraz musi wiedzieć wszystko. Do dna. Nie może być żadnych niedomówień. Przecież Maria coś wiedziała, jakaś część prawdy była jej znana. Czyżby więc oszukiwała ich obu?

A Franco? Gdy po raz pierwszy tam w baszcie poprosił go o pomoc, czyż nie wspomniał o testamencie Bony? Był to ów lep, na który dał się złapać jak byle mucha. Tak, teraz przejrzał. Ale nie oni, tylko on odkrył tajemnicę łacińskiej sentencji. Wystarczy powiązać rorzuczone części łamigłówki, a prawda zajaśnieje w całym blasku.

Prawda... Jaka ona jest ta prawda, dla której poznania gotów teraz na wszystko? Za daleko już zaszedł, by utknąć w połowie drogi. Dziś jeszcze porozmawia z intendentem. Zaproponuje układ. Teraz może stawiać warunki, domagać

144
się wyjaśnień. Nie da się zbyć byle czym, o nie, trzyma przecież w ręku najmocniejszy atut.

Odkłada na bok książkę Sebastiana Ciampi. To kopalnia arcyciekawych wiadomości, jednakże sam tego nie ugryzie. Tym razem nie przyzna się do swej ignorancji, zwróci się do pani Wandy. To mądra kobieta.

Ledwie może doczekać końca dnia pracy, tak mu pilno „postawić jasno sprawę”. Nie może usiedzieć przy bibliotecznym stole, a czas jak na złość prawie się nie posuwa. Punktualnie o szóstej zamyka za sobą drzwi biblioteki. Pędzi na drugie piętro. Franco siedzi w pracowni pochylony nad rachunkami.

— Możesz poświęcić mi chwilę czasu?

— A, to ty, Bronco? Siadaj, proszę, bardzo się cieszę.

— Słuchaj, dawno już miałeś mi powiedzieć...

— O czym?

— O testamencie królowej Bony. Chciałbym nareszcie dowiedzieć się...

Francesco Petracini odsuwa rachunki i obraca się twarzą do Bronisia.

— Co się stało?

— Nic, chcę tylko, byś mi wszystko powiedział. Wszystko.

— Powiedziałem ci wiele rzeczy. Pamiętam, nie byłeś wówczas taki skory do słuchania.

— To było dawno, nie znałem cię...

— Wiem, wiem, obdarzyłeś mnie wówczas epitetem wariata. Ale to nic.

— Tyle czasu pracujemy razem...

— Zawsze byłeś lojalny, przyznają, a teraz... Skąd ta zmiana?

— Nic się nie zmieniło.

— Zmieniłeś się, Bronco. W tej chwili patrzysz na mnie nie jak na przyjaciela... a ja jestem zawsze ten sam.

— Może dopiero dziś zobaczyłem cię takim, jakim jesteś?

10 — Renesansowa przygoda

145

— I przestałem ci się podobać?

— Urzekła mnie maska renesansowego księcia. Zbyt szczelnie przylega do twojej twarzy.

— Mam jedną twarz i nie noszę maski. Żaden Sforza nie był hipokrytą. Co chcesz wiedzieć?

Broniś poprawił się w fotelu.

— Wszystko, co mi powiedziałaś, jest prawdą. Wiem. Nie posądzam cię też o ukrywanie czegośkolwiek. Ale tak się złożyło, że nie mieliśmy okazji pomówić o najważniejszym, to znaczy o testamencie Bony. Pomagam ci, wspólnie pracujemy, dzielimy dole i niedole, więc chyba nic dziwnego...

— Ale dlaczego dziś?

— Zawsze tak jesteśmy zajęci poszukiwaniami...

— Przypomnij sobie, że to ja zmusiłem cię, byś mnie wysłuchał. Siłą wtoczyłem ci do głowy całą tę historię. Broniłeś się rękami i nogami i nie chciałeś nic wiedzieć, a teraz...

— A teraz chcę.

— I dlatego zarzucasz mi nieszczerłość, a może i coś więcej?

— Dlaczego Marię interesował globus?

— Globus? Jaki globus?

— Nie jeden, dwa globusy. Te z biblioteki.

— Nie wiem. Nic mi nie mówiła.

— Nic ci też nie mówiąc, wsunęła listy dziadka do czarnej teczki.

— Pamiętam. Biedna Maria, wyobrażasz sobie, co czuła wobec babki? Wiedziała przecież, kto ponosi winę za przedwczesną śmierć jej matki. Jechała tu przepełniona nienawiścią, w myśli sto razy nazywając markizę morderczynią. Czy tego nie rozumiesz? Mówiłem ci, jakie miała życie. Markiz Chiaramonte zabezpieczył córkę, mimo to umarła ona prawie w nędzy. A teraz przypuszczasz...

— Co cię właściwie łączy z rodziną Chiaramonte? Błada twarz intendenta pociemniała.

146

— Tego już za wiele. Najpierw posądzasz mnie o podwójną grę, potem oskarżasz Marię, na koniec zadajesz niedyskretne pytania. Przykro mi, że tak się rozstajemy, ale... Dziękuję za współpracę.

— Więc pokłóciliśmy się? Jak dwie kumoszki. Widzę, że jesteś tylko intendencem pani markizy, a ja miałem cię za kondotiera. Sforza! Do widzenia.

Wzburzony schodził na pierwsze piętro, na parter, przez westybul do parku.

Zapadał zmrok. Było ciepło, choć wietrzno. Nie widząc nic dokoła siebie, doszedł do bramy.

Czyżby tak miała się skończyć ta renesansowa przygoda? Głupim nieporozumieniem?

Dlaczego go tak poniosło? Teraz widzi jasno cały swój stosunek do intendenta i vice versa. Tak, tak, Franco tyle tylko uchylał zasłony, ile uważał za konieczne, by podsyć „historyczny zapal” pomocnika. Pomocnik zbuntował się, stąd gniew. Pozostała jeszcze Maria. Musi dowiedzieć się, czego chciała od globusów. Tak więc stracił przyjaciół i znowu jest sam. Trudno.

Zaraz po kolacji wrócił na górę. Na stole, pod „Wniebowzięciem” leżała książka Sebastiana Ciampi. Zasiadł do pracy uzbrojony w dwa grube słowniki: włoski i łaciński. Świt zastał go nad robotą.

*

* *

Była to najcięższa noc, jaką spędził w Willi Attendola. Z zaciśniętymi zębami pochylał się nad zbiorem dokumentów, ilustrujących stosunki polsko-włoskie w okresie Odrodzenia, opatrzonego uczonym komentarzem autora. O piątej rano zamknął książkę i zebrał notatki. Była spora kupka kartek gęsto zapisanych, „do przetrawienia” w czasie dnia, jak sobie postanowił.

Położył się — trzeba było rozprostować zgięte plecy — ale

147

nie mógł zasnąć. W porannym blasku z baldachimu sączyła się krew, spływając długimi smugami na olbrzymie łożo.

Broniś po raz dziesiąty rozważał sytuację. Tak, postępował lekkomyślnie, zaangażował się w awanturnicze przedsięwzięcie, godzące być może w interesy „chlebobdawczyń”, a tym samym szkodliwe i dla Biblioteki Narodowej. Narażał się na wielkie nieprzyjemności, w imię czego? W ogóle co się z nim stało? Nie poznawał siebie. „Rachunek sumienia” wypadł fatalnie, pierwszy raz zobaczył wyraźnie, czym ryzykował. Z drugiej jednak strony, wzięwszy pod uwagę rewelacje pana Sebastiana Ciampi, nie sposób było zejść z niebezpiecznej drogi. Wiedział więc, że mimo rozsądnych postanowień, nie przerwie swej „tajnej działalności”. Największym bodźcem do kontynuowania badań była myśl o Bibliotece Narodowej. Wyobrażał sobie, jakimi białymi krukami w stanie rękopiśmiennym wzbogaci narodowe zbiory i jakie wspaniałe materiały zbierze do zamierzonej pracy doktorskiej. Będzie z tego tematów na co najmniej dziesięć prac — obiecywał sobie.

Z Marią postanowił nie zaczynać, przewidując, że taka rozmowa może mieć równie nieprzyjemny przebieg, jak wczorajsze starcie z intendentem. Po drugie, jeśli dziewczyna rzeczywiście coś wiedziała — lepiej nie odsłaniać przed nią przyłbicy. Popełnił błąd nie do wybaczenia, wspominając Francowi o globusach. Może jednak intendent będzie milczał, nie wiadomo.

Ale intendent nie milczał. Gdy o pierwszej Broniś wchodził do siebie, od strony schodów nadbiegła Maria. Miała krótką białą sukienkę z długimi rękawami, ciemna czupryna podrosła i niesforna grzywka opadała jej na czoło. Wyglądała prześlicznie. Wtargnąwszy jak burza do pokoju, przystanąła pod obrazem.

— Wstydziliśmy się, Bronco — wybuchnęła. — Przypuściliśmy cię do tajemnicy, a ty...

— Niczego się nie wstydzę — odparł spokojnie — a o wta-

148

jemniczenie nie prosiłem. Odwrotnie, zmusiliście mnie do słuchania waszych sekretów. Wiem, że byłem wam potrzebny, wykorzystaliście moją niewiedzę, a teraz, gdy jestem zainteresowany równie jak wy, Franco odmawia mi wyjaśnień. Ciekawym, jak to nazwiesz.

— Franco miał zamiar powiedzieć ci wszystko, co sam wie o testamencie królowej Bony, ale mówił, że nie dałeś mu dojść do słowa.

— Chciałbym to wiedzieć. Czy wyglądam na awanturnika? Jestem cichym bibliotecznym molem, a raczej termitem. Proszę cię, Mario, nie miej do mnie urazy. Przecież pogodzimy się z Frankiem, zobaczysz i wszystko będzie po dawnemu.

— Po dawnemu? — krzyknęła. — O nie, mój panie — po czym przysuwając się do

Bronisia rzuciła: — Dlaczego pytałeś Franca o globusy?

— Bo chciałem, żebyś mnie o to zapytała — odparł zuchwale.

— Byliśmy trójką przyjaciół — przypomniała.

— Byliśmy?

— Bronco, ja wiem, że coś odkryłeś i nie chcesz nam powiedzieć. Ta kłótnia to pretekst, by się od nas odczepić. Chcesz pracować sam, na własną rękę, ale czy nie rozumiesz, że to niebezpieczne? Brak ci tylu wiadomości... Czyż nie przyjemnie było nam razem? Franco cię potrzebuje, taki był szczęśliwy.

— Ależ ja nie odmawiam pomocy, to Franco nie chce ze mną współpracować. Nie jestem temu winien.

— W takim razie spotkamy się dziś wieczorem i wyjaśnimy to nieporozumienie.

Przyjdiesz?

— Naturalnie.

— Dobrze. Idę do Franca.

Broniś z westchnieniem rozsunął żaluzje.

Maria nie da za wygraną — myślał. — Coś tam jej świta.

149

Zobaczymy, co będzie wieczorem. Ja w każdym razie nie rezygnuję.

O trzeciej wrócił do biblioteki, do zbioru Sebastiana Ciam-pi. Trudno. Musi przez to przebrnąć. Nie może liczyć tylko na noc. Studiowanie szesnastowiecznych dokumentów jest w tej chwili równie, jeśli nie bardziej ważne niż opracowywanie księgozbioru markizy.

Sala biblioteczna miała więc trzy tajemnice: 1) drzwi szafy prowadzące na sekretne schody i dalej do wykutych w murze korytarzy, 2) dwa globusy ukrywające niespodziankę i 3) napis pod sufitem, tak niewinny z wyglądu, ale pełen jakiejś ukrytej treści. Między drugą a trzecią zagadką istniał związek, a może wszystkie trzy prowadziły do jednego celu? Jakiego?

Oto pytanie, które sobie postawił.

XIV

— Widzisz, Bronco, to nieporozumienie. Pytaj, o co chcesz, Franco na wszystko odpowie.

— A może pozwolicie, że dziś ja zrobię maleńki wykład? Maria spojrzała bezradnie na intendenta.

— Jak chcesz — przytaknął Franco przyzwalająco. Broniś wydobyl z kieszeni kartki z notatkami.

— To jeszcze nie wszystko — powiedział szeleszcząc papierem. — Na resztę nie starczyło czasu...

— Słuchamy. — Maria zrobiła tak zwany „przyjemny wyraz twarzy”.

— Będzie to coś w rodzaju życiorysu polskich Sforzów — tak ich nazwałem — lub jeśli wolicie kartka z dziejów rodziny Sforzów w Polsce. Naturalnie w wielkim skrócie.

Śliczna, jasnowłosa Bonita, jedyna pozostała przy życiu córka księżnej Izabelli, i Bona Sforza, królowa Polski — to jak gdyby dwie różne postacie.

150

Młodość Bony upłynęła, jak wiecie, w Bari, a raczej w Neapolu, gdzie wraz z matką spędzała większą część roku na hiszpańskim dworze wicekróla Rajmunda de Cardona. Nie kończące się bale, turnieje, polowania pozwalają zaprezentować zgrabną figurę, wspaniałe stroje, sztukę konnej jazdy. Nic też dziwnego, że matka z córką z największą ochotą opuszczają ponury zamek w Bari; w Neapolu czeka je gościna w pałacu Castelcapuano i rozrywki, jakie daje tylko bliskość

królewskiego dworu.

Teraz celem życia Izabelli jest zabezpieczyć córce przyszłość, to znaczy dobrze wydać ją za mąż. Nie takie to jednak proste, kandydat bowiem musi odpowiadać narzeczonej urodzeniem i pozycją, a majątek Bony jest w owym czasie dość szczupły.

Wygnaną z mediolańskiego księstwa Izabella nie marzyła nawet dla córki o tak wspaniałej partii, jaką był Zygmunt, król Polski, który właśnie owdowiał. Los widać przeznaczył Bonie koronę, gdyż wkrótce została „Regina di Apolonia”, tak wówczas zwano tam Polskę.

Nie będę opowiadał o latach spędzonych na Wawelu, wspomnę tylko, że podczas swego długiego, bo blisko czterdziestoletniego pobytu w naszym kraju zebrała ogromne bogactwa, że bardzo korzystnie wpłynęła na ekonomiczny rozwój ziem otrzymanych od męża (tak zwanej oprawy), że dążyła do wzmocnienia władzy królewskiej w Polsce i do wyniesienia rodu Jagiellonów na należne mu miejsce w Europie.

Polskę opuszczała pełna goryczy, poróżniona z synem. Wracała do Bari, do pozostałego po matce księstewka, do wspomnień młodości. Wracała stara, schorowana, lecz bogata. Oficjalna wersja głosiła, że królowa przyjechała na kurację, by kąpielami siarczany w Abano leczyć reumatyczne dolegliwości, jakich nabawiła się na zimnej Północy, jednakże sama Bona wiedziała najlepiej, że do Krakowa już nie wróci.

Wywoziła 450 000 dukatów, sumę na owe czasy ogro-
151

mną, oprócz tego moc skarbów i kosztowności. Pozostawiła synowi jedynie pierścień zaręczynowy ze wspaniałym brylantem, który nazywano „Gwiazdą”. Od dawna przygotowywała się do wyjazdu, od dawna składała u weneckich bankierów wielkie sumy „na przyszłość” i przyznać trzeba, że drogo kosztowała Polskę ta włoska księżniczka, która nie wiadomo, czy oceniła szczęście, jakie na nią spadło w postaci szlachetnego Jagiellona. Mało było w owym czasie władców, którzy by dorównywali zaletami serca i umysłu królowi Polski. Równie dobrze Bona mogła poślubić kuzyna, syna owego Lodowika Moro, tak krwawo zapisanego w dziejach jej rodziny — bo i takie projekty snuła zapobiegliwa Izabella. Los jej byłby wtedy zupełnie inny. Przepraszam, może was nudzę?

— Ależ nie — zapewniła gorąco Maria.

— Mów dalej — mruknął Franco.

— Słynna pozostała historia „sum neapolitańskich”, których odzyskanie kosztowało Polskę lata starań i zabiegów oraz pochłonęło masę pieniędzy. Bona jednak wszystko wywozła prawnie i legalnie, tak pieniądze, jak kosztowności, a podstawą do tego była intercyza, spisana przed ślubem przez polskich i niemieckich jurystów, w roli swata wystąpił bowiem sam cesarz Maksymilian, „Romanorum Imperator semper Augustus”. Aktu tego dokonano raz w grudniu 1517 roku w Neapolu, potem w kwietniu następnego roku w Krakowie, między Zygmuntem, królem Polski, a Izabellą, wdową po Giovanni Galeazzo Sforzy, matką Bony. Cesarz Maksymilian, spokrewniony zarówno z Zygmuntem, jak z Boną, dawał królowi polskiemu porękę, że księstwo Bari po śmierci Izabelli przejdzie na Jagiellonów, spadkobierczynią bowiem całego majątku Sforzów była Bona, Izabella miała wyłącznie dożywocie. Jeszcze Karol V zatwierdził posiadłości przyznane mediolańskim Sforzom i w skład księstwa Bari weszły wówczas takie miasta i miasteczka jak Bari, Mo-

152

dugno, Pało i Ostuni oraz Grottaglie, Rossano i Longobuco w Kalabrii.

Był też w umowie punkt, który głosił, że jeśli Zygmunt umrze pierwszy, Bona ma prawo wywieźć wyprawę i kosztowności, pobierać dochody z nadanych sobie dóbr, nawet jeśli by chciała zamieszkać za granicą.

Po śmierci Izabelli księstwo Bari przeszło w posiadanie Zygmunta i Bony, którzy wysłali tam swego delegata. Potem, gdy Bona osiadła w Italii, sama zarządzała księstwem. Na dwa dni przed śmiercią zrobiła testament, zapisując wszystko synowi, lecz legaty, jakie poczyniła, tak nadszarpnęły spadek, że Zygmunt August nic prawie nie otrzymał. Wiadomo, że pożyczyła ogromną sumę Filipowi II i można powiedzieć, że to król Hiszpanii został dziedzicem dóbr Bony, a zabiegi o odzyskanie „sum neapolitańskich” długie lata zajmowały kancelarię Rzeczypospolitej.

Złymi duchami Bony byli dwaj jej faworyci, Lorenzo Pap-pacoda i Camillo Brancaccio, którzy najusilniej namawiali ją do wyjazdu z Polski. Nagła śmierć królowej nie wyklucza użycia trucizny, a są i tacy, co o tę zbrodnię posądzają Pappa-codę... Nie wiadomo.

— Wiadomo — przerwał Franco. — Leżało to jak najbardziej w interesie króla Filipa.

— Wracając do testamentu, księstwo Bari z przyległościami przypadło więc Filipowi II, jako że leżało w królestwie Neapolu należącym do Hiszpanii i z tego tytułu księżna Bari była lennikiem katolickiego króla. Zygmunt August nie dał jednak za wygraną. Odwołał się do swego teścia, cesarza Ferdynanda, stryja Filipa II, który naturalnie rzecz rozszadził na korzyść bratanka. Jednakże nie można było dłużej zwlekać z oddaniem tego, co się słusznie należało Jagiellonom, więc w pięć lat po śmierci Bony Filip II nakazał zwrócić Zygmuntowi Augustowi klejnoty, srebra oraz inne kosztowności pozostałe po matce i wypłacić 10 procent pożyczki, czyli 43 000 dukatów,

153

co zostało skrupulatnie wykonane przez ówczesnego wicekróla Neapolu, don Parafana de Ribera.

Zygmunt August, pozbawiony decyzją cesarza Ferdynanda praw do księstwa Bari, przez swego ambasadora w Madrycie ponowił żądania bezzwłocznego zwrotu pozostałych mu po matce ziem. Wówczas, na rozkaz Filipa, Tomasz Salernitano sporządził memoriał dotyczący księstwa Bari i jego przynależności, wywodząc uczenie prawa, jakie do tych włości posiadała Bona po matce, Izabelli Aragońskiej. Autor memoriału stwierdził, że w związku z wygaśnięciem głównej mediolańskiej linii Sforzów, słuszne jest, by lenna będące dotąd w jej posiadaniu wróciły do korony hiszpańskiej i dodał, że już Karol V miał zamiar włączyć Bari do posiadłości hiszpańskich, a królowa Bona zawartym potajemnie traktatem przyznała mu to księstwo po swej śmierci.

Zygmunt August musiał się więc zadowolić zwrotem dziesiątej części pożyczki, którą rząd hiszpański zobowiązał się wypłacać w rocznych ratach w wysokości 43 000 dukatów każda, czego jednak nie dotrzymał. Z chwilą śmierci króla, ostatniego Jagiellona na tronie polskim w roku 1572, prawa do tej sukcesji przejęła siostra jego, Anna Jagiellonka, w imieniu swoim i dwóch sióstr, Zofii księżnej Brunświckiej i Katarzyny królowej szwedzkiej, cedując połowę przypadającej im sumy Rzeczypospolitej. Księżna Zofia zmarła bezpotomnie, a Katarzyna pozostawiła syna Zygmunta późniejszego Zygmunta III Wazę. Anna Jagiellonka, wdowa po Stefanie Batorym, umierając zapisała siostrzeńcowi należną sobie część sukcesji Bony. Po Zygmuncie III „sumy neapolitańskie”, a właściwie

walkę o ich posiadanie odziedziczył Władysław IV, po nim zaś Jan Kazimierz ożeniony z wdową po bracie, Marią Ludwiką Gonzaga. Nie mając dzieci, Maria Ludwika i Jan Kazimierz adoptowali w roku 1663 siostrzenicę królowej, Annę. Jan Kazimierz, owdowiawszy, zrzekł się korony i osiadł we Francji, gdzie zmarł w dziesięć lat potem.

154

Był ostatnim Jagiellonem po kądzieli, a po prababce ostatnim Sforzą. Po jego śmierci pretensje do sukcesji Bony zgłosili liczni spadkobiercy, między innymi Burbonowie (gdyż Anna poślubiła księcia Kondeusza), królowa szwedzka Krystyna i naturalnie Rzeczpospolita, mająca największe do tej sukcesji prawa.

To już właściwie wszystko, co mówi historia, ta wielka i ta trochę mniejsza, oficjalna i mniej oficjalna, ta od salonów recepcyjnych i ta od kuchni czy od alkowy, a przez to może właśnie bliższa prawdy.

— Tak, Bronco, o wiele bliższa prawdy, niż nam się wydaje. — Franco spojrzął wymownie na swych gości. — Papier jest bardzo trwały, a stare biblioteki, rodzinne archiwa czy inne zbiory przechowują całe tomy nie odczytanych dotąd dokumentów. Wyobraźcie sobie, czego z nich mogłaby się dowiedzieć Historia. Ile nie zbadanych dotąd tajemnic przestałoby być zagadkami. Ale przerwałem ci, proszę, mów dalej.

— Sforzo wie byli jednak z góry skazani na zagładę. Krótko trwał okres ich świetności. Zaledwie jeden wiek! Cóż to znaczy wobec dynastii, które długą, bardziej lub mniej krwawą smugę pozostawiły za sobą w historii. Ot, zabłądli i zgaśli, byli i już ich nie ma.

Wielkość swą Sforzowie zbudowali na krzywdzie i krzywdą zakończyły się ich dzieje. Nie przynieśli szczęścia także i Jagiellonom. Dzieci Bony miały tragiczne losy i żadne z nich, z wyjątkiem Anny Jagiellonki, nie dożyło starości. Najstarszą Izabellę wydano za Jana Zapolyę, węgierskiego magnata, którego stronnictwo antyhabsburskie obwołało królem. Królowa Węgier nie zaznała spokoju, panowanie jej przypadło na czasy zamieszek i domowej wojny.

Na życiu Zygmunta Augusta zaciążyła tragiczna śmierć ukochanej Barbary. Mimo względnie młodego wieku (żył 52 lata) i trzech żon, zmarł bezdzietnie jako ostatni z Jagiellonów.

155

Pozostałe córki Bony wyszły późno za mąż i nie miały lekkiej egzystencji. Zofia poślubiła starca, a dwie młodsze, Anna Jagiellonka i Katarzyna, zaznały niedostatku i opuszczenia, pozostawione przez matkę i skazane na staropanieństwo. Ręka Anny miała jednak odegrać znaczną rolę w dziejach Rzeczypospolitej, z nią bowiem była związana korona, o którą ubiegało się wielu pretendentów. Po niefortunnej elekcji Henryka Walezego, królem obrano księcia Siedmiogrodu Stefana Batorego, który w roku 1576 poślubił pięćdziesięcioletnią, a więc o dziesięć lat od siebie starszą, Infantkę. Smutne to było małżeństwo, lecz Anna została królową.

O rok młodsza Katarzyna dobrze już po trzydziestce wyszła za księcia Jana finlandzkiego, późniejszego króla Szwecji, Jana III Wazę. Niestety, pierwsze lata małżeństwa spędziła wraz z mężem w więzieniu, w więzieniu też urodził się późniejszy Zygmunt III, król Polski. Tak to powitał bratową krwawy szaleniec na szwedzkim tronie, Eryk XIV. Królowa Katarzyna zmarła mając 57 lat.

Anna Jagiellonka opłakała całe rodzeństwo, ostatnia schodziła ze sceny, doprowadziwszy do elekcji siostrzeńca. Razem z nią gasła w Polsce wspaniałość złotego wieku Zygmunatów, gasło Odrodzenie.

Broniś skończył i odsapnął jak człowiek zadowolony, że udało mu się rzecz doprowadzić do końca.

— Tak, to wszystko — odezwał się intendent. — Wszystko, co można usłyszeć w podobnej prelekcji lub przeczytać w jakimś popularnym tygodniku. Ale historia nie jest ani tak prosta, ani tak uboga, zapewniam cię, Bronco. Diabelnie komplikuje życie i zarzuca nas lawiną faktów. Niemniej dziękuję ci, że zadałeś sobie trud wyłuskania tych zdarzeń i dat dotyczących mojej rodziny. W jakiś sposób czuję się związany z ostatnimi Jagiellonami, łączy nas Bona, „matka polskich Sforzów” i ciotka owego Guida, mego protoplasty. Zawsze współczułem biednej Annie Jagiellonce, która niestety nie do-

156

rosła umysłem do zadań, jakie postawiła przed nią historia. Gdyby wrodziła się w matkę, inaczej potoczyłoby się jej życie, a może i dzieje Polski. Trudno teraz tego dociec. W każdym razie wdzięczny ci jestem za zainteresowanie. Nadszedł czas, że mogę ci wyjawić wszystko, jesteś dostatecznie do tego przygotowany. Przewertowałeś poszczególne rozdziały z Ciampiego solidnie. Ale Ciampi nie był we wszystko wtajemniczony i nie wiedział, że Francesco zostawił syna. Mógł się też tylko domyślać istnienia tajnego archiwum Sforzów. Zresztą jego interesowały przede wszystkim stosunki włosko-polskie w okresie Renesansu oraz wybitniejsi Włosi przebywający w tym czasie w Polsce. Żaden z cytowanych przez niego dokumentów nie wspomina nazwiska Guida Petracini. Bona była ostrożna, nie afiszowała się ze swym przywiązaniem do bratanka. Wszyscy też autorzy, traktujący o dziejach tej rodziny, kończą je na młodym Francesco jako na ostatnim przedstawicielu mediolańskiej linii. Możesz to łatwo sprawdzić. Weź choćby „Della famiglia Sforza” — „O rodzinie Sforzów” Rattiego z 1794 roku lub „Vite degli Sforzeschi” — „Życiorysy Sforzów” Scypiona Barbuó czy też najbardziej znane „Famiglie celebri italiane” — „Słynne rody włoskie” Pompea Litty. Ciampi za to doskonale wie, co pisali w owym czasie, naturalnie po łacinie, polscy kronikarze, obficie cytuje bowiem Orzechowskiego, Sarnickiego i innych. Myślę, że jest w tej dziedzinie jeszcze wiele do uzupełnienia, wdzięczne pole do odkrywczej pracy dla młodego, dobrze przygotowanego historyka. Mam na myśli ciebie, Bronco.

— Przecież twoja erudycja przerasta o wiele moje przygotowanie. Dlaczego sam się tym nie zajmiesz?

— Mówiłem ci już. Do pracy naukowej potrzebne jest coś więcej niż moja, jak ją nazywasz erudycja, bardzo zresztą ograniczona. Ale to inna sprawa. Widzę, Bronco, że nie jestem ci potrzebny i że wolisz sam dociekać ukrytych taje-

157

mnie. Maria ma rację. Odkryłeś coś, co pragniesz zachować dla siebie. Może jednak pogadamy, jak myślisz?

— Chcesz się potargować? — zachnął się Broniś. — Przypomnij sobie, co sam kiedyś powiedziałeś: „Ufam ci, bo jesteś Polakiem”. Więc tak wygląda to twoje zaufanie? Dasz mi coś, jakąś wskazówkę, ale w zamian za odkrycie, jakiego w twoim mniemaniu dokonałem. A więc dobrze. Zupełnie przypadkowo odkryłem coś, co może doprowadzić do celu. Ofiaruję ci moje odkrycie za darmo, bezinteresownie, tak samo jak bezinteresownie zacząłem ci pomagać. Wciągnęła mnie ta gra, żyłem tą nadzwyczajną historią przez kilka długich, nudnych miesięcy, które zleciały mi jak chwila. Sądziłem, że mam w tobie przyjaciela, bo jak dotąd byłem twoim przyjacielem. Chyba zdajesz sobie sprawę, na co się narażałem. Z jednej strony interesy markizy, a tym samym Biblioteki Narodowej, z drugiej ty... zapoznany,

poniżony, ale Sforza! Rzuciłem się w tę przygodę z zamkniętymi oczami, gotów na wszystko, nie myśląc o sobie. I raptem... — Broniś roześmiał się na poły kpiąco, na poły gorzko — intrygancki duch królowej Bony nie umarł z nią razem. Ale wreszcie słuchaj...

— Poczekaj! h- Intendent zerwał się z biurka i wyszedł na środek pokoju. —

Źle mnie zrozumiałeś. Jeśli nie chcesz — nie mów. Ja wiem, że robiłeś to dla mnie. I nawet nie zdajesz sobie sprawy... Całe życie byłem sam, dopiero ty...

Bronco, daj rękę, powiedz, że wszystko jest po dawnemu...

Rozwiały się gdzieś bojowe postanowienia. Tak, rzeczywiście miał przyjaciela, a to chyba najważniejsze.

— Wszystko po dawnemu — mruknął zażenowany i uściśnął wyciągniętą rękę.

— Może więc najpierw Maria opowie nam o globusach — zaproponował intendent zwracając się do milczącej dziewczyny.

— O jakich globusach? Co mam opowiedzieć?

— Wszystko, co wiesz.

158

— Nie rozumiem, o co chodzi.

— Czy znowu mają nas dzielić jakieś tajemnice? Dlaczego interesowały cię biblioteczne globusy?

— Zwariowałeś? Nigdy nie interesowały mnie żadne globusy.

— Proszę cię, Mario.

— Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

— Słyszałaś przecież.

— Obaj uwzieliście się na mnie.

Intendent spojrział bezradnie na Bronisia. Zacisnął usta.

— Zapomnij, Bronco, o globusach. Od jutra zaczniemy dalsze poszukiwania w zamku, tak jak przedtem. A wiesz, to co opowiedziałeś o pretensjach do sukcesji Bony — pamiętasz? — o adoptowaniu siostrzenicy Marii Ludwiki i potem o Burbonach, to było dla mnie zupełnie nowe, nigdy o tym nie słyszałem. To są jednak pasjonujące sprawy, prawda?

— Prawda — przyznał Broniś. — A więc umawiamy się na jutro? Jak zwykle, tak?

— Tak.

— W takim razie dobranoc.

Broniś nie patrzy na Marię, za to czuje na sobie proszący wzrok intendenta.

*

* *

Nazajutrz książki pani Chiaramonte znowu na próżno czekały na opracowanie. Coraz bardziej wciągała Bronisia lektura dokumentów Sebastiana Ciampiego, rosła kupka kartek z notatkami. Był wśród nich i bardzo interesujący „Żywot Bony Sforza z książąt mediolańskich, królowej Polski”. Trudno się wprost oderwać od poźółkłych kart. Co chwila pojawiały się nazwiska znane z historii literatury: Filippo Buonaccorsi to przecież osiadły w Polsce humanista włoski Kallimach,

159

a Mattia Drevizio — Maciej Drzewiecki, biskup przemyski i kanclerz wielki koronny. Biskup korespondował z florenckim humanistą Lattazio Tedaldim; Pisywali do siebie po łacinie, opowiadając różne aktualne ciekawostki z owych czasów.

W 1512 roku ów Lattanzio wysłał do Polski swego syna, siedemnastoletniego Giovanni Battistę, aby objął spadek po krewniaku, Arnolfie Tedaldim, który zmarł w Krakowie. Matka jego pochodziła ze znanej florenckiej rodziny Pazzich, której jedna gałąź osiadła na Litwie i stąd polski ród Paców. Jak można wnioskować z

listów Lattanzia do biskupa Drzewieckiego, młody Giovanni Battista Tedaldi spędził jakiś czas w Polsce i tu studiował.

Wszystkie te dokumenty Ciampi wyszperał w bibliotekach i archiwach włoskich, on też pierwszy podał je do publicznej wiadomości.

Broniś gorączkowo wynotowuje pozycje bibliograficzne — coraz jaśniej przy tym rysuje się przed nim temat doktorskiej pracy: „Włosi w Polsce w dobie Odrodzenia”. Tak, to będzie to. Materiałów znajdzie mnóstwo, w Polsce i w Italii. Może nawet w Bibliotece Narodowej.

Jest tak zajęty, że nie zauważa wyczekiwanej zwykle z niecierpliwością pierwszej godziny. Dopiero Mauro, stojący w drzwiach biblioteki, przywołuje go do rzeczywistości.

— Obiad!

Broniś zrywa się, patrzy na zegarek. Za dwadzieścia pięć druga!

Przerwa mija na robocie. Tylko zamiast w bibliotece, w komnacie z purpurowym baldachimem. Trzeba uważać, by się nie spóźnić. O trzeciej musi być na stanowisku, zawsze przecież skrupulatnie przestrzegał godzin pracy.

Przed szóstą w bibliotece zjawia się Maria.

— Dobrze, że przyszłaś — ucieszył się Broniś, odsuwając na bok stos notatek. — Najwyższy czas, żebym się już uwolnił na dziś od tych szpargałów. Przejdziesz się może po kolacji?

160

Maria nie odpowiada. Siada przy stole i machinalnie wyciąga rękę, by obrócić globus. Ale natychmiast cofa ją i czerwienieje. Ma taką minę, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale brak jej odwagi. Broniś udaje, że nie dostrzega wahania dziewczyny.

— Czy pójdziesz dziś z nami do ruin? — pyta, by przerwać dziwnie krępujące milczenie.

— Pójdę... chyba pójdę... Słuchaj, Bronco, Franco kazał, żebym ci to dała...

Z małej aksamitnej torebki wyjmuje szarawy skrawek jedwabiu. Broniś gwałtownie pochyla się do przodu. Na przybrudzonym „kurzem wieków” wąskim pasku tkaniny czerni się pierwsze słowo łacińskiej sentencji. Tylko jedno: Quid-quad...

XV

— Więc jak, idziemy?

Broniś przełożył nogę przez barierkę otaczającą studnię i umocował do żelaznego pręta linkę dla zabezpieczenia Marii.

— Idziemy — odparli jednogłośnie Franco i dziewczyna. Po chwili zagłębiali się w korytarz pierwszego piętra, licząc od góry, opatrzony literą „Q”. Prowadził Broniś.

— Pamiętajcie, dziś musimy zbadać wszystkie odnogi — przypomniał program, jaki sobie na tę noc nakreślili.

Pierwsza odnoga była krótka, kończyła się ślepym murem. Mimo gruntownego opukania ścian, sufitu i podłogi nie odkryli najmniejszej wskazówki, żadnej szczeliny czy nierówności. Wszędzie był gładki kamień i nie pozostawało nic innego, jak napisać u wejścia do tego korytarza dantejskie *Lasciate ogni speranza* — Porzućcie wszelką nadzieję.

Druga rozczarowała ich podobnie.

Trzecia była dłuższa i w pewnym miejscu skręcała pod ostrym kątem.

— Trochę to przypomina wnętrze piramidy Cheopsa — stwierdziła w pewnej chwili Maria. — Widziałam raz takie zdjęcia w „Epoce” i rysunek przekroju piramidy. Z tą tylko różnicą, że tam wszystko znajduje się w kamiennej masie nad ziemią, podczas gdy tu...

— Tu spuszcza się do środka ziemi — zażartował Broniś. — Czytałaś chyba Julesa Verne'a?

— Czytałam — westchnęła. — W każdym razie ta odnoga też ślepa i też nic nie znajdziemy.

Rzeczywiście nie znaleźli.

Pozostał więc czwarty korytarz, opadający stromo w dół do loszku, gdzie napotkali już kiedyś ślady bytności człowieka. Tym razem loszek był dokładnie wymieciony.

— Pamiętacie? W tym miejscu leżały niedopałki. — Broniś oglądał kąty pomieszczenia. — Ktoś tu był i usunął ślady.

Franco klęcząc badał skalne dno lochu.

— Poświećcie — wskazał miejsce, gdzie ledwie widniała jak gdyby rysa czy pęknięcie.

— Przedtem tego nie zauważyliśmy — Broniś pochylił się nad latarką.

Słabo widoczna rysa zakreślała niewielki kwadrat, może 20—30 centymetrów powierzchni. Na próżno jednak obstukali kamień, na próżno wsuwali ostrze szczyryka w ciekłą szczelinę.

— To bezcelowe — jęknęła Maria siadając na ziemi.

— Poczekajcie, jest jeszcze jeden sposób, gdzieś czytałem. — Franco odsunął towarzyszy, po czym stanął na zakreślonym rysą kwadracie. — Odejdźcie — zakomenderował i zaczął stopą naciskać gład.

Broniś i Maria z napięciem śledzili jego ruchy. W pewnej chwili usłyszeli coś jak gdyby trzask i ledwo zdołali uskoczyć na bok: kawał kamiennej posadzki usuwał się im spod nóg.

Franco nie przestawał naciskać gładu, otwór powiększał się przy akompaniamencie zgrzytu i skrzypienia. Mechanizm szesnastowiecznej pułapki działał bez zarzutu. Gdy wreszcie nastąpiła cisza, skierowali światło latarek w ziejący pod stopami otwór. Nie było ani schodów, ani drabiny, niczego, po czym można by spuścić się w nieznane.

— Co to? — spytała szeptem Maria.

— Teatralna zapadnia, nie widzisz? — Broniś usiłował zachować dobry humor. — Przypuszczalnie pozbywano się tą drogą niewygodnych osobników. Takie rzeczy były wówczas w modzie.

— Czy nasz poprzednik, ten od niedopałków — zastanowił się intendent — odkrył zapadnię? Puścił w ruch mechanizm?

— Chyba nie, z pewnością nie przyszło mu do głowy naciskać kamień. Skąd mógł wiedzieć?

— A my? My też nie wiedzieliśmy...

— Ale my szukamy zejścia.

— A on co? Też szuka i jak świadczą niedopałki, wyprzedził nas. Takiego przeciwnika nie należy lekceważyć.

— Nie wiadomo, czy nam się teraz uda zamknąć tę przeklętą dziurę?

— Właśnie — zmartwiła się Maria. — Co wtedy zrobimy?

— Coś musimy zrobić — zdecydował Franco.

Niestety wszystkie wysiłki okazały się daremne. Nic nie było w stanie poruszyć kamiennej podłogi dla przykrycia czeluści. Zmordowani, dali wreszcie za wygraną.

— Mechanizm musi znajdować się gdzieś dalej, w zupełnie innym miejscu — orzekł Broniś osuwając się na ziemię. — Tylko przypadek pozwoli nam puścić w ruch odpowiednie urządzenie. Chwilowo trzeba jakoś zabezpieczyć...

— Nic ze sobą nie mamy, więc chyba napis...

— Napis, naturalnie — ucieszyła się Maria. — Mam w kieszeni ołówki... Ten intruz nie wchodzi tu przecież po omacku...

163

Kilka kartek z ostrzeżeniem położyli w głównym korytarzu i w odnodze. Wychodzili z ciężkim sercem, niespokojni, czy swą ciekawością nie spowodują jakiego nieszczęścia.

Tym razem Broniś wrócił ostatni. Komnata z purpurowym baldachimem przywitała go ciszą, zapachem świeżych fig, których pełen talerz stał pod obrazem, i korowodem pulchnych nimf na plafonie. Wszystko było bardziej nierzeczywiste niż kiedykolwiek. Co właściwie robi w tym starym pałacu, opuszczonym chwilowo przez bohaterów „kostiumowego” dramatu? Jakże tu rażą jego szare spodnie i koszulka polo! Nie tak ubierali się mieszkańcy tych murów, on nie pasuje do stylowych ścian!

Gdy już zgasił lampę przy łóżku, w murze rozległo się dobrze znane chrobotanie i gdzieś nad obrazem zapłonęły światełka. Broniś znajdował się w takim stanie nerwowego podniecenia, że musiał działać. W pięć minut był najzupełniej ubrany. Pograżonym w ciemności korytarzem dostał się na schody, stamtąd na drugie piętro. Pierwsze drzwi na lewo, licząc od pokoju Franca. Ten sam kurz pokrywał lustro i blat komody. Broniś ostrożnie zajrzał do szafy. Wszystko było tam po dawnemu. Puste wnętrze nie zdradzało niczyjej obecności. Postać chwilę nadśluchując, po czym znowu znalazł się na korytarzu. W przeciwnym kącie głęboka, okienna framuga doskonale nadawała się na kryjówkę. Przypadł do podłogi wciśnięty w zagłębienie muru.

Nie czekał długo. Najpierw usłyszał szmer w pokoju z szafą, a potem skrzypnęły drzwi. Krąg światła z ręcznej latarki posuwał się bezgłośnie ku schodom. Ciemna postać opuszczała się coraz niżej. Pierwsze piętro, parter... Broniś, przytulony do balustrady, nie spuszczał oczu z żółtego światełka. Podniósł się z klęczek dopiero wtedy, gdy w westybulu cicho trzasnęły drzwi od apartamentów markizy. A więc wiedział nareszcie! Mimo ciemności bez trudu poznał panią Chiara-mont?.

164

Odczekawszy chwilę posunął się z powrotem w stronę pokoju z szafą. Bał się zapalić światło i posługiwał się wyłącznie kieszonkową latarką. Właściwie czego tu szukał? Czy się spodziewał, że markiza nie domknęła wejścia, które z głębin szafy prowadziło między wydrążone mury Willi Attendola? To przecież czyste szaleństwo! Pani tego pałacu niejedną noc spędziła pewnie na wędrówkach po miejscach, gdzie raczej należało się spodziewać obecności szczurów czy nietoperzy. Ale tak jej się widać podobało i nic nikomu do tego. Wolność Tomku, w swoim domku...

Szafa zresztą wewnątrz inaczej była „urządzona” niż zwykłe, normalne szafy. Zamiast poprzecznego drążka na wieszaki z ubraniami, w górnej części tylnej

ściany tkwiły różnej długości kołki i kołeczki, służące do tego samego celu. Broniś chcąc raz jeszcze zbadać intrygujące wnętrze, wsunął się połową ciała do szafy opierając się jedną ręką o taki właśnie drewniany kołek. Przechyliwszy się stracił równowagę i mocniej uchwycił się zbawczego kołka, przekręcając go jednocześnie w prawo. Zaskrzypiało rozeschnięte drewno i „bibliotekarz pani markizy” jak długi runął twarzą w ciemną głąb.

Gdy wstał, oszołomiony upadkiem, stwierdził z całą pewnością, że znajdował się w korytarzu-pułapce, skąd wydostał się cudem prawie nie tak dawno temu. Tył szafy usunął się w bok, odsłaniając spory otwór, przez który człowiek mógł się wygodnie przedostać.

Oświetlił kamienne ściany, które omal nie stały się jego grobem, po czym przezornie wycofał się do pokoju. Na wydartej z notesu kartce nagryzłolił naprędce: Odkryłem tajemnicę szafy. Idę zbadać wnętrze Willi Attendola. Jeśli nie wróce, działaj.

Franco musiał mocno spać, zresztą Broniś poruszał się jak duch, gdy wsuwał liścik pod drzwi intendenta. Uspokojony, znalazł się znowu w szafie i zamknął za sobą obie połowy drzwi. W ten sposób, można powiedzieć, odgrodził się od

165
świata. Ogarnęła go dziwna cisza, pełna jednak czegoś, co zdawało się tkwić od wieków, od początku w murach, będących odwrotną stroną bogatej fasady Willi Attendola. Tam ściany strojne we freski i sztukaterie, tu chropowaty gład, tak samo nagi jak wówczas, gdy blokiem skalnym wydobyto go z kamieniołomów. Cały pałac był jak te szkatułki o podwójnym dnie, które sporządzano niegdyś dla ukrycia specjalnie cennego dokumentu. Co ukrywali w tych ścianach dawni właściciele?

Powoli posuwał się naprzód wąskim korytarzem, tak ciasnym, że chwilami ocierał się ramionami o kamienne ściany tego uczynionego ręką ludzką tunelu. Z wysokiego stropu zwisały festony pajęczyn, co wskazywało, że mimo odcięcia od zewnętrznego świata i tu istniało jednak życie. Obecność żywych organizmów, nawet tak niemiłych jak pająki, podniosła Bronisia na duchu.

I tak zaczęła się ta wędrówka nie kończącym się ciągiem sekretnych przejść. Jeden korytarz gonił drugi, łącząc się schodkami lub węższym jeszcze przesmykiem. Kilkakroć już chyba Broniś okrążył pałac na różnych poziomach, trafił przy tym na znane, jak sądził, schody i ścianę zamykającą wejście do biblioteki. Na szczęście poprzedniego dnia włożył świeżą baterię do latarki, inaczej nie zobaczyłby Iwa Sforzów odcisniętego w kamieniu. Nie mógł naturalnie określić miejsca, dawno już bowiem stracił orientację i nawet w przybliżeniu nie potrafiłby powiedzieć, w jakiej części domu znajdował się tak dobrze mu już znany herb dawnych właścicieli. Widział wyraźnie, jak z rozwartego pyska króla zwierząt wysuwał się język chciwy krwi; jedna łapa była wczepiona pazurami w gałązkę pigwy, podczas gdy druga, wzniesiona ku obronie swej własności, zdawała się grozić.

Lew znajdował się na ścianie u dołu wąskich schodów, w pułapce bez wyjścia, przy tym Broniś zupełnie nie wiedział, czy są to dolne, czy górne rejony pałacu, tyle już scho-

166

dów zdążył przebyć i w dół, i w górę. Teraz wyglądało na to, że obszedłszy wszystkie tajne zakamarki znalazł się na drugim końcu labiryntu. Pokręcił się chwilę zdezorientowany, gdy raptem światło latarki załśniło na czymś, co okazało się owocem uczepionym gałązki między łapami Iwa, który odwrotnie do reszty

rysunku wydawał się dziwnie wypukły.

Rzeczywiście, mała kulka była chyba z metalu, pokrytego co prawda śniedzią, gdzieś jednak przeblyskiwała szlachetnym odcieniem miedzi czy złota. Wprawiono ją w kamień. Broniś wyraźnie wyczuł palcami miejsce spojenia. To z pewnością zamek otwierający przejście... Czyja ręka spoczęła przed nim na gładkiej wypukłości?

Wpuszczona w gładki metalowa gałka obraca się powoli, a jednocześnie rozlega się tak dobrze znany chrobot. Setki pazurków zdawałoby się drapać mur dookoła lwa, a chrobotanie słychać gdzieś dalej, głębiej, jak gdyby we wnętrzu domu. Broniś, nie zrażony hałasem, nie przestaje kręcić złocistym owocem pigwy i wtedy ukazuje się otworek, małe, okrągłe oko przenikające najgrubsze mury.

Oto sypialnia markizy, był tam przecież... Blady, zimny błękit oświetlony nocną lampką. Markiza stoi koło biurka, odwrócona plecami do zdradzieckiej soczewki. Raptem lampka gaśnie i obraz niknie. Gałka wraca na miejsce i tylko słaby blask metalu wyjawia jej tajemnicę. Broniś głęboko wciąga chłodne powietrze. A więc wie. Nareszcie! Ale i markiza wie, że ktoś odgadł tak pilnie strzeżony sekret. Co prawda nie odwróciła nawet głowy, ale wie... Słyszała przecież chrobot. Tylko kogo podejrzewa? Franca? Pozwoliła zajrzeć do swej komnaty, zanim zgasła lampkę. Co teraz robi? Jak ukarze śmiałka? Chyba należy przygotować się na spotkanie... niemiłe spotkanie z panią Chiamonte.

Broniś ostatni raz gładzi łeb lwa i zabiera się do odwrotu. Idzie wąskim korytarzem, który tak nie dawno doprowadził go do celu. Czy naprawdę to było celem nocnej wyprawy?

167

W każdym razie wie, w jaki sposób markiza podgląda gości. W pewnym miejscu korytarz zwęża się tak, że trzeba się prawie przepychać wśród ścian kamiennego tunelu. I nagle... Podłoga usuwa się spod nóg. Potem już nie ma nic. Ostatni dźwięk, jaki dociera do gasnącej świadomości, to brzęk tłukącej się gdzieś w dole latarki.

• * *

— Tak, Bronco, wiedziałam, że globusy coś kryją — głos Marii jest cichy, jak gdyby dochodził z wielkiej odległości. — Był taki list w papierach po mamie. Pismo dziadka... Wspominał o tajemnicy rodzinnej i łacińskiej sentencji. A ten skrawek jedwabiu przypięty był do kartki spinaczem. Dziadek pisał to, gdy mama była jeszcze dzieckiem... a na końcu dodawał, że zostawi ten dokument w ulubionej książce, do której mama na pewno nieraz wróci, nawet gdy dorośnie... i wtedy znajdzie to pismo, i będzie poszukiwała podobnie pisanych liter czy wyrazów. Doprawdy, Bronco, nie mam pojęcia, skąd o tym wiedział. Wyobraź sobie, sądziłam, że chodzi o ukryte skarby...

Broniś chce odpowiedzieć, rzeczywiście chodzi przecież o skarby, choć w innym może znaczeniu, trudno jednak zebrać myśli. Głowa pęka z bólu i w ogóle dzieje się z nim coś niedobrego. A najgorsze te ciemności... Gdzie się podziała Maria? Była tu przed chwilą, siedziała przy bibliotecznym stole i mówiła, mówiła tak prędko, jak gdyby chciała wszystko z siebie wyrzucić jednym tchem.

Co to? Czy tak szumią drzewa w parku? Łoże pod baldachimem dziwnie twarde, zupełnie jak skała. To nie łoże, to loch w Castello Sforzesco... A gdzie Franco?

Broniś usiłuje zawołać, ale jego głos raczej podobny jest do jęku. I od razu wraca przytomność, a wraz z nią pamięć ostatnich wydarzeń.

168

A więc markiza wygrała, zna przecież dobrze wszystkie tajniki tego domostwa.

Niejedna tu pułapka i niejedną ofiarę pochłonęły niedostępne podziemia Willi Attendola.

Co teraz będzie? Franco chyba wkrótce przystąpi do akcji. Nie wiadomo tylko, ile czasu minęło? Mógł w tej czarnej próżni przeleżeć cały dzień, zanim odzyskał zmysły. Na szczęście nie tak łatwo zniszczyć ludzki mechanizm i Broniś, mimo obolałych boków i ogólnego potłuczenia, może się poruszać. Kości całe, to grunt, trzeba przecież znaleźć jakieś wyjście z tego wilczego dołu, tylko trudno bez światła...

Poruszając się jak kret obszedł po omacku całe więzienie. O ile potrafił się zorientować, znajdował się w podziemnym lochu, z którego dwa korytarze wiodły w dwie przeciwne strony. Który z nich należało wybrać? Który prowadzi do życia? Zdawszy się na los szczęścia wybrał korytarz odchodzący w prawo. Żmudna i powolna to była droga! Trzymając się murów, by nie zbłądzić wszedłszy w jaką odnogę, badał stopą każdy centymetr powierzchni, zanim uczynił krok naprzód. Spocony z wysiłku jak mysz, zdał sobie wreszcie sprawę, że puścił się fałszywym tropem, korytarz bowiem kończył się ścianą i nie było z niego żadnego wyjścia. Równie mozolna droga powrotna do miejsca upadku trwała chyba wieki. A czy mógł być pewien, że doszedł rzeczywiście do punktu wyjścia? W atramentowych ciemnościach! W każdym razie zapuścił się w jakiś korytarz. Może ten właściwy? A może nie? Ręce po obu stronach wyczuwały głaz, chłodny i chropowaty. Posuwanie się w podobnych warunkach — każdej chwili oczekiwał, że stopa zamiast na kamień natrafi na ziejącą przepaść — mogło wyczerpać najmocniejsze nerwy. Kilkakrotnie odpoczywał. Siadał oparty o ścianę, wsłuchując się w namacalnie ciężką od grozy ciszę, a ręce i nogi drżały od wysiłku.

Nie potrafił uświadomić sobie, jak długo trwała ta udreka.

169

Szedł, odpoczywając od czasu do czasu, i ani razu nie natrafił na żadną odnogę podziemnego korytarza. Gdy zaczął tracić nadzieję, bronił się resztkami sił przed rozpaczą, powtarzając sobie głośno: „Muszę iść, muszę” — i szedł. W pewnej chwili poczuł, że mur, którego dotykał, jest wilgotny. Od ścian wiało teraz nieprzyjemnym chłodem, piwniczny zapach stał się zatęchłym zapachem pleśni. Broniś niezmordowanie szedł naprzód. Nie pozwalał sobie na badanie sytuacji, nie wolno było zastanawiać się nad niczym, tylko iść, byle dalej. Starał się nie myśleć, ile metrów sześciennych skały dźwigał na sobie, wiedział tylko, że tam, na górze, jest jasność i słońce i że musi iść, nic więcej.

Poza tym był przecież Franco. Nawet jeśli nie zauważył liściku, to i tak zaniepokoi go nieobecność przyjaciela. Chyba że markiza ukryje ten fakt przed domownikami. Może na przykład powiedzieć, że bibliotekarz musiał nagle wyjechać do Forli, do Bolonii, wszystko jedno gdzie, i wysłać Maura z samochodem, by upozorować niespodziewaną podróż gościa. Tak, wszystko to było możliwe, Franco jednak znał swą chlebobawczynię. Już raz martwił się o niego, nawet szukał go w ruinach zamku, więc i teraz nie spocznie. Trzeba tylko cierpliwie czekać, czekać i wytrwać. Tak, to najważniejsze: cierpliwość, spokój i wytrwanie. Za wszelką cenę. Franco na pewno zorganizuje akcję ratunkową, na pewno.

Ciemność teraz jest taka śliska jak dotknięcie gada i pełna jakiegoś ni to szumu, ni to zawodzenia. Co tak jęczy? Może to nowa pułapka? Ach, nie, to najwyraźniej ludzki głos. Tak, to człowiek wzywa pomocy. Człowiek? Tutaj?

Broniś przystaje, wsłuchany we własne ciężko bijące serce i w coś, co przypomina ludzki głos. Ale skąd tutaj? Wołanie istoty może nieszczęśliwszej od niego dodaje mu sił. Zaczyna iść szybciej, nie zachowując dotychczasowej ostrożności.

Wreszcie głos staje się zupełnie wyraźny, można rozróżnić słowa.

170

— O, Przenajświętsza Madonno! — skarży się człowiek. — Przysięgam, przysięgam! Ratuj mnie, ratuj! Wybaw z tych ciemności. Więcej nie będę, nie będę... — głos załamuje się, przechodzi w łkanie, odbija się od podziemnego sklepienia i ginie jękiem w głębi korytarza.

Broniś, złany zimnym potem, przyspiesza kroku. Człowiek teraz powtarza modlitwy, jedna za drugą, wszystkie, jakie umie, a głos jego chwilami cichnie, a chwilami przechodzi w głuchy, beznadziejny płacz.

— Kto tam? — Broniś z trudem poznaje własny głos.

— O Boże, Boże! — woła człowiek. — Wysłuchałeś mnie. Jestem tutaj! Pomocy!

Broniś pokonuje ostatnie metry ciemności. Po chwili pochyla się nad leżącym.

Rozpalona ręka chwyta jego dłoń, przyciska ją do ust. Człowiek czepia się nóg wybawcy, bełkocze podziękowania. Płacze i śmieje się jednocześnie.

— Spokojnie, spokojnie. — Broniś zapomina o własnej tragicznej sytuacji. Jest oto ostoją, ratunkiem dla innego człowieka, jest znowu silny i opanowany.

— Kim pan jest? — leżący puszcza rękę Bronisia. — Czy to... Signor Polacco? Bibliotekarz pani markizy?

Broniś też już wie, kogo ratuje.

— Tak, to ja. A skąd się Mauro tu wziął?

— Spadłem — zajęczał Włoch. — Raptem tam, gdzie był zawsze solidny kamień, ukazała się dziura... przepaść... Nie byłem przygotowany... Zepsuła mi się latarka i nie widziałem... A teraz... o mój Boże, mam pewnie złamaną nogę...

Jaki straszny ból... Jestem tu chyba wiek... Niech mnie pan ratuje...

— I ze złamaną nogą zaszedł Mauro tak daleko?

— Nigdzie nie zaszedłem. Leżę tu, gdzie spadłem. Mówiłem przecież, że noga... ach, jak boli... Żeby ją diabli... dotknąć nie mogę... A jak spuchła... Więc szukają mnie? Pani markiza, prawda? Boże, dzięki Ci! Co ja wycierpiałem!

171

Broniś zerwał się z klęczek. Te piekielne ciemności paraliżowały wszystko. Jak to? Totumfacki pani markizy spadł w czeluść, jaką niebacznie otworzyli w podziemiach Castello Sforzesco. A jego pochłoneła pułapka Willi Attendola. I ten Mauro mówi, że pozostał na miejscu upadku? Bardzo możliwe, jeśli ma złamaną nogę. W takim razie... No tak, to przecież jasne. W takim razie istnieje połączenie między domem pani Chiamonte a ruinami na wzgórzu... tak, jak mówił Franco, że było niegdyś, gdy podziemny korytarz łączył renesansowy pałac z zamkową twierdzą. Potem był pożar, tak opowiadał Franco, a kiedy w XVII wieku wystawiono dzisiejszą Willę, na próżno szukano podziemnego przejścia. Zostało widać zasypane w czasie pożaru. Ale nie... ono istniało i oto odkrył je przez przypadek, tragiczny przypadek.

— Nie chce mi pan pomóc? — Głos Maura dygocze. — Nie uratuje mnie pan?

— Obaj się uratujemy — odpowiada z mocą. Dotyka złamanej nogi. Jest gorąca i spuchnięta. — Rzecz w tym — mówi wreszcie — że i ja spadłem w tę czeluść...

— Spadł pan?

— Coś w tym rodzaju. Okazuje się jednak, że moja obecność była konieczna. Jak długo Mauro tu leży?

— Nie wiem. Mam chyba gorączkę. Tak mi się coś zdaje... o tam, widzi pan?

! — Tam nikogo nie ma, wszędzie ciemności.

— Ciemność... O Boże, Boże, zmiłuj się nade mną. Rozpalona ręka znowu uczepiła się palców Bronisia. Tak, sytuacja, mimo słabej nadziei, stawała się jaśniejsza.

Mauro musiał zejść do ruin po ich wyjściu. Obaj zlecieli w przepaść tej samej nocy. Kiedy to jednak było? Czy wczoraj? Ile minęło czasu? I dlaczego Franco nie daje znaku życia? Czyżby i z nim coś się stało? Trudno, nie ma co łamać sobie głowy, trzeba działać, znaleźć wyjście. Wyjście...

172

Rozgląda się dookoła. Skąd przyszedł? Nie wiadomo. Wszędzie jednolita czerń. Mauro pojękuje cicho. Zaraz, zaraz, chory leży, jak leżał, nie zmienił pozycji — Broniś wyczuwa rękami bezwładne ciało wyciągnięte na prawym boku, tak jak je zastał, w takiej pozycji by nie urazić złamanej nogi. A on przyszedł stamtąd, tej strony, w którą obrócona jest twarz Maura. Należy więc próbować w przeciwnym kierunku, jeżeli naturalnie jest jakieś przejście.

Pieczara zdawała się nie mieć granic. Broniś posunął się w kierunku przeciwnym do tego, skąd przyszedł. I tu był korytarz wykuty w skale. Zrobił kilka kroków naprzód — korytarz jak gdyby wznosił się łagodnie ku górze.

— Gdzie pan jest? — krzyknął nagle chory.

— Tu, niedaleko, szukam drogi!

— Niech mnie pan nie opuszcza, nie opuszcza! — Jęk Włocha przeszedł w histeryczne zawodzenie.

W tych warunkach Broniś zrezygnował z dalszego badania terenu i zawrócił pospiesznie. Gdy pochylił się nad chorym, Mauro chwycił go za rękę.

— Ja też pójdę, zobaczy pan... pójdę... Z początku powoli, ale potem... O, niech mnie pan nie zostawia! — Znowu zaniósł się płaczem.

— Powiedziałem, że pójdziemy razem — Broniś pogłaskał uspokajająco dygoczące plecy Włocha.

Gdy później, w domu, wspominał ich wędrówkę, przeżycia owej nocy kojarzyły mu się zawsze z tym fragmentem „Nędzników”, w którym Victor Hugo opisuje ucieczkę Jean Valjea-na kanałami Paryża. Bohater powieści niósł wówczas rannego Mariusza...

Broniś sam nie wiedział, w jaki sposób załadował Maura na plecy i zgięty prawie we dwoje poszedł omackiem w ciemność wznoszącym się stale korytarzem. Nie pamiętał, jak długo trwała ta droga pod górę, aż strop korytarza obniżył się tak, że trzeba było czołgać się po ziemi. Posuwał się więc pier-

173

wszy, ciągnąc za sobą bezwładne ciało Włocha, który pojękiwał przy każdym wstrząsie, gdy złamana noga obijała się o skalne dno tunelu.

Broniś z uporem sunął naprzód, jak gdyby wiedział, że tylko tam było wyjście, a więc ratunek. Niestety, wkrótce przekonał się, że wybrał drogę „donikąd”, w pewnym miejscu bowiem sufit zetknął się z podłogą tworząc ostry kąt i tym samym niwecząc wszelką nadzieję wybawienia. Fakt ten nie dotarł jednak do świadomości Bronisia, który leżąc na brzuchu odruchowo wyciągnął rękę, by usunąć przeszkodę. Palce trafiły na załamanie kamienia, coś, co mogło być wąską szczeliną, i całą siłą uczepliły się tej szpary. Głaz jak gdyby drgnął. Wsunął drugą rękę cisnąc kamień — szczelina powiększała się, a do udreńczonych płuc napłynęło z otworu świeże powietrze. Broniś pchał teraz skalne bloki, a otwór stawał się coraz większy. Opadające dotąd ostro sklepienie wyraźnie unosiło się do góry. Jeszcze trochę i jeszcze... No, ostatni wysiłek!

Oddech rzezi w krtani, wydobywa się ze świstem przez zaciśnięte zęby. Już...

Głaz raptownie wymyka się z ręki, uskakuje w powietrze. Przed Bronisem jest przestrzeń, wypełniona ledwo słyszalnym szumem... i coś stuka... Ale nie ma siły cieszyć się zwycięstwem. Opiera policzek o zimne kamienie i zamyka piekące z

wysiłku oczy.

Budzą go jęki Maura. Na dygoczących ze zmęczenia kolanach wczołguje się znów w korytarz, chwyta garścią kurtkę chorego i wydobywa go ze skalnej czeluści.

Zrobił swoje. O niczym więcej nie chce teraz myśleć.

XVI

Stukanie jest głośnie i miarowe: pac, pac... pac, pac... Co to może być? Broniś z trudem odrywa policzek od chłodnego kamienia i unosi głowę. Ciemno. Czy już tak będzie zawsze?

174

W gardle piekąca suchość, ciężko poruszyć językiem... trzeba jednak iść dalej, ciągle naprzód. Jak się podnieść? Do nóg przywiązano chyba stukilowe ciężary. Macając dookoła siebie, natrafia na stopnie. Wiodą w górę. Wspina się powoli, a wejście na każdy stopień kosztuje tyle wysiłku, że gdy wreszcie staje na szczycie, nie ma siły się cieszyć. Stukanie jest teraz zupełnie blisko... Ależ tak! to jakieś nie domknięte drzwi poruszane wiatrem. Boże, Boże, już wie! Jest w baszcie, tej lepiej zachowanej, skąd patrzył pewnej nocy na uśpioną Meldolę, odczytawszy przedtem chełpliwy napis wyryty w kamieniu.

Raptem wracają siły. Zbiega w dół, drżącymi rękami szuka towarzysza niedoli. Mauro nie daje znaków życia. Czyżby zemdlął? Potrząsa chorym jak tłumokiem i bezwładnego znowu ładuje na plecy. Tak objuczony, po dłuższej dopiero chwili staje na szczycie schodów. Są w baszcie. Uratowani. Za drzwiami wstrząsanymi wiatrem jest świat, przestrzeń nie ograniczona żadną skalną przeszkodą, ziemia, po której można bezpiecznie iść, nie bojąc się zapadni. Co za szczęście! Broniś składa chorego pod ścianą i wychodzi na zamkowy dziedziniec. Noc jest ciemna. Wiatr hula wśród opustoszałych ruin. Z dołu dobiega chwilami szum rzeki Ronco. Nacieszywszy się dobrze znanym widokiem, wraca do chorego.

— Mauro, Mauro, jesteśmy uratowani!

— Uratowani? — mamrocze służący pani markizy, po czym zdawszy sobie sprawę ze znaczenia tego słowa, wybucha: — Jak to uratowani? Gdzie jesteśmy? Pić... Och, niech mi pan da wody!

— Zaraz będzie i woda. Jesteśmy w starej baszcie, a to skrzypią drzwi. Byłem już na dworze. Wszystko w porządku, teraz pójde po lekarza.

— Po lekarza? Po co?

— Do doktora Davitti. Miał wrócić w piątek. Nie wiem,

175

jaki dzień dziś mamy, spodziewam się jednak, że go zastanę. W każdym razie sprowadzę pomoc.

— I zostawi mnie pan?

— Muszę. Tu zupełnie bezpiecznie. Niech Mauro leży spokojnie i czeka.

— Boję się...

— Czego? Przecież nikogo nie ma?

— Nie chcę lekarza...

— Lekarz jest konieczny. Nie można tak zostawić złamanej nogi, to niebezpieczne. Jeżeli nie ma doktora Davitti...

— Najlepiej chodźmy do domu, pomoże mi pan.

— Niemożliwe. Pomoc lekarska jest konieczna. Mauro nie zrobi i pół kroku.

— Ale ja nie chcę...

— Czegóż się Mauro obawia? Gniewu pani markizy?

— Pani markiza z pewnością będzie niezadowolona. Nie, nie, lekarz zupełnie niepotrzebny. Zresztą może później... To już pani markiza...

— Tymczasem ja decyduję. Proszę spokojnie leżeć. Postaram się wrócić jak najszybciej.

— Niech mnie pan nie zostawia! Naprawdę się boję! Ja... Ja nie wiem, co powiedzieć pani markizie w razie...

— Już ja powiem, co potrzeba, niech się Mauro nie martwi. Najlepiej proszę się postarać zasnąć i...

Gorąca dłoń uchwyciła rękę Bronisia.

— Ona wie wszystko i wszystko może. Widzi to, czego inni nie widzą. Zabije mnie!

— Co też Mauro?... No, nic, nic, to ta choroba...

— Pan jej nie zna... nie wie, do czego jest zdolna. Ale ja widziałem... zabiła własną córkę!

— No, przecież nie zrobiła tego własnoręcznie.

— Ale skazała ją na śmierć. Jeszcze panu mało? Pan nie wie. Widziałem ją...

byłem wówczas w Mediolanie. Och, tak się boję... — zęby szczękały mu jak w ataku febry.

176

— Trudno, idę. — Broniś podniósł się z kolan zdecydowany działać jak najszybciej. — Muszę sprowadzić pomoc. Proszę czekać spokojnie.

Jękliwy głos chorego gonił go aż do zamkowej bramy.

Musiała być głęboka noc, gdyż w Meldoli nie świeciło się w żadnym oknie. Z głośno bijącym sercem podchodził pod sztachety na via Pisacane. Dzwonek przy furtce zabrzmiał jak huk piorunu i natychmiast za żaluzjami sypialni na piętrze zajaśniało światło. Po chwili w drzwiach stanął doktor w narzuconym na pidżamę szlafroku.

— Kto tam?

— To ja... Bronco... potrzebuję pomocy... Zza pleców doktora wyjrzała pani Wanda.

— Pan Bronek? Co się stało? Niechże pan wejdzie. Boże, jak pan wygląda!

— Czy mógłbym coś wypić? A może kawałek chleba.. Gdy pośpiesznie nakarmiony i napojony zabierał się do

powrotu, doktor wrzucał właśnie do fiata walizeczkę z narzędziami.

— Gotowe. Jedziemy?

Drogę dzielącą miasteczko od zamku przebyli w kilka minut. Gdy wchodzili w bramę, powitał ich ten sam ponury stukot nie domkniętych drzwi. Doktor oświetlił wewnątrz baszty. Było puste.

— Mauro! — krzyknął Broniś zaniepokojony. — To ja! Gdzie jesteś? Nie bój się...

Zbiegli do lochu. Otwór podziemnego korytarza ział czarną czeluścią.

— Mauro! — Broniś kręcił się po ciasnym pomieszczeniu z rozpaczą w sercu. —

Mauro! Odezwij się!...

Wrócili do sieni. Pozostały już tylko do zbadania schody wiodące na wieżę.

Znaleźli go zaraz za zakrętem. Siedział skulony, z głową między ramionami, a złamana noga zwisała ze stopnia.

12 — Renesansowa przygoda

177

— Żyje — doktor z wprawą dotykał bezwładnego ciała. — Chyba zemdlał... jeśli w tym stanie dowlókl się aż tutaj.

Zostawiwszy doktora przy chorym, Broniś wspiał się do drzwi zagradzających dalszą drogę. Były jak zwykle zamknięte. Klucz miał tylko dozorca, no i Franco.

Czy ktoś krył się za obronnymi drzwiami? Broniś postął chwilę nasłuchując, po czym wrócił do doktora. Nieprzytomnego Maura znieśli do samochodu.

— Podrzucę pana do domu — mówi doktor, powoli zjeżdżając ze wzgórza — ale tego typu od razu odwiozę do Forli, do szpitala...

— Czy sądzi pan...

— Nie, nic mu nie będzie. Trzeba jednak prześwietlić nogę. Złamanie wydaje mi się dość skomplikowane. Niech pan teraz pomyśli o sobie i jak najprędzej sam buchnie się do łóżka. Sprawia pan wrażenie człowieka kompletnie wyczerpanego. Czy na pewno nie potrzebna panu moja pomoc?

— Ależ nie. Czuję się już lepiej. Tylko nie mogę sobie darować...

— Niech się pan uspokoi. Wszystko będzie dobrze. Proszę rano zadzwonić, a najlepiej wpaść do nas. Żona umiera pewnie z ciekawości...

— Dziękuję. Bardzo panu dziękuję i przepraszam.

Tej nocy park był groźny. Obcy i wrogi. Z ciemnego domu emanowała nieprzyjemna cisza. Złowroga atmosfera otacza Bronisia od progu westybulu i towarzyszy aż do jego pokoju.

Przechodzi do łazienki. Najchętniej wzięłby teraz kąpiel, nie można jednak budzić wszystkich mieszkańców. Obmywa więc tylko nie goloną twarz i zrzuca brudne, podarte ubranie. Jest zupełnie zniszczone. Nic dziwnego... po takiej wędrówce! Teraz trzeba czym prędzej pomówić z Frankiem.

Nie jest to wcale takie proste. A Mauro? Kto zaciągnął go na schody? Czy zawlókł się sam? Znowu wraca dawna nieufność. Komu wierzyć w tym domu? O co im właściwie cho-

178

dzi? Co się kryje za oficjalnym antagonizmem dwóch obozów: pani markizy i jej intendenta? Do licha, wpadł w to wszystko jak „śliwka w kanalizację”, według dawnego szkolnego określenia...

Państwa Davittich nie wtajemniczał szerzej w te dziwne sprawy, opowiedział, że przypadkowo odkrył tajne przejście między murami Willi Attendola, zapuścił się w nieznany korytarz i nagle spadł w przepaść. Odzyskawszy przytomność stwierdził, że znajduje się w podziemiu i wędrując omackiem dotarł do ruin zamku. Tam znalazł Maura. To wszystko była prawda. Prosił też o dyskrecję. Doktor nie zadawał pytań, a pani Wanda zadowolona się chwilowo tym, co powiedział. Co do Maura był spokojny, miał pewność, że Włoch będzie milczał. Groźny cień markizy sięgał daleko!

Dochodziła czwarta, gdy wysunął się na korytarz. Wydawało mu się, że w całym domu nie ma żywej duszy. Bronis czuł jednak obecność właścicielki. Mury Willi Attendola były ażurowe, oko pani domu przenikało do najskrytszych zakamarków. Cisza i ciemność to tylko pozory, za którymi stoi inna, ta prawdziwa rzeczywistość. Dzieją się w niej różne rzeczy, ponure i zaskakujące, i dlatego trzeba się mieć na baczności. Zawsze.

Nie robiąc prawie hałasu dotarł do drzwi intendenta. Wszedł bez pukania. Franco, całkowicie ubrany, spał w fotelu w drugim pokoju, będącym sypialnią. Zerwał się natychmiast.

— Kiedy wróciłeś?

— Przed chwilą. Właśnie...

— A Mauro?

— W szpitalu. W Forli.

— Mieliście wypadek?

— Nie znalazłeś mojej kartki?

— Więc pisałeś z Bolonii?

— Człowieku! Nie byłem w Bolonii. Cały czas znajdowa-

łem się tuż blisko ciebie, w Willi Attendola. Czekałem pomocy...

— Na Boga, co się stało? Jak ty wyglądasz?

— Wiesz, to podziemne przejście łączące dom z zamkiem, o którym mówiłeś, istnieje naprawdę, odkryłem je.

— Słuchaj, Bronco, albo ty oszalałeś, albo ja? Co to wszystko znaczy?

Gdy Broniś opowiedział dzieje dwóch ostatnich dni, intendent chwycił się za głowę.

— Zaraz, zaraz, jak to mogło być z tą kartką? Mówisz, że podsunąłeś pod drzwi?

— Tak, miałem nawet trudności, bo szpara bardzo wąska, ale się udało. Musiałeś nie zauważyć.

— Niemożliwe. Ktoś wyjął kartkę, nie jestem przecież ślepy, z całą pewnością zauważyłbym coś białego pod drzwiami. Tak, tak, ktoś wyjął, ale nie Mauro. Jak mówisz, był wtedy w ruinach.

— Tak. I właśnie przydarzył mu się ten tragiczny wypadek. Miał chłop szczęście, że nie skreślił karku.

— Widocznie nie jest tak głęboko, jak nam się zdawało. A co do kartki, mogła ją zabrać sama markiza albo Nina.

— Albo Maria.

— Co ty?...

— Nic. Wyliczam wszystkich mieszkańców Willi Attendola.

— W takim razie zapomniałeś o kucharce. No i o Agacie.

— To prawda — przyznał Broniś. — Ciebie więc też należy włączyć do podejrzanych...

— Mnie? Przecież kartka do mnie była pisana? A w ogóle to czy na pewno zawiadomiłeś mnie o swym odkryciu?

— Jak widzę, wracamy do dawnych sporów?

— Masz rację. Dajmy temu spokój. Chodzi o tak ważne rzeczy, że... No, rozumiesz? Przypomnij sobie, czym było całe życie i ile zależy od tego, czy coś znajdziemy. Słuchaj, już

wiem. To Nina... Tak, tak, nikt inny, tylko ona. Jakże mogłem zapomnieć. W ten wtorek przysłała wcześniej niż zwykle. Zacząłem właśnie się ubierać. Nie przyniosła śniadania, tylko przysłała zawiadomić, że markiza mnie potrzebuje. Bardzo się zdziwiłem, bo pani Chiaramonte późno wstaje. Mimo wczesnej godziny była zupełnie ubrana. Siedziała przy biurczku i od razu gdy wszedłem, powiedziała, że mam jechać do Forli do jej notariusza w sprawie sprzedaży kawałka ziemi, który posiada w okolicy San Marino. Namyslała się od dawna, czy to sprzedać, notariusz namawiał ją, by się pozbyła kłopotu, tym bardziej że trafił się doskonały nabywca. Dotąd nie dała się przekonać, aż tu nagle powzięła decyzję... Trochę mnie to zastanowiło, ale znając ją od tylu lat, niejedno widziałem. W taki więc sposób wyprawiła mnie na pół dnia z domu. Wieczorem powiedziała, że pojechałeś razem z Mauro do Bolonii, bo ktoś z ambasady polskiej wezwał cię tam telefonicznie. Wszystko, jak widzisz, pasowało do siebie i byłem o sto mil od prawdy. Boże, gdybym wiedział!...

— Nie przejmuj się, już po wszystkim. Teraz tylko trzeba odnaleźć zejście do podziemi. Dawni właściciele nie zlatywali przecież tak jak ja na złamanie karku, gdy chcieli niepostrzeżenie dostać się do zamku. Najgorsze, że nie mam pojęcia, w której części domu znajdowałem się, gdy markiza uruchomiła zapadnię. Bez tego nie wiem, skąd rozpocząć poszukiwania.

— Czy nie możesz sobie przypomnieć?
— W jaki sposób? Kręciłem się w tym labiryncie po całym domu. Są tu chyba jakieś znane podziemia, co?
— Są piwnice. Sam zbadalem wszystkie kąty, szukałem przecież przejścia do zamku.
— A właściwie dlaczego szukałeś?
— Miałem nadzieję, że gdy uda mi się odtworzyć plan podziemi dawnego pałacu oraz zamku, łatwiej trafię na to, czego szukam. Tajne archiwum Sforzów ukryte jest w ziemi, inaczej

181

dawno już przestałoby być tajemnicą. Jeśli odnajdziemy korytarz, którym z Willi Attendola dostałeś się do ruin Castello Sforzesco, potrafimy również odnaleźć to najważniejsze.

— Więc jednak wierzysz w istnienie tego archiwum?
— Wierzę. Bez zastrzeżeń. Wspominają o nim dawni autorzy traktujący o dziejach tej rodziny. Jedyna rozbieżność, jaka istnieje między nimi, to lokalizacja, bowiem podczas gdy jedni umieszczają je w Mediolanie, inni każą szukać dokumentów w Pawii; jeden tylko z nich, i to nieśmiało napomyka o Romanii jako kolebce rodu. Nawet jemu jednak nie przychodzi na myśl Castello Sforzesco w Meldoli, raczej coś tam wtrąca o Cotignoli i okolicach. Dopiero ja... Mówiłem ci już o liście Bony pisanym z Bari do Wiktorii Colonna. Przypomnij sobie to zdanie: „Koniecznie muszę być na Skale w Meldoli, ja jestem ostatnia, która wie, a nie mam już nikogo zaufanego, nikogo, kogo bym tam posłać mogła”. Zastanawiające, co?

— Tak, rzeczywiście...

— Wyraźnie wymienia Skalę w Meldoli. Rocca. Tak wówczas zwano to zamczysko. Przyjaciółka widać była częściowo wtajemniczona. Bona nie ufa otoczeniu, nie ma nikogo, kim mogłaby się wyręczyć. Ta żona i matka królów polskich na swą własną zgubę porzuciła przybraną ojczyznę, zostawiając niezamężne córki, i wyjechała poróżniona z synem. Umiera opuszczona przez wszystkich, to przecież tylko płatne sługi, otruta przez ulubieńca, działającego na rzecz Hiszpanii. To on, ten Pappacoda podsunął umierającej do podpisu sfałszowany testament. Prawdziwy dokument, z ostatnią wolą królowej ukryty został przez zdradzieckiego sekretarza. Filip II zyskiwał włoskie posiadłości Bony oraz darowiznę 430 000 dukatów, czyli owych „sum neapolitańskich”.

— Los się zemścił na Bonie. Spotkała ją straszna kara.

— Straszna. Mało kto tak ciężko przeżył ostatnie godziny. Widocznie miała się już od pewnego czasu na baczności i pra-

182

wdopodobnie przedsięwzięła jakieś kroki w celu zabezpieczenia bratanka. Nie wiemy, czy udało jej się dotrzeć przez kogoś do Meldoli, by tam ukryć rozporządzenia testamentowe... Musiała też w jakiś sposób zawiadomić Guida Petracini o powziętej na jego korzyść decyzji. Może znowu posłużyła się owym szlachetnym Polakiem, Matteo Corizio, jeśli jeszcze żył. Ale tego chyba nigdy już nie zbadamy.

— Nie wiadomo. Jeśli, jak twierdzisz, archiwum Sforzów nie zostało dotąd splądrowane...

— To zupełnie wykluczone. Pappacoda mógł natomiast zniszczyć testament Bony, ten prawdziwy, choć i to nie wydaje mi się bardzo prawdopodobne. Taki dokument to była w jego ręku potężna broń przeciw Filipowi. Król Hiszpanii hojnie go obdarzył za oddaną przysługę, obsypał zaszczytami, nadał dobra i tytuły. Za pomocą tego dokumentu Pappacoda trzymał króla w garści i mógł żądać więcej. Było

to swego rodzaju narzędzie szantażu. Są więc, jak widzisz, powody, by przypuszczać, że testament istnieje. Tym niemniej świat może nigdy go nie ujrzeć. Jako szpargał bez znaczenia tkwić będzie w jakiejś bibliotece, wśród innych rękopiśmiennych szpargałów, w starym klasztorze czy pałacu i nigdy nie trafi do ręki historyka zainteresowanego tym zagadnieniem. I tak czasem bywa. Jeśli zaś Bona dotarła do Meldoli, być może znajdziemy tu jakiś odpis czy brulion prawdziwego testamentu. Widzisz teraz, czego się spodziewam i jakie są moje nadzieje.

— Spodziewasz się bardzo wiele. Obyś nie doznał rozczarowania! Ja co prawda też mam nadzieję, ale... Przy takich trudnościach... tym bardziej że z tym zejściem do podziemi... Może markiza coś wie? Czy nie można by zmusić jej do mówienia?

— Oszalałeś! Markiza z początku była przekonana, że to Mauro wkraść się w jej tajemnicę, dlatego rankiem posłała po mnie Ninę. Chciała mnie w jakiś sposób przygotować. Tym-

183

czasem plan uległ zmianie, gdyż dziewczyna znalazła twój liścik. Nastąpiła wtedy błyskawiczna zmiana ofiary: nie Mauro, ale ty wpadłeś w nieznaną czeluść i trzeba było na gwałt usprawiedliwić twoje zniknięcie. Stąd bajeczka, jaką mnie poczęstowała.

— W takim razie, gdzie według niej podział się Mauro?

— Może jest bliska prawdy, jeśli to za jej zgodą myszkował w ruinach. Nie wiadomo, co teraz robi. Wydaje mi się, że najlepiej, gdyby myślała, że to jednak Mauro padł ofiarą zapadni. Musisz się jej jak najprędzej pokazać, obmyśliwszy przedtem, co powiesz na usprawiedliwienie swej dość niezwykłej nieobecności.

— Myślisz, że dałaby się zwieść?

— Jak najbardziej. Jesteś żywym dowodem rzeczowym, wskazującym, że to Mauro, a nie ty, pogwałcił tajemnicę sekretnych przejść.

— I uwierzyłyby?

— Musiałaby. Mauro przecież zniknął.

— Mauro jest w szpitalu w Forli.

— Mauro nie piśnie słówka, a do szpitala sam zadzwonię.

— Jak chcesz, wiesz tylko, jak nie lubię niejasnych sytuacji. W jaki sposób myślisz to właściwie zainscenizować?

— Zobaczymy. Nie denerwuj się. Mamy jeszcze dużo czasu, pani Chiaramonte zazwyczaj późno wstaje.

— Już ranek. Dobrze byłoby zejść do piwnic.

— Słusznie.

— A potem muszę się przespać, jestem bardzo zmęczony.

— Wyobrażam sobie. Słuchaj, odłóżmy te piwnice...

— Nie, nie, chciałbym już wiedzieć...

Do piwnic Willi Attendola schodziło się z nieznannej Broni-siowi „kuchennej” części domu. Jeszcze wszyscy spali, nie spotkali więc nikogo po drodze i bez przeszkód dotarli do niskich, pięknie okutych drzwi, które z jednego z przykuchennych pokoików prowadziły w głąb ziemi.

184

Schody były wygodne, by służba zbiegająca po omszałe butelki nie uroniła ani kropli z wyborowych win, z jakich sływały tutejsze piwnice. Dziś sklepienie podziemia były puste, na jednej półce, owszem, stało kilkanaście butelek, cóż to jednak znaczyło wobec ogromu całego pomieszczenia? Światło elektryczne odarło to

miejsce z wszelkiej tajemniczości i poezji. Wszystko było widne jak na dłoni. W blasku silnej żarówki znikły mroczne kąty i niepokojące cienie.

Piwnice ciągnęły się jedna za drugą, zdawało się w nieskończoność, wszystkie pięknie sklepione, podobne do siebie, wydzielające wilgotny zapach pleśni i stęchlizny.

— Jak długo tak będziemy szli? — spytał w pewnej chwili Broniś, zniżając mimo woli głos.

— Jeszcze chwilę — odparł równie cicho Franco. — Zaraz będzie przeszkoda, zobaczysz.

Rzeczywiście wkrótce trafili na przeszkodę nie do przebycia: po prostu zwykły mur, zamykający długi szereg piwnic. Na to niestety nic nie można było poradzić.

— Ta ściana równie stara jak inne — zawyrokował zniechęcony Broniś obejrzawszy dokładnie przeszkodę.

— Tak, wiem. Nie tędy prowadzi dalsza droga. Przypuszczalnie zupełnie gdzie indziej trzeba szukać interesującego nas zejścia. Ale gdzie? Gdzie? Oddałbym resztę życia, by to wiedzieć!

— Poczekaj, te drzwi do piwnic... Nie przyjrzelśmy się im. Wydają się dziwnie podobne do drzwi w baszcie... twojej baszcie, pamiętasz? Otworzyłeś ją dorobionym kluczem. Też tak pięknie okute i takie niskie. Wracajmy. Muszę koniecznie obejrzeć drzwi do piwnicy.

— Nic tam nie ma, oglądałem sto razy.

— Chodź prędzej.

Powrotną drogę odbyli prawie biegiem. Zatrzymali się zdyszani u stóp schodów. Broniś powoli otwierał ciężkie odrzwia, których zawiasy

185

skrzypiąc wydawały melodyjny dźwięk. Tak, drzwi podobne do tamtych w baszcie, równie gęsto nabite mocnymi ćwiekami, tak samo owalnie zakończone u góry. Tylko tu czegoś brak... Zaraz, zaraz, jak to było w baszcie? Aha... gładki pasek muru dokoła... a na nim... tak, napis... pięknie powyginane litery... łacińska sentencja z bibliotecznej sali. Tu też wąski pasek otaczający drzwi. Pusty. Nie ma na nim ani jednego słowa, nic...

Broniś chwyta ramię intendenta.

— Tu był napis, musiał być, taki sam jak w baszcie. Franco przybliżył twarz do futryny.

— Nic nie widzę.

— Był napis — gorączkował się Broniś.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Bo takie same drzwi, bo napis konieczny, wskazuje drogę, to jedno z ogniw...

Czyż nie rozumiesz?

— Ale jeżeli go nie ma?

— Musi być! Tu jego miejsce!

Broniś chustką trze pasek muru nad drzwiami. Zdrapuje paznokciami tynk. Pracuje w zapamiętaniu, niepomny na towarzysza. I oto nagle coś ciemnego... cienki zakrętas ozdobnie wypisanej litery „g”. Tak, jest napis, niestety zamazany murarską zaprawą, zasmarowany tynkiem. Bez odpowiednich narzędzi nie sposób wydobyć na jaw siedmiu łacińskich słów. Ale wystarczy ta jedna litera. Broniś wie.

— Jest napis — mówi zmęczonym głosem. — A teraz idę spać, dobranoc.

?

XVII

— A więc wrócił pan? — Głos markizy Chiaramonte nie zdradza najmniejszego wzruszenia. Zupełnie rozumiała. Cóż się bowiem stało? Oto bibliotekarz Willi Attendola znikł,

186

a potem pojawił się równie nagle i niespodziewanie, i siedzi teraz nad stertą starodawnych książek.

— Bardzo mi przykro — Broniś traci resztki pewności siebie — ale tak się złożyło...

Pani Chiaramonte za to jest wprawna dyplomatką i artystką wielkiej klasy. Ani jeden rys w jej twarzy nie drgnął, gdy tego popołudnia, otworzywszy drzwi biblioteki, zastała Bronisia przy długim stole, zatopionego jak zwykle w pracy.

— Czy to prawda, że wezwano pana do Bolonii? Ktoś z polskiej ambasady?

— Tak, o tak, i nie miałem możliwości zawiadomić. Myślałem, że wrócę za kilka godzin...

— Nic się nie stało. Na drugi raz prosiłabym o porozumienie się ze mną.

Po wyjściu „chlebodawczyni” Broniś otarł spoconą twarz, Chytra baba, nie ma co! Sama podała mu spreparowane dla Franca kłamstwo, jak rękę pomocną przy trudnym przejściu. Ciekawe, co naprawdę myśli i przypuszcza na temat jego zniknięcia. A Mauro? W każdym razie z zimną krwią zrzuciła człowieka w nieznaną otchłań.

Obojętne kogo, jego czy Maura, człowieka. Oto, do czego jest zdolna.

Po obiedzie, wyspany, z nową energią zaatakował powierzony jego pieczy księgozbiór poloników. Tak się ostatnio zaniedbał! Tyle książek pozostało do zakończenia prac nad katalogiem! Musi teraz wrócić na „uczciwą drogę” i spełnić to, czego oczekuje od niego markiza, a więc i Biblioteka Narodowa. Tylko jeszcze jedna sprawa... już ostatnia... drzwi do piwnicy. Zamalowany w otoku napis nie dawał spokoju. Quidquid agis, prudenter agas et respice finem — przeczytał po raz nie wiadomo który pod sufitem. Miał rację ten, kto to powiedział. W każdej sytuacji trzeba działać ostrożnie, a przede wszystkim przewidywać koniec. Jaki koniec może mieć ta jego „renesansowa przygoda?” Doprawdy nie wiadomo. Niemniej jeżeli napis nie kłamie, jeszcze tej nocy...

187

Po pracy wybrał się do państwa Davittich. Oboje wyczekiwali go z niecierpliwością. Doktor wrócił właśnie z Forli i zawiadomił, że stan pacjenta zadowolający, a noga w gipsie nie nasuwa żadnych poważniejszych obaw. Czekają więc na wyjaśnienia...

Tajemnica nie była jego własnością, wobec tego Broniś powtórzył to, co powiedział poprzednio, dodając, że badał podziemia ruin, a Mauro, widać, czynił to samo.

— Dobrze! — wykrzyknęła w pewnej chwili pani Wanda. — Mówi pan, że odkrywszy tajemne przejście w murach Willi Attendola spadł pan w przepaść. A idąc podziemnym korytarzem znalazł pan Maura.

— Tak właśnie było.

— W takim razie pałac markizy połączony jest z zamkiem! To przecież odkrycie kapitalnej wagi!

— Na to wygląda. Chwilowo jednak prosiłbym o dyskrecję. Pani rozumie... Jestem tu bibliotekarzem, gdyby więc markiza dowiedziała się o moich... powiedzmy szperaniach wśród ruin zamku, mogłaby to źle zinterpretować. A tym bardziej to tajemne przejście... Uważałaby, że wtykam nos w nie swoje sprawy i nie wypełniam należycie własnych obowiązków. Czy ja wiem zresztą...

— Proszę być spokojnym. Nic z tego, o czym tu mówimy, nie wyjdzie poza próg

naszego pokoju. Aida jako lekarza obowiązuje tajemnica zawodowa, a ja żyjąc tu od lat też przywykłam do względnej samotności i do dzielenia się myślami wyłącznie z mężem.

— Nie podziękowałem dotąd za list. — Broniś zwrócił pełne wdzięczności spojrzenie na panią domu. — Pisała pani tak ciekawie o Bari.

— Przywiozłam panu karty z widokiem zamku, gdzie mieszkała Izabella Aragońska z córką oraz zdjęcie grobowca Bony. Nie pamiętam nazwiska rzeźbiarza, ale wyraźnie widać, że to szkoła Sansovina.

188

— Bardzo dziękuję. Pisała też pani o swych lekturach dotyczących królowej Bony...

— Tak, to fascynująca kobieta. Wielka indywidualność. Ale zła. Widział pan jej portret robiony już w starszym wieku przez Nicolo Nelli? Te jej oczy... Nic dziwnego, że ludowa gadka przydała królowej grozy trucicielki i posądziła o zgładzenie Barbary. Naturalnie to wierutne kłamstwo! Dobrze wszystkim historykom wiadomo, że Barbara Radziwiłówna zmarła na jedną z owych strasznych, nieuleczalnych wówczas chorób, o czym wyraźnie mówią zachowane dotąd listy Zygmunta Augusta do Radziwiłła Czarnego. Zygmunt August... Co za wspaniały człowiek! Wzór miłości małżeńskiej. Nie odstąpił żony do ostatniej godziny, mimo że rozkładające się ciało wydawało odór nie do zniesienia. Nieszczęśliwszy od swych poddanych, król Polski nie mógł znaleźć za największą opłatą najędzniejszej baby do posługi przy chorej. I sam... do ostatniej chwili... wszystko... To doprawdy nadludzkie bohaterstwo...

— Tak, rzeczywiście. Musiał ją bardzo kochać.

— Do szaleństwa. To w ogóle niezwykły człowiek. I tak nieszczęśliwy... Bona była złą matką. Zna pan przecież historię „sum neapolitańskich”?

— O tyle, o ile.

— Zygmunt August zapisał w testamencie siostronom te sumy do podziału, mając nadzieję, że je kiedyś odzyskają. Łudził się... Zresztą może by i odzyskały te pieniądze, gdyby testament Bony był prawdziwy.

— Jak to? Sądzi więc pani?...

— O, tak. Już tu, w Italii zainteresowałam się bliżej tą sprawą i doszłam do wniosku, że ten znany wszystkim testament Bony jest falsyfikatem. Tak łatwo było wówczas o tego rodzaju nadużycie, przy tym Hiszpanii musiało bardzo zależeć, by ostatnia wola królowej Polski, a księżnej Bari, była po

189

myśli króla Filipa. A ta nagła śmierć Bony... to też daje do myślenia.

— Przypuszczalnie Pappacoda...

— Pappacoda albo kto inny. W owej epoce nie trudno było o najemnego zbira, który równie zręcznie posługiwał się sztyletem, jak trucizną. O, tu mam jeszcze piękne zdjęcie Castel dell'Ovo, gdzie Bona jako młoda dziewczyna zatrzymywała się z matką, gdy przyjeżdżały do Neapolu. Prawda, jaki imponujący zamek?

— Wspaniały. Nie wiedziałem, że leży na wyspie.

— Prawie. Lubię zwiedzać stare zaniki. Chociażby i nasze Castello Sforzesco w Meldoli. Piękny zabytek. Więc schodził pan do podziemi tych ruin?

— Trochę. Doskonale tam wszystko zachowane. Skała podziurawiona korytarzami jak mrowisko. Tylko trudno się tam dostać, trochę to karkołomna wyprawa.

— Ciekawe. Nikt tu nigdy o tym nie wspominał. Stary Paolo może nawet nie wie...

— Na pewno nie wie. To zresztą lepiej. Tam niebezpiecznie. Taki na przykład Mauro...

— Wie pan, czasami myślę, czy w jakiś sposób Bona nie była związana z Meldolą?... To przecież dawne posiadłości Sforzów. Może kiedyś w dzieciństwie, podczas gdy mieszkała jeszcze w Mediolanie...

— Być może. To pasjonująca zagadka.

— Prawda? Muszę raz jeszcze dokładnie zwiedzić te ruiny. A może wybierzemy się razem?

— Z największą przyjemnością służę za przewodnika. Lepiej tylko, by Paolo nie dowiedział się...

— Dobrze. Pójdziemy kiedyś wszyscy troje.

— Wieczorem.

— Wieczorem? — Pani Davitti popatrzyła zaskoczona na Bronisia, ale nic już więcej nie powiedziała.

Spóźnił się na kolację. Nina z naganą w spojrzeniu podawa-

190
ła do stołu. Widać było, że pali ją ciekawość, że dałaby wiele, by się dowiedzieć, gdzie tak długo przebywał „Biondino” i co oznacza owa kartka, znaleziona w pokoju intendenta. Przed telewizorem siedziała Maria.

— Idę razem z wami — szepnęła oglądając się na drzwi. Program nie interesował dziś Bronisia. Po pierwszym akcie dosyć nudnawej sztuki poszedł na górę. Po prostu nie mógł długo usiedzieć na jednym miejscu. Coś go pędziło, gnało, by jak najprędzej znaleźć się za niskimi drzwiami w kamiennym obmurowaniu. I żeby wreszcie przeczytać napis, cały, od początku do końca. Przecież tam jest, trzeba go tylko wydobyć na światło dzienne. Franco zjawił się o jedenastej. Razem wstąpili po Marię. Dziewczyna przygotowała dzbanek z wodą i szmaty. Uzbrojeni w mocne latarki cicho zeszli do tylnej części domu.

Wydobycie napisu spod pokrywającej go warstwy tynku zabrało prawie godzinę. Dopiero o północy mogli w całości odczytać dobrze znane wyrazy.

— Jesteś zadowolony? Franco zwrócił pokrytą kurzem twarz do przyjaciela.

— Doprawdy nie rozumiem... — zaczęła Maria.

— To konieczne. Teraz wiemy. Na sto procent. Te same litery, widzicie? W bibliotece, w baszcie i tu. Jedną ręką pisała te słowa. I nigdy nie dowiemy się, czyja... Czy to nie dziwne?

— Ale po co?...

— Tędy prowadzi droga. Trzeba tylko szukać. Może gdzieś tam w dole są też jakieś litery — zamazane, ukryte jak tu...

— Chodźmy — przeciął Franco popychając ciężkie odrzwia.

— Jak tu cicho. — Maria przytuliła się do ramienia kuzyna. — I zimno...

Podobnie jak poprzedniej nocy przemierzali długi szereg

/

191

pięknie sklepionych piwnic i zatrzymali się przed zamykającą je ścianą.

— Nic tu nie ma — Maria ze złością uderzyła w przeszkodę. — Nie rozumiem, czego się spodziewacie po tej piwnicy? To zupełny absurd.

— Ale napis? — Bronis nie dał się pognębić. — To drogowskaz.

— Wracajmy — westchnął Franco. — Musimy raz jeszcze zbadać wszystko od początku.

Wrócili. W niektórych piwnicach pod ścianami stały beczki. Wielkie kadzie oplecione żelaznymi, teraz zżartymi rdzą obręczami, od dawna puste, wydawały żalostny jęk pod niecierpliwą dłonią poszukiwaczy. Zardzewiałe krany zapomniały już, jak to łało się z nich rubinowe lub złote wino w srebrne czy cynowe dzbany.

Zakurzona żarówka wydobywała całą nędzę i opuszczenie tych dawnych „zbiorników radości”, ukazując zwisające nad nimi festony pajęczyn i grube pokłady kurzu na pokrywach.

— Patrzcie, tu coś jest! — zawołała nagle Maria zatrzymując się przed pękatym brzuchem wielkiej kadzi.

— Chyba kurz. — Franco kręcił z powątpiewaniem głową.

— Daj szmatę. — Broniś ostrożnie ścierał „pył wieków”, a na wypukłej powierzchni beczki powoli zarysowywała się dobrze znana litera.

— „Q” — szepnęła z przestachem Maria. — „Q”, tak samo jak w ruinach... w korytarzu...

— „Q” — stwierdził triumfująco Broniś. — Poświeć, Francu, zobaczę, czy jeszcze tam czego nie ma.

Nie było nic więcej. Szli od beczki do beczki z latarką i ze szmatami. Nigdy, za najlepszych nawet czasów świetności Willi Attendola czy spalonego pałacu Sforzów, żaden piwni-czy nie dbał tak o czystość i wygląd powierzonych jego pieczy beczek. Wszystko jednak okazało się daremne. Oprócz tej

192

jednej litery, jednego „Q”, nic innego nie znaleźli. Zmęczeni i brudni dali wreszcie za wygraną.

— To i tak wiele — pocieszał całe towarzystwo Broniś. — Wiemy teraz, że tędy prowadzi droga, tak samo jak w ruinach, i że gdzieś tu jest połączenie...

— Znajdziemy je. — Franco roztarł na czole czarną smugę pyłu.

Wracali z postanowieniem kontynuowania poszukiwań następnej nocy. Broniś najchętniej pozostałby w podziemiu, tak podniecające było odkrycie litery, która obiecywała wiele dalszych wzruszeń. Trzeba było jednak posłuchać głosu rozsądku i wypaść się przed czekającą w dzień pracą.

— Rozmawiałem ze szpitalem — zdążył mu jeszcze szepnąć Franco. — Prosiłem, by nie niepokoiono markizy. Z wszelkimi sprawami, związanymi ze stanem chorego, będą się zwracali do mnie. Na szczęście nie jest tak źle, jak się obawiałem.

Tak, rzeczywiście, strach pomyśleć, co mogli spowodować swą niewczesną ciekawością. Biedny Mauro, ale się nacierpiał! Gdyby nie ten fatalny zbieg okoliczności, znaleźliby go zaraz nazajutrz. A tak... Markiza nagromadziła tyle kłamstw, które już dziś nie trzymają się kupy. Ciekawe, czy wierzy, że wszyscy są tak naiwni? Ona jedna mądra, a reszta to durnie. I za nic ma życie ludzkie.

Zatęsknił raptem za normalnymi ludźmi. Takimi, którzy nie potrafiliby nikogo strącić w przepaść, nie chodziliby nocą wśród festonów pajęczyn, by straszyć i podglądać Bogu ducha winnych mieszkańców tego samego domu; którzy o nikim nie mogliby powiedzieć „mój intendent” czy „mój bibliotekarz”. Ach, żeby prędzej znaleźć się znowu wśród nich. Dobrze znani, bez niespodzianek, wzbudzający zaufanie, „bezpieczni”...

Ale testament królowej Bony? Tajne archiwum Sforzów! Boże, Boże, jak z tego wybrnąć? Zaplątał się tak, że nie widać

13 — Renesansowa przygoda

193

wyjścia. Franco... Maria... A nade wszystko markiza. Groźna i niepokojąca.

Całą noc dręczyły go koszmarnie sny. Wstał zmęczony, gotów „rzucić do diabła całe przedsięwzięcie” i zamknąć oczy i uszy na wszystko, co nie było księgozbiorem pani Chiara-monte. Tak jak na początku... Głupiec, narzekał wtedy na nudy.

Dobrze mu tak, ma teraz chyba aż za dużo rozrywek!

Dobrze mu tak, ma teraz chyba aż za dużo rozrywek!

Śniadanie zjadł bez apetytu, a potem ze spuszczoną głową, by nie czytać

łacińskiej sentencji pod sufitem, wkroczył do sali bibliotecznej. Na stole piętrzył się stos książek, które wczoraj przygotował do opracowania, a za plecami błyszczało kusząco złożonym grzbietem dobrze znane dziełko pana Sebastiana Ciampi. Dość ma tych starych bzdur! Zupełnie mu się od tego w głowie pomieszało!

W takim nastroju przebył dzień. Po kolacji poszedł prosto do siebie. Nie zniósłby telewizji, Niny czy starej Agaty! Już lepsza samotność pod purpurowym baldachimem. Czas płynął wolno. Żeby prędzej ta jedenasta!

Poszli we dwóch. Markiza źle się czuła i zatrzymała Marię przy sobie.

— Jest bardzo zdenerwowana — poinformował szeptem Franco. — Obawiam się ataku serca. W razie czego Maria nas zawoła.

Beczki błyszczały czystością jak nowe. Na jednej z nich, największej, pyszniła się litera.

— I co dalej? Gdzie szukać więcej wskazówek? — Franco rozglądał się bezradnie po sklepionym wnętrzu.

— Są tu, są, tylko nie umiemy patrzeć. Pewnie też zatarte, zamazane, ukryte pod tynkiem lub warstwą kurzu. Umyślnie ukryte. Czekaaj, pamiętasz w ruinach? Znaleźliśmy litery na podłodze i na suficie. Może i tu? Szukajmy jeszcze raz...

— Szukajmy.

Wrócili do schodów. Pomagając sobie latarkami badali każdy centymetr podłogi.

Ułożono ją z ceglanych płytek, ale

194

pierwotny ich kolor zdeptał czas i pokrył pył paru stuleci. W każdym razie i w tym szczególnie urządzenia piwnic przejawiała się dbałość dawnych właścicieli oraz ranga, jaką te pomieszczenia zajmowały wobec innych części domu.

Już w następnej piwnicy za beczką z literą znaleźli drugi znak.

Może dlatego wpadł im w oczy, że płytka, na której wyryto niegdyś to duże „A”, była brudniej sza od innych, jak gdyby wszystek kurz tu się chętniej osadzał, by trudniej było dostrzec to, co ukryła dawno temu czyjaś ręka.

Broniś klęcząc wodził palcami po starych brzegach nacięć, witając je jak coś dobrze znanego i oczekiwanego.

— Jest — szeptał bardziej do siebie niż do towarzysza. — Jest „A”. Wiedziałem, że będzie...

I wtedy posłyszeli wołanie. Słaby głos tłumiony przygniatającym ciężarem sklepienia. Franco poskoczył ku schodom.

— To Maria — rzucił przez ramię. — Muszę iść, woła mnie...

Broniś został sam. Było kwadrans po pierwszej.

Po dwóch godzinach bezowocnych poszukiwań przysiadł na stopniach wiodących na górę. Bolała go szyja. Nic dziwnego! Przez cały czas oświetlał sklepiony sufit, badając pokrytą pajęczynami gładką powierzchnię. I nic! Zresztą jak tu dojrzeć, za wysoko, a kurz i pajęczyny w niektórych miejscach ułożyły się w isticie fantastyczne wzory, mogące zmylić naj-czujniejsze oko i sprowadzić poszukiwania na manowce. Należało koniecznie coś zrobić. Ale co? Tymczasem odpocznie chwilę, zastanowi się, a potem przetoczy jedną z beczek pod ten fragment sufitu, gdzie jakby coś się rysuje. I dopiero gdy wejdzie na beczkę, dojrzy, czy rzeczywiście jest tam znak...

Łatwo to powiedzieć, trudniej o wiele wykonać. Beczki były jak gdyby przyrośnięte do podłogi: ani je ruszyć! Nawet

195

najmniejszy antał nie drgnął, mimo że Broniś pchał z całej siły. A wydawały się puste! Co u licha? Zmęczyło go to bezcelowe szamotanie się. Przechodził coraz dalej z piwnicy do piwnicy, biorąc się za bary z pękatym przeciwnikiem. Wszystko nadaremnie. I dopiero gdy znalazł się prawie u kresu wędrówki, blisko zamykającego piwniczną amfiladę muru, jedna z dwóch stojących obok siebie w kącie beczek drgnęła. Zaskrzypiało rozeschnięte drewno, brzęknęły zardzewiałe obręcze. Beczka, choć opornie, szykowała się jednak spełnić wolę Bronisia. Najłatwiej było teraz przewrócić ją na bok i toczyć, a potem, stanąwszy na tym zaimprovizowanym stołku, miałby już bliżej do powierzchni sufitu.

Pchnięta silnie każdą oderwała się od podłogi i runęła z hukiem na ceglana posadzkę, odsłaniając ciemny otwór, dokładnie wycięty w podstawie beczki. W dół wiodły strome schody, ginące w mrocznej głębi. Broniś pochylił się nad czeluścią, dotknął ręką kamiennego stopnia. Wiedział, że to właśnie tu. Należało jednak upewnić się. Jeżeli będzie litera...

Wahał się z nogą na pierwszym stopniu. A jeśli beczka jakimś cudem wróci na dawne miejsce, zamykając go w pułapce? Wszystko było możliwe w tym niesamowitym domu. Już raz mu się to przydarzyło, teraz należało być ostrożnym, czyjaś wroga ręka znowu mogła uruchomić jakiś mechanizm, czyniąc go więźniem tym razem na zawsze. Nie wolno działać zbyt pochopnie. Huk padającej beczki mógł zbudzić cały dom i każdej chwili należało spodziewać się wizyty Niny lub Agaty. Mijały jednak minuty, a nikt nie przychodził. Czekał w napięciu, wyęzając słuch, ze wzrokiem skierowanym w stronę odległych drzwi. Nic. Cisza. A może spróbować? Tylko trochę... parę kroków... żeby się upewnić, że jest jakiś znak, litera...

Puściwszy snop światła w nieznaną, zsunął się po stromych i wysokich stopniach. Zejście nie było wygodne, to prawda, ale dość znośne. Podziemny korytarz ginał gdzieś w czarnej

196

głębi. Po kilku krokach Broniś cofnął się ku schodom: za żadną cenę nie wolno było odcinać sobie odwrotu! Rzucając dokoła siebie świetlne smugi, dostrzegł nareszcie na suficie tajemniczego korytarza literę. Był to oczekiwany znak, „P” zaczynające trzeci wyraz łacińskiego zdania. A więc miał już klucz i mógł spokojnie przygotować wyprawę na następną noc. Naturalnie pójdzie wraz z Frankiem.

Zatoczył beczkę, by ukryć otwór, i pogasiwszy światła zamknął za sobą masywne drzwi. Był dziwnie spokojny. Opadła paląca dotąd gorączka, która nie pozwalała mu odkładać poszukiwań. Teraz, gdy wiedział, mógł czekać nawet i parę dni. I tak był pewien wygranej. Markiza krążyła wyłącznie tajemnymi przejściami wykutymi w murach Willi At-tendola, nie zagłębiając się w dalsze odkrycia. Jedyne wróg, Mauro, był unieszkodliwiony. Zresztą czy był jeszcze wrogiem? Broniś dobrze pamięta gorące wargi Włocha na swej dłoni.

Gdy otwierał drzwi w głębi westybulu, z bocznego salonu dobiegły głosy. Rozmowa. Franco i doktor Davitti. Broniś cofnął się, ale tak, by słyszeć wszystko. Franco z doktorem zatrzymali się przy rzeźbionej skrzyni.

— Musiałem jej powiedzieć — mówił doktor — była w strasznym stanie. Widział pan, jak się potem uspokoiła?

I cichy głos Franca:

— Tak, doktorze, obawiałem się jednak wstrząsu...

— Zadzwoń rano. W razie gdyby nastąpiło pogorszenie... — na tych słowach zamknęły się drzwi wejściowe, po czym warkot samochodu doktora ścichł w oddali. Broniś wysunął głowę. Franco rygłował właśnie drzwi na noc.

— No i co? Jak markiza?

— A, to ty? Uspokoila się po zastrzyku. Słuchaj, co ty wyrabiałeś? Myślałem, że dom się wali.

— Upadła beczka... powiedz, co z markizą? Co to było?

— Atak serca. Kołaczą się w niej jeszcze resztki sumienia.

197

Choć tego nie okazywała, dręczyła ją myśl o Mauro. Maria mówi, że cały wieczór była niespokojna i wyraźnie bała się. Spoglądała w górę i szeptała: „On tam jest, patrzy na mnie”. Gdy Maria spytała, kto patrzy, babka rozgniewała się, niemniej nie pozwoliła jej odejść. A potem trochę zasnęła. Ale krótko i zaraz się obudziła w bardzo złym stanie. Było tak jak wtedy, pamiętasz? Więc Maria zbiegła, by mnie zawołać. Od razu wezwałem doktora Davitti. Markiza nie panowała już nad sobą, lęk jej budził litość. Gdy doktor zapytał: „Czym się pani martwi?” odpowiedziała: „Mauro... Mauro...” Wtedy doktor: „Nic mu nie będzie, wkrótce wróci do pracy”, a markiza: „Nigdy nie wróci, nigdy, nie wróci, nie chcę, żeby wrócił”, a doktor: „Czemu pani nie chce? Mauro to dobry służący. Gdy się noga zrośnie, znowu będzie jak dawniej”. „Noga?” „No, tak, złamana noga. W szpitalu w Forli ma doskonałą opiekę”. Na to ona: „W szpitalu? W Forli?” A doktor: „Widziałem go wczoraj, rozmawiałem z nim, wszystko jest na dobrej drodze...” Wtedy markiza do mnie: „Wiedziałeś o tym?” „Wiedziałem — mówię — jestem w stałym kontakcie ze szpitalem. Nie chciałem pani martwić”. Żebyś widział, jak na mnie spojrzała! Dreszcz mnie przeszedł. No i rzeczywiście uspokoiła się. Doktor jeszcze chwilę posiedział, zrobił drugi zastrzyk, dał jakieś pastylki, przepisał lekarstwo, kazał kilka dni pozostać w łóżku... i właśnie odjechał.

— Słyszałem.

— A ty, znalazłeś co?

— Znalazłem. Zejście do podziemi. I literę „P”. Już wiem...

— Nie może być, Bronco. Czemuż mi od razu nie mówisz! Byłeś tam?

— Zszedłem tylko kilka stopni w dół, żeby się upewnić. Pójdziemy razem dzisiejszej nocy. Słuchaj, dlaczego nie chciałeś powiedzieć markizie o Mauro?

— Nie pytała mnie. W ogóle o nim nie rozmawialiśmy.

198

Sądziła, że nikt niczego nie podejrzewa. Milczałbym dalej, gdyby nie doktor.

— Wiem. Zły jesteś na doktora. Ale trzeba było ją ratować. Przecież się uspokoiła... Sam zresztą mówisz, że resztki sumienia...

— Ech, a może to tylko lęk przed sprawiedliwością? Boi się, że Mauro ją oskarży, kto ją tam wie.

— Przecież sądziła, że nie żyje. Doktor zdjął jej wielki ciężar z serca.

Wyobrażam sobie, co czuje, gdy myśli o córce. Może dlatego nie śpi i chodzi nocami.

— Nie wybielaj jej. Sam się przekonałeś.

— Może jest tak zła, że aż nieszczęśliwa? A może już tylko nieszczęśliwa?

Przecież Marię lubi.

— Maria jej potrzebna. Wkrótce zrobisz z niej ofiarę, może nawet ofiarę Sforzów, co?

— W jakimś sensie jest ofiarą Sforzów, nie uważasz? Gdy się dowiemy wszystkiego, odkryjemy być może rzeczy straszne...

— Wszystko jest straszne, co ma związek z tą kobietą. Nie żal mi jej.

— A ja zaczynam się nad nią litować. No, dobranoc, do jutra.

— Do Wielkiego Jutra!

XVIII

— Zygmunt Stary był bardzo zakochany. Uroda młodej narzeczonej z portretu uderzyła mu do głowy. Czy pan wie, że kazał sobie przysłać pończoszkę Bony i chciał również znać jej obwód w talii?

Broniś odsunął pustą filiżankę i w zamyśleniu pokiwał głową.

— Słyszałem. Był już panem w średnim wieku, a Bona młodą dziewczyną. Można by napisać interesujące studium

199

o ich potomstwie, czyli jak ich nazywam o „polskich Sforzach”. Cechy Jagiellonów, Sforzów i Habsburgów wydały ciekawy melanz, nie uważa pani? Taki Zygmunt August... Wiele w nim z Włocha. Na przykład to upodobanie do drogich kamieni...

— Właśnie, czytałam, że Zygmunt August miał największy w Europie zbiór klejnotów. Była to jego prywatna własność. Kochał się w kamieniach. Lubił ich zimny dotyk i blask... Wyobrażam sobie, jak zanurzał palce w iskrzącą zawartość szkatuły...

— Miał jednak dobry gust i ubierał się raczej skromnie. Pani Wanda zwróciła twarz do okna nasłuchując.

— Wydaje mi się, że mąż przyjechał. Tak, Zygmunt August, nieszczęśliwy król... Ostatni z Jagiellonów... Robił wszystko, by powstrzymać Bonę od wyjazdu. Gdzieś czytałam, że wydał nawet rozkaz skazujący na śmierć każdego, kto pomoże królowej do opuszczenia granic. Nie wiadomo dlaczego potem zmienił zdanie i pozwolił matce wyjechać, i wywieźć czterdzieści parę wozów naładowanych skarbami.

— Jechała, zdaje się, przez Wiedeń?

— Tak, w Karpatach trzeba było wykuwać specjalne drogi, by królewskie fury mogły tamtędy przejechać. O, jest Aldo.

— Dobry wieczór. — Doktor pocałował żonę w czoło. — Wracam z Forli. Lokaj pani markizy czuje się nieźle.

— Był pan, zdaje się także w Willi Attendola?

— Byłem przed południem. Wpadłem zobaczyć... Pani Chiaramonte dobrze spała tej nocy. Tętno jeszcze trochę za szybkie. Wnuczka jej dogląda. Zamówiłem elektrokardio-gram.

— Już zrobiony. Słyszałem, jak przyjeżdżali.

— Doskonale. Jutro więc dostanę wynik. To ułatwi leczenie. No, a pan? Wszystko w porządku?

— W porządku. — Broniś nie potrafił ukryć zmieszania.

200

— Rozmawialiśmy właśnie o królowej Bonie — dodała pani Wanda. — Czekam z niecierpliwością, kiedy wybierzemy się do Castello Sforzesco, do tych podziemi. A ten korytarz łączący zamek z pałacem markizy?

— Bardzo niewygodna droga — Broniś uśmiechnął się z przymusem. — Nie dla pani. Przeżyłem tam przykre chwile. Przepraszam, ale już czas na mnie. Dziękuję za gościnę.

Wyszedł pospiesznie, zbliżała się bowiem pora kolacji.

Wieczór był łagodny, prawie bezwietrzny. Góra zamkowa ginęła w ciemnościach.

Wkrótce zostawił za sobą światła Meldoli i wstąpił w mrok parku, otaczającego siedzibę pani Chiaramonte. Paliło się tylko w paru oknach parteru.

W westybulu spotkał Franca. Intendent wracał z sypialni markizy.

— Śpi — rzucił w przelocie. — O jedenastej...

Do dziesiątej trzydzieści przesiedział przy telewizji, potem poszedł do siebie „przygotować się do akcji”. Na kilka minut przed jedenastą zapukał Franco.

Zeszli nasłuchując. Cały dom spał.

Po raz czwarty Broniś przekroczył niskie drzwi wiodące do piwnic Willi Attendola. Każda z dotychczasowych wizyt przyniosła jakieś odkrycie, niespodziankę, rozwiązanie jednego słowa pasjonującej szarady, którą ktoś kiedyś ułożył ku zabawie potomnych.

Światło gołych żarówek raziło oczy. Ceglana posadzka dźwięczała cicho pod stopami. Szli milcząc szeregiem sklepionych piwnic ciągnących się przypuszczalnie w poprzek całego pałacu.

Beczka wyglądała tak niewinnie, jak gdyby jej dno ściśle przylegało do zwykłej podłogi. We dwóch łatwiej poradzili sobie z masywem kadzi. Gdy w otworze ukazały się pierwsze stopnie prowadzących w dół schodów, Franco gwizdnął z podziwu.

201

— Sprytnie, co? Komu przyszłoby do głowy szukać pod beczką?

— Tylko przypadek — uciał Broniś. — Nie zapominaj, że przypadek gra wielką rolę w twoim życiu. Tak i teraz... No więc jak? Na co czekamy?

— Pójdę pierwszy. — Franco puścił przed siebie jasny promień latarki. — Ciekaw jestem, kto schodził ostatni po tych stopniach? I kiedy?

Po kilku krokach Broniś oświetlił na suficie nieznanego korytarza literę-znak.

— „P” — przeczytał głośno Franco. — „Prudenter” — ostrożnie. A więc uważajmy...

Posuwali się dość wąskim korytarzem, kierując światła latarek na ściany i podłogę podziemnego przejścia. Powietrze było ciężkie, widać od dawna żaden świeży powiew nie przeniknął do tych czeluści. Bo i skąd? Po pięciu mniej więcej minutach marszu korytarz nagle rozdwajał się w dziwny sposób, bo w tył. To znaczy, że od tunelu, którym szli, pod bardzo ostrym kątem odłączała się odnoga, prowadząc w kierunku wyjścia. Zrobiwszy kredą na murze znak, zapuścili się w to odgałęzienie, ciekawi, czy doprowadzi ich do innego zejścia do tajemniczych podziemi. Niestety, korytarz był ślepy i kończył się murem. Wrócili zawiedzeni. Nie pozostawało nic innego, jak iść dalej obroną na początku drogą.

W pewnym miejscu korytarz rozszerzał się, przechodząc w spory loch, którego wysoki sufit ginął w mroku. Coś brzęk-nęło pod obcasem Franka. Intendent pochylił się kierując światło pod nogi.

— Moja latarka! — Broniś podnosił z ziemi metalowy przedmiot. — Moja latarka! Boże! Rozumiesz, co to znaczy? Rozumiesz?

— Tu w górze musi być zapadnia. — Franco światłem rysował na suficie kwadrat, wycięcie podłogi, którędy tak niedawno ręka markizy strąciła intruza.

202

— Chyba coś tam jest, widzisz? Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Nic nie widzę, za wysoko, za wysoko. A zresztą może? Do licha, ale to tu, przecież latarka! No tak, to na pewno tu. Poszedłem w jedną stronę i trafiłem na ślepią ścianę. To ta odnoga. W ciemności łatwo było przeoczyć drogę do beczki. A potem szedłem w przeciwnym kierunku, znaczy tak, jak idziemy teraz. Nareszcie zobaczę to miejsce. To była koszmarna droga, niech ją diabli...

Korytarz wydłużał się prostą linią, gdzieś w nieznaną głąb ziemi. Tym razem szli długo, wreszcie dostrzegli na murach ślady wilgoci i powiało chłodem.

— Tak, to tu, pamiętam. — Broniś dotykał chropowatych gładów. — I tak samo pachnie pleśnią.

— Jesteśmy w pobliżu rzeczki Ronco. Wiesz, co mnie zastanawia? Nigdzie nie ma dalszych znaków. Ani jednej litery...

— Musieliśmy przeoczyć. Zbyt pobieżnie oglądaliśmy mury. Pewien jestem, że w niejednym miejscu pozostawiono znaki i gdy przyjdziemy drugi raz... Co to? Znowu

pieczara?

Korytarz rzeczywiście wchodził do wielkiej podziemnej sali, pięknie sklepionej. Ciemny otwór w przeciwległej ścianie oznaczał dalszy ciąg korytarza. W jednym z łuków sklepienia widniała szeroka szczelina, pod nią białało coś na ziemi.

— Tu znalazłem Maura. — Broniś przyklęknął podnosząc brudną chustkę do nosa. — Widzisz? Moja chustka...

— Tak. — Franco oświetlił rozwartą paszczę skalną, którą otwarli tak niebacznie.

— Tak, jesteśmy w ruinach Castello Sforzesco. Przeszliśmy pod ziemią aż tu, z Willi Attendola. Tak, Bronco, dziękuję ci, odnalazłeś drogę łączącą pałac z zamkiem. Ty odnalazłeś... A ja szukałem tyle lat! I nic! Dopiero ty! Trzeba było, żebyś przyjechał z Polski właśnie po to, by odnaleźć... Czy to nie dziwne? Z Polski. Jak wówczas. Ty — Polak i ja — ostatni Sforza. Tu, w tych ruinach,

203
w murach wzniesionych przez moich przodków. Ich ręce dotykały tych kamieni, ich stopy deptały tę skałę. I znowu ja... tu... ja... pan tego zamku... Och, Bronco, nigdy ci tego nie zapomnę, nigdy! Pamiętaj, wprowadziłeś mnie w moje dziedzictwo, chwilowo podziemne dziedzictwo, ale gdy znajdziemy dokumenty...

Intendent pani Chiaramonte raptownie przemienił się w renesansowego księcia. Na jego twarzy Broniś znowu dostrzegł ten nieuchwytny wyraz, znamionujący jak gdyby istnienie w tym dobrze znanym współczesnym Włochu drugiego człowieka z innej, odległej epoki.

— Nie przesadzaj — mruknął starając się unikać wzrokiem twarzy przyjaciela. — A może by tak zamknąć zapadnię? Mechanizm znajduje się pewnie gdzieś tu, w dole. Na przykład ten filarek może być przedłużeniem łuku sklepienia. Nie uważasz? Zobacz, przecież to lew Sforzów!

— Rzeczywiście. Co prawda ledwie widoczny...

— Starty zębem czasu. Ale grunt, że jest. A jeżeli jest, to szukajmy w pobliżu czegoś, co uruchamia zapadnię.

— Może masz rację...

Przedłużeniem łuku ze sklepienia był przywarły do muru wąski półfilarek. Nie zrobiono go z jednego skalnego bloku, na szarym kamieniu rysowały się wyraźnie linie spojenia. Drugi od dołu odcinek filarka przekreślił się pod niecierpliwą dłonią Franka, a zgrzyt mechanizmu, jaki jednocześnie usłyszeli, kazał im podnieść głowy. Brzegi szczeliny zwierzały się powoli, dopóki filarek nie dokonał obrotu o 360°. Zapadnia przestała istnieć, a podłoga górnego loszku była znowu pułapką.

— Gotowe. Chodźmy dalej. Zobaczymy, czy uda się nam wydostać stąd na górę.

— Tobie się przecież udało.

— Owszem, ale nie wiadomo, jak będzie teraz. A jeśli właz zamknięty i nie potrafimy otworzyć?

204

Franco bez słowa zanurzył się w przeciwległy korytarz.

Było zupełnie tak, jak zapamiętał Broniś. Korytarz stale wznosił się, podczas gdy sufit obniżał się coraz bardziej. Wkrótce trzeba się było czołgać. Na szczęście wejście do lochu lepiej zachowanej baszty pozostało otwarte. Ciężko dysząc siedli na kamiennym występie, biegnącym wzdłuż ściany tego ponurego więzienia.

— A więc wiemy, skąd prowadzi droga z zamku do pałacu. — Oczy Franca błyszczały zwycięstwem.

— Trochę dziwne, że z więzienia. Przecież jacyś zamknięci tu nieszczęśnicy

mogli poznać tajemnicę podziemnego przejścia.

— Teoretycznie tak. Ale pewnie nie zawsze zamykano tu więźniów. Nie wiemy przy tym, jak działał mechanizm otwierający właz. Więźniowie mogli też sądzić, że to jeszcze jeden loch, straszliwa oubliette, pamiętasz, gdzie wrzucano ofiary skazane na śmierć głodową. Przypuszczalnie nieczęsto korzystano z tego przejścia, raczej w wyjątkowych okolicznościach.

— Jedno odkryliśmy, to prawda, jednakże archiwum Sforzów nadal pozostaje zagadką. Musimy raz jeszcze dobrze zbadać całą tę podziemną drogę w poszukiwaniu liter czy innych znaków. Tylko one doprowadzą nas do celu. Poza tym mam jeszcze jedną koncepcję. Najważniejsze teraz to połączenie tego korytarza z podziemiami tamtej zrujnowanej baszty, gdzie dotąd prowadziliśmy poszukiwania. Tam były przecież litery, a wiemy, co to oznacza. Tak samo jak odkryliśmy zapadnię, co tak smutnie skończyło się dla Maura, możemy odkryć coś jeszcze. Moim zdaniem, następnym punktem naszego programu powinno być odszukanie połączenia starej baszty z podziemnym korytarzem ciągnącym się do Willi At-tendola. Naturalnie, jeśli litery nie kłamią.

— Litery nie kłamią. Umieszczono je celowo. Zauważ, jak dawnym właścicielom pałacu zależało na zachowaniu tradycji. Odbudowując dom po pożarze umieścili napis w bibliotece —

205

zapewne był taki w jakiejś podziemnej sali — oraz nad drzwiami do piwnic. Może nie wiedzieli już, jakie znaczenie posiada ta łacińska sentencja — byli przecież tylko boczną linią, która dawno oderwała się od głównego pnia Sforzów. Jednakże zależało im, by wszystko pozostało po dawnemu i Willa Atten-dola, mimo że jest barokowym pałacem, odtwarza wiernie pewne rysy renesansowej budowli. Dzięki temu nie wypadło ani jedno ogniwo z długiego łańcucha, którego koniec mocno trzymamy w garści.

— Nie zapominaj, że ktoś zamalował napis nad drzwiami do piwnic, ktoś, kto przypuszczalnie znał prawdę lub jej część i chciał ukryć przed niepowołanym okiem...

— Rodzina Petracinich była stałą groźbą dla Sforzów, tych dalszych z bocznej linii, ale uznanych, którzy prawnie weszli w posiadanie majątku i najlegalniej dostali do rąk spuściznę ksiąząt mediolańskich. Dlatego w głowie jednego z tych uzurpatorów powstał piekielny plan. Primo: wyniszczyć Petracinich do ostatniej latorośli, zdeptać ich dumę, pozbawić godności i tak spodlić, by żadna zuchwalsza myśl nie śmiała dotknąć ich serca. Dopięli swego. Oto ja, ostatni... Widzisz, w jakim żyję stanie. Jak sługa. Ja, potomek mediolańskich Sforzów, w służbie córki zbogaconego kupca z Forli! Secun-do: w obawie, by nie został ślad, mogący doprowadzić do tajnego archiwum rodu, którego miejsce było im nie znane, lecz wiedzieli mglście, że gdzieś istnieje, wymazali różne znaki mogące w ich mniemaniu doprowadzić do kryjówki. Wszystko wydawało im się podejrzanе, wszystko mogło być drogowskazem. I choć na dawnych fundamentach wiernie odbudowali nowy pałac, żyli w wiecznym strachu, by jakiś Petra-cini nie odkrył tak pilnie strzeżonych tajemnic. Dlatego postanowili mieć nas zawsze na oku, to znaczy przy sobie. Tak się przecież złożyło, że oni byli górą, mieli wszystko, a my... W ten sposób wpadliśmy w zależność. Przygarnęli nas niby miłujący krewniacy, a potem tak omotali, że nie mogliśmy

206

pisnąć. Rozumiesz teraz, w jaki sposób i ja... Moi rodzice byli całkowicie na ich łasce, zresztą wcześniej mnie obumarli. W Willi Attendola mieszkał wówczas

daleki krewny, a właściwie już tylko powinowaty bocznej linii Sforzów, którego rodzina na początku ubiegłego wieku odziedziczyła tę posiadłość. To markiz Chiaramonte.

Zasadniczo nie był złym człowiekiem, ale słaby, poddany całkowicie woli bezwzględnej żony. I tak wychowałem się w ich domu, jak sługa. Markiz czasem się buntował, wspominał łączące nas bardzo już dalekie więzy krwi, ale żona zamykała mu usta moim nazwiskiem: „Petracini”. To wystarczało, by zahamować szlachetne odruchy pana Chiaramonte. A po jego śmierci... Co tu wspominać! Markiza upokorzyła mnie tak, jak tylko człowiek może upokorzyć drugiego człowieka. Pastwiła się nade mną jak pogromcy nad obezwładnionym lwem. Z papierów, stanowiących całą schedę po ojcu, dowiedziałem się wszystkiego. I powziąłem postanowienie. Będę ostatnim, który da się spętać i wyzyskać. Dlatego zostałem i wszcząłem badania. A potem Maria,.. Tak mi jej było żal... No, i dzięki tobie dobijamy do końca.

— To jeszcze nie wiadomo.

— Jestem jednak dobrej myśli. Jeżeli to archiwum istnieje, odnajdę je. Jeśli nie, najchętniej wysadziłbym w powietrze tę Skałę z całym jej kretowiskiem. Zbyt gorzkie to dla mnie memento.

— Jeżeli królowa Bona wspomina w liście o zamku w Meldoli..

— Właśnie w tym cała moja nadzieja. Słuchaj, wracajmy. Wkrótce zrobi się dzień... Wracajmy tą samą drogą, którąśmy przyszli. Nie chcę, żeby nas widziano. I koniecznie trzeba zamknąć wąż.

Wsunęli się do podziemnego korytarza.

— O tu, widzisz? Uczępiłem się wtedy palcami czegoś, co przypominało szczelinę i pchałem, pchałem... Chodziło wów-

207

czas o życie! — Broniś położył dłonie na skalnym bloku, który tak opatrnościowo uniósł się w górę owej tragicznej nocy.

— Spróbuj teraz w dół.

— Drgnął! O Boże! Rusza się... Rusza się!

Skała rzeczywiście zachowywała się, jak gdyby osadzono ją na osi. Opadała powoli, aż Broniś i jego towarzysz musieli cofnąć się w głąb korytarza, gdyż po chwili szpara znikła, a skalny blok pod ostrym kątem dotknął podłogi.

Szli pospiesznie. Nie było czasu przyglądać się ścianom w poszukiwaniu liter.

Jak najprędzej musieli znaleźć się w Willi Attendola. Oto nareszcie strome schody zakończone otworem piwnicy. Prędzej, niechże beczka stanie na dawnym miejscu! Dno kadzi pasuje jak ulał do otworu w ceglanej posadzce. Dalej do wyjścia! Franco idzie pierwszy i gdy popycha ciężkie drzwi, po drugiej stronie odskakuje zarumieniona Nina.

— Co tu robisz?

— Ja? Nic. Usłyszałam hałas i przyszłam zobaczyć.

— O tej porze? Dlaczego nie śpisz?

— Pani markiza niespokojna...

— Pani markiza śpi.

— Spała, ale potem... Panna Maria szukała pana. Gdybym wiedziała, że pan w piwnicy...

— Dobrze. Idź już.

Nina odchodzi z ociąganiem, jak gdyby miała coś jeszcze do powiedzenia. Broniś wpatruje się w napis nad drzwiami, słabo widoczny w świetle ledwie wstającego dnia.

W westybulu natykają się na Marię. Właśnie wychodzi z bocznego salonu.
— Szukałaś mnie? Czy coś się stało? — Franco bierze dziewczynę czule pod ramię.
— Nie. Babcia spała całą noc. Ja też. Idę zrobić sobie kawy. No, a wy? Czy już?...

Franco kładzie palec na ustach i kiwa porozumiewawczo

208

głową w stronę Bronisia. Po czym rozstają się. Broniś śpieszy na górę. Jest zmęczony, a czasu na sen mało. Przedtem jednak musi się wykapać. Tym razem nie krępuje się i nalewa wodę do wanny. Cały czas stoi mu przed oczami zmieszana twarz „drugiej pokojowej”. Dlaczego skłamała? Szpiegowała ich, to nie ulega wątpliwości. Czy jednak widziała otwór pod beczką? A może zeszła schodami do podziemnego korytarza? Doszła do ruin? Byli doprawdy idiotycznie nieostrożni. Należało się jakoś zabezpieczyć, zamknąć drzwi do piwnic od wewnątrz. A oni tak beztrudnie jak gdyby nigdy nic... Owszem, Mauro odpadł z gry, ale pozostała Nina. Czy działała z rozkazu markizy? Warto by to sprawdzić. W ogóle rola tej dziewczyny podejrzana.

I to piekielne archiwum! Gdzieś przecież jest... blisko... Wybuchnie bomba, gdy odnajdą prawdziwy testament Bony. Będzie to bezsprzecznie własność Biblioteki Narodowej. Franco chyba się zgodzi, jemu potrzebny tylko dokument dotyczący Guida Petracini i jego potomstwa, a reszta... Wszystkie polonica powinny trafić do Warszawy. Dyrektor robi minę, jak zobaczy! Żeby tylko Franco nie stawiał przeszkód... A te osławione „sumy neapolitańskie”! Jeśli istnieje jakiś zapis, kwit stwierdzający pożyczkę, to kto wie... Ciekawe, czy takie sprawy ulegają przedawnieniu?

A jeżeli nic nie znajdą? Markiza zatriumfuje i zniszczy przeciwnika, zdepcze jego roszczenia? Co wtedy? Czy on, Broniś, opuści pokonanego i zostawi go jego losowi? A Maria? Nie sposób zasnąć, gdy takie myśli tłuką się po głowie.

* * *

Październik, który zaczął się ciepłymi dniami i łagodną temperaturą wieczorów, nagle ochłódł. Trzeba było wkładać gruby sweter na nocne wyprawy do podziemnego korytarza.

14 — Renesansowa przygoda

209

Pracowali co drugą noc, jak dotąd bez rezultatu. Czasami szła z nimi Maria. Markiza jakoś niedomagala i mimo troskliwej opieki wnuczki oraz doktora Davitti nie mogła wrócić do poprzedniej formy. Zdawało się, że coś się w niej załamało czy pękło, motorek ruchu czy balonik z energią. Była jakaś cichsza, jak gdyby przystępniejsza. Broniś widział ją tylko raz, gdy przyszła do biblioteki. Robiła wrażenie obcej w tej sali obstawionej półkami i spoglądała na książki prawie obojętnie.

— Mam nadzieję, że praca idzie dobrze — powiedziała tym swoim dziwnie melodyjnym głosem, zatrzymując się przed „podejrzaną” szafą. — Aha, zupełnie zapomniałam o kluczu. Ale tu i tak nie ma polskich książek. Zresztą gdy się będę lepiej czuła... Dorobi się na pewno...

Maria była szczerze zmartwiona jej stanem.

— Babcia jest chora — mówiła siedząc w skórzanym fotelu w pracowni Franca. — Ale na to medycyna nie zna lekarstwa. Coś się z nią dzieje dziwnego. A czuję, że mnie lubi, chce, żebym zawsze była przy niej. Jednak to moja babcia i już się jej nie boję. Biedna ona, biedna.

— Tak. — Franco komentował wypadki dnia w czasie ich nocnych poszukiwań. —

Markiza nie ta sama. Trudno ją poznać. Wydaje mi się, że przeżycia tej strasznej nocy, gdy otworzyła pod tobą zapadnię, nie minęły bez śladu. Sądziła przecież, że zgładziła Maura, wiernego jak psa, oddanego jej bezgranicznie, gotowego na każde skinienie. Ufał jej, wiedziała o tym, nawet na jej twarde serce za wielki to był ciężar.

Doktor Davitti kręcił głową i wzdychał.

— Sam nie wiem, co myśleć — zwierzał się patrząc bezradnie to na żonę, to na Bronisia. — Niby jest poprawa. Elek-trokardiogram zadowolający, ciśnienie dobre. Ale coś jest...

Atmosfera Willi Attendola była bardziej ponura niż zwykle. Nawet Nina straciła swój zaczepny sposób bycia. Często wyręczała Marię przy babce — markiza nie lubiła teraz samotności. Franco miał więcej roboty i w dzień był prawie

210

niewidzialny. Broniś znowu zajął się wyłącznie pracą, gorączkowo katalogując kolejne pozycje polskiego księgozbioru. Trzeba było jak najprędzej skończyć. Boże Narodzenie postanowił bowiem za wszelką cenę spędzić w domu. Powoli ogarniało go też zniechęcenie. Co drugą noc opukiwali każdy metr kwadratowy podziemnych galerii i nic... najmniejszej wskazówki. Widocznie byli na fałszywym tropie i nie tam należało szukać. W takim razie gdzie? Wszystko przecież wskazywało, że tajne archiwum Sforzowie ukryli pod ziemią. Inaczej jakżeby się ostało najazdom i oblężeniom, pożarom czy innym klęskom. Franco nie upadał na duchu. Wierzył niezłomnie. Ale Franco nie miał innego wyjścia, wiara ta utrzymywała go przy życiu. A Maria? Ta była najbardziej godna współczucia. Z niepokojem spoglądała na narzeczonego, a potem zwracała na Bronisia wymowne spojrzenie.

— Boję się, co będzie, jeśli nic nie znajdziemy — zwierzyła się raz. — Franco nie zniesie tego ciosu.

— Franco ma ciebie — odpowiedział zły na przyjaciela i jego — jak ją nazwał — „ślepotę”.

— Och, cóż ja...

— Przecież cię kocha, sam mi mówił.

— Tak, kocha mnie, ale Sforzowie...

— Do diabła ze Sforzami, ty chyba ważniejsza!

— Nie wiem... nie wiem... boję się...

Broniś złościł się w duchu, postanawiając rozmówić się z Frankiem przy najbliższej sposobności, żal mu bowiem było dziewczyny. Tymczasem jednak milczał i czekał, każdego dnia łudząc się nadzieją, że tej właśnie nocy... że już na pewno...

Mimo pozornego spokoju coś wisiało w powietrzu. Gładkie szyby frontowej fasady nie odbijały już pogodnego „włoskiego nieba”. Coraz częściej ciemne chmury zakrywały błękit. Za francuskimi oknami biblioteki stanął inny, jesienny park. Wszystko było jakieś obce i wszystko na coś czekało. Na co?

211

Nie wiadomo. Przedburzowe napięcie udzieliło się ludziom i przyrodzie, przeniknęło wszystko. I tak nadszedł listopad.

XIX

Początek miesiąca znaczyły święta. Pierwszego listopada, Wszystkich Świętych, wypadało w sobotę. Potem niedziela — Dzień Zaduszny. Naturalnie tłumy na Powązkach, jak zawsze w te dni. Oni też z ciotką Zuzanną. Wielki, czarny grobowiec. Anioł z rozpostartymi skrzydłami. „Jeśli z miłością, wiarą i nadzieją

zmarły opuszczał ten padół żałoby..." Umiał to na pamięć.

Państwo Davitti wyjechali do Forli do rodziców doktora. W Willi Attendola było cicho i nudnie. Maria prawie nie opuszczała pokojów babki. Franco odsypiał zaległości. Właściwie był to najlepszy sposób spędzenia świąt.

Poniedziałek Broniś przesiedział w bibliotece, we wtorek, czwartego znowu wypadało święto. Tym razem włoskie, państwowe. Popołudnie spędził na via Pisacane. Na nocne wyprawy szedł bez entuzjazmu. Wszystko to nie miało żadnego sensu. Ot, czysta strata czasu i tyle.

We środę, piątego listopada idąc rano do biblioteki natknął się na Franca.

Intendent zbiegł z góry zapinając po drodze marynarkę.

— Markiza wezwała notariusza — rzucił w przelocie. — bez porozumienia ze mną. Nie wiem, co zamierza. Obawiam się, by nie popełniła jakiegoś głupstwa, którego potem będzie żałować.

Mniej więcej po godzinie przed domem stanął szary samochód pana Onorini, notariusza z Forli, który prowadził wszystkie interesy markizy.

Do biblioteki przyszli Franco i Maria. Dziewczyna nie mogła usiedzieć ze zdenerwowania.

212

— Babcia mnie wyprosiła — poskarżyła się na wstępie. — Powiedziała, że ma do omówienia ważne sprawy z panem Onorini. Nie wolno jej przeszkadzać.

Omawianie ważnych spraw z notariuszem trwało prawie trzy godziny. Przed samą pierwszą Nina oznajmiła Bronisio-wi, że pani markiza oczekuje go w żółtym salonie.

Otrzeputając pył z ubrania przypomniał sobie wszystkie wizyty w tym pokoju. Nie były przyjemne.

Markiza siedziała z notariuszem przy okrągłym stoliku. Przed nimi pęczniała grubo wypchana teczka.

— Poprosiłam pana, gdyż pan Onorini potrzebuje świadka. — Melodyjny głos był jakiś daleki, bezosobowy. — Jest i Agata, panie mecenasie. Czy to wystarczy?

— Dziękuję. — Pan Onorini odchrząknął i wstał. — Pani markiza sporządziła testament. Poprzedni został w całości unieważniony. Na tym dokumencie potrzebny jest podpis dwóch osób. Pani markiza życzy sobie, aby jako pierwszy świadek podpisał pan... bibliotekarz, a jako drugi Agata.

Broniś podszedł do stolika i ujął podawanego przez notariusza złotego parkera.

— Gdzie mam podpisać?

— O tu, w dole. Tak, dobrze. Wystarczy. Teraz Agata. Pierwsza pokojowa Willi Attendola miała jak zwykle ponurą twarz. Przechodząc mimo Bronisia mruknęła:

— Proszę zaraz przyjść na obiad.

Notariusz podziękował świadkom w imieniu pani markizy i było po wszystkim.

Dopiero po obiedzie Franco i Maria przyszli do pokoju Bronisia.

— No i co? Co babcia z tym testamentem?...

— Nie wiem. Tylko podpisałem. Nie czytano mi testamentu. A co mówi notariusz?

213

— Milczy. Zresztą nie mogłem go wypytywać. Odjeżdżając powiedział tylko, że wszystko jest zmienione od góry do dołu. Cały testament. Bardzo mi się przyglądał, jak gdyby zobaczył mnie po raz pierwszy. Nie wróży to nic dobrego. Onorini to stary lis. Nieraz miałem z nim do czynienia. A markiza coś knuje. No, trudno. Trzeba jak najprędzej odnaleźć to przekłete archiwum. A więc jak zwykle o jedenastej?

— O jedenastej — przytaknął bez cienia entuzjazmu Broniś.

Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Zaczęło padać, o francuskie okna biblioteki stukwały krople prawdziwie jesiennego deszczu. Broniś zwłókł z górnej półki grube tomisko oprawne w skórę. Opracowywał teraz książki z szafy w rogu, bliżej jednego z okien. Tomy były wielkie i ciężkie, bardziej zakurzone od innych dotychczas skatalogowanych. Z westchnieniem ujął ściereczkę. Na samym wierzchu leżało dzieło Mikołaja Kopernika „De revolutionibus orbium celestium” — „O obrotach ciał niebieskich”. Wydanie nie „z epoki”, ale z połowy XVIII wieku, ozdobione pięknymi miedziorytami. Broniś przerzucił kilka kart... gdy nagle na jednej stronie, pod wizerunkiem autora, zauważył wykaligrafowaną wyblakłym atramentem literę „Q”. Uderzył go rysunek tej litery, do złudzenia przypominającej napis pod sufitem. Gorączkowo szukał dalej. Na 25 stronie znowu litera, tym razem „A” przed ozdobnym inicjałem. Przerzucał kartę za kartą, aż natrafił na „P”, wplecione w szeregi słów i tym samym trudne do odkrycia. I jeszcze „A” ukryte między wierszami i „E” w inicjale, a „R” przy numerze strony. Za to „F” jaśniało wyraźnie na marginesie. A więc odnalazł wszystkie litery zaczynające siedem słów łacińskiej sentencji. Co to jednak miało znaczyć? Trzeba szukać dalej, jest dopiero w połowie tomu, który obok traktatu o ruchach ciał niebieskich zawierał żywot Kopernika i paru innych astronomów. Strona po stronie wzrok ściagał długie szeregi łacińskich zdań. I nic. Dopiero po godzinie ta-

214
kich badań otworzyły mu się oczy: tajemniczy przewodnik po wygwieżdżonym firmamencie nic więcej nie napisał, za to podkreślał w tekście odpowiednie wyrazy. Raz było to „Quidquid”, a potem „agere” i tak dalej. Nie zawsze rzeczownik lub czasownik w książce odpowiadał przypadkiem, formą osobową rzeczownikowi czy czasownikowi z sentencji. Na przykład zamiast „finem” było podkreślone słówko „finis” — ale porządek, układ słów zachowano taki, jak pod sufitem.

Bronisiowi drżały ręce i płonęła twarz, gdy dochodził do ostatnich kart grubego dzieła. Znalazł jeszcze to samo zdanie, wypisane w całości w poprzek stronicy, a na końcu, na wewnętrznej stronie oprawy, czyli tak zwanej wyklejki, widniał rysunek zrobiony najwyraźniej tą samą ręką, identycznym kolorem atramentu. Trudno to właściwie nazwać rysunkiem, był to raczej plan jakichś pomieszczeń czy korytarzy, a może ulic czy dróg? Bo i to możliwe. Ale nie, to na pewno korytarze... Niektóre z nich oznaczono literą, znaną dobrze z Castello Sforzesco. Jakże mógł być tak głupi i od razu nie poznać? To przecież podziurawiona kretowiskiem góra zamkowa!

Trudno wytrzymać w sali bibliotecznej. Tak duszno! Po prostu można się udusić! Trzeba koniecznie uchylić okna... Po chwili między szafy wpada wiatr i kilka zbłąkanych kropeł. Jak przyjemnie ochłodzić rozpaloną głowę! Park jest ciemny. Zmierzch zapadł wcześniej. I nagle robi się zimno. Nic dziwnego, taka wilgoć. Broniś zatrząskuje okno i wraca do stołu. W chwilę potem siedzi pochylony nad planem przenosząc go pracowicie na kartkę papieru...

• * *

— Słuchaj, o tu, widzisz? Loch pod lepiej zachowaną basztą.

— W takim razie tutaj to dantejski lej...

215

— Chyba tak. No tak, na pewno. A to korytarz oznaczony literą „Q”.

— Weź czerwony ołówek. Można się zgubić w tym labiryncie. Trzeba znaleźć na planie podziemne połączenie obu baszt.

— Te korytarze kończą się ślepą ścianą.

- A to z pewnością będzie loszek, gdzie znaleźliśmy niedopałki. Tak... O, a tu pieczara, do której spadł Mauro.
- Czekaj, czekaj, jeśli mówisz, że tu spadł Mauro, w takim razie ten korytarz prowadzi prosto do Willi Attendola.
- Nie, nie ten, tamten. O, tu jest rozgałęzienie...
- Masz rację. Ale korytarz się urywa...
- Bo to plan podziemi zamkowego wzgórza.
- Tak, tak, wiem. Zaraz, więc to jest baszta.
- Szukajmy połączenia obu baszt.
- Tu coś na planie niewyraźnego. Musiałeś źle przerysować.
- Możliwe, choć starałem się uważać. Wszystko sprawdziłem dwukrotnie. Popatrz, co to oznacza?
- Ta kreska? Chyba nic ważnego.
- A mnie się wydaje, że to przedłużenie tej linii.
- Ale tu przecież mamy ślepa ścianę!
- Właśnie, coś tu nie pasuje... Ślepa ściana... Musimy tam pójść.
- Dokąd?
- No, do tej kreski. Tam coś jest.
- Teraz? Byliśmy wiele razy i...
- Teraz co innego. Spójrzmy innymi oczyma. Chodźmy!

Bez zwykłej ostrożności zbiegli na dół, dostali się do piwnic. Zamknęli za sobą niskie drzwi na klucz, by się zabezpieczyć przed niepowołanym świadkiem. Gdy ciężka beczka odsłoniła tajemnicę swego dna, znaleźli się w podziemnym korytarzu, który z Willi Attendola ciągnął się do Castello Sfo-rzesco.

216

Szli szybko, dobrze znali już tę trasę. Broniś nie potrafił pohamować niecierpliwości i ponaglał przyjaciela. Jakże mógł dawno nie zauważyć? Przecież to bije w oczy! Ta kreska... A jeżeli się mylił? Niemożliwe. Dokładnie przestudiował „kopernikowski plan” (tak ochrzcił swoje znalezisko), nie było tam żadnej innej drogi, tylko ta... Żeby już być na miejscu i sprawdzić! Do licha, jak to jednak daleko! A jacyś nieszczęśnicy przed wiekami wykopali tę podziemną galerię. Chyba jeńcy wojenni czy inni niewolnicy...

Franco milczy. Jest skupiony, ale widać, że nie bardzo wierzy w sukces tego przedsięwzięcia. Broniś za to chciałby biec, tak ufa nowej wskazówce. Kopernik nie kłamie! Człowiek, który zatrzymał słońce, a ruszył ziemię, rozwiązał i ten problem, jakże mały w porównaniu z odkryciem drogi ciał niebieskich w przestworzach wszechświata.

Oto teren wznosi się coraz wyżej, a sufit podziemnego korytarza zwisa nisko nad głowami. Idą schyleni we dwoje, a potem muszą się czołgać. Wreszcie za pociśnięciem bloku skalnego, wydostają się na świat w ruinach zamku.

Jak dobrze odetchnąć chłodnym powietrzem nocnym, posłyszeć szum wiatru objającego się o sterczące dotąd baszty i resztki murów! Powoli, rozkoszując się każdym krokiem na powierzchni ziemi, przemierzają dziedziniec. Kamienne płyty lśnią po niedawnym deszczu.

W zrujnowanej baszcie cicho i ciemno. Jak zwykle. Franco oślepia czarną głąb studni mocną latarką. Opuszczają się ostrożnie po drabiniastych stopniach.

Pierwszy korytarz i litera „Q”...

Franco rozwija przerysowany przez Bronisia plan.

- Skonfrontujmy rysunek z rzeczywistością. Jesteśmy chyba tu, co?
- Tak. Tu mamy to samo „Q”. Ten główny korytarz prowadzi nad rzeczkę Ronco.

Odnogi są ślepe, o tu, widzisz? Wszystkie narysowane, a oto tunel, który doprowadził nas do

15 — Renesansowa przygoda

217

lochu z niedopałkami. Zapadnia jest mniej więcej w tym miejscu. A tu podziemna sala, gdzie znalazłem Maura.

Piętro niżej korytarz, oznaczony literą „A”, kończył się murem. Na rysunku było wyraźnie zaznaczone. Jeszcze niżej kręty tunel z wyrytym „P” także zamykała ściana. Korytarz czwartej kondygnacji z drugim „A” na suficie i lwem Sforzów prowadził do studni. Bez trudu odnaleźli ją na planie.

— Dotąd wszystko jasne. Ale jak teraz znaleźć połączenie? O, tu jest druga baszta. Jakiś korytarz powinien by prowadzić stąd w tamtym kierunku.

— Z pewnością prowadzi. Zapominasz o kresce.

— Nie widzę żadnego przejścia czy tunelu...

— Ale widzisz kreskę?

— Widzę, i co z tego?

— Tam jest przejście.

— Szukajmy.

— Dobrze. Szukajmy. To gdzieś mniej więcej w okolicy lwa... Kreska prowadzi od wewnętrznej ściany. Zauważ, kreska, nie tunel.

— Tu wszędzie kamień...

— Widocznie przejście zostało potem zamurowane. Masz nóż?

Franco bez słowa podaje nóż. Broniś obstukuje mur, po czym zaczyna zdrapywać tynk.

— Tynk? A więc nie lita skała?

— Jak widzisz. Patyna wieków upodobniła go do kamienia, ale skruszy się bez większego trudu...

Miał rację. Cienka powłoka poczerńiałego tynku przykrywała luźno spojone głązy. Dwa z nich obsunęły się od razu, odsłaniając ciemny otwór.

— Korytarz...

— Kreska — sprostował Broniś. — O tu, na planie w tym właśnie miejscu, kreska... dlatego taki wąski korytarz.

218

Korytarz był rzeczywiście bardzo wąski i wznosił się lekko pod górę. Ruszyli jeden za drugim. Prowadził Broniś.

— Według planu jesteśmy pod zamkowym dziedzińcem. Uwaga, schody!

Stopnie były strome, a szły prawie prostopadle w górę, w tak wąskim kominie, że pięli się z trudem, skuleni, kurcząc ramiona i ledwie mieszcząc się w kamiennej ciasnocie tego przejścia. Wspinaczka wydawała się nie mieć końca.

— Żaden z ówczesnych panów zamku nie precyzyjnie się wtedy po sutej wieczerzy — zażartował Broniś dotykając głową muru. — Oto i kres wędrówki.

— Jak to kres? Taki komin nie prowadzi donikąd. Ten mur trzeba poruszyć. Być może jest także na osi. To ta sama baszta...

— A wiesz, że może masz rację!

— Szukaj szpary czy szczeliny... czegoś, o co można by zaczepić palce... Jak w podziemiu... No jak? Nic nie ma?

— Jest, tylko nie wiem...

— Pchaj, w dół lub w górę. Zobaczmy...

— Nie rusza się. Czeka, tu coś jest z boku.

— Co takiego?

— Trudno rozeznąć. Daj latarkę. O, już widzę... chyba nożem...

— Co tam jest?

— Bardzo wąska... tylko nóż... Coś w rodzaju rysy... Dziwne, brzegi jak gdyby ścięte... Wiesz co? daj nóż, spróbuję...

Nóż zagłębił się w nacięcie aż po rękojeść. Oczekiwali w napięciu na coś, co się miało stać. Ale nic się nie stało. Broniś z uwagą oglądał przeciwległy bok kamiennej przeszkody.

— Z drugiej strony jest taka sama rysa... nie, chyba jeszcze węższa, ledwie można dostrzec. No, zobaczymy...

— To na nic. Ani drgnie. Wiesz co? Przypuszczalnie w te

219

nacięcia trzeba wsunąć dwa ostrza jednocześnie. Mam tu gdzieś jeszcze scyzoryk... Broniś, uzbrojony w noże, wbił oba ostrza jednocześnie w kamienne szczeliny. I tym razem budowniczy Castello Sforzesco nie zawiódł, okazał się nie lada mistrzem, jeśli po tylu latach mechanizm tajemnego przejścia działał prawie tak niezawodnie jak przed wiekami: kamień nad głowami dwóch przyjaciół rzeczywiście był osadzony na osi. Nie obrócił się co prawda tak zupełnie jak w podziemiach baszty, niemniej usunął się dostatecznie, by można się było dostać do następnego pomieszczenia, skąd z jednej strony wiodły w górę schody w ślimacznicę, z drugiej zaś były drzwi, niskie i masywne.

Franco bez słowa ścisnął ramię towarzysza.

— Czy wiesz, gdzie jesteśmy? Boże! więc to tu? Zgaś latarkę. — To mówiąc otwierał drzwi i popychał Bronisia naprzód.

Była to ta sama kwadratowa izdebka wykrojona w grubych murach baszty, którą Broniś zwiedził raz w towarzystwie Franka. Jediną ozdobę nagich ścian stanowiła niewielka płaskorzeźba, wyszła spod dłuta Tulia Lombarda, a przedstawiająca jednego z synów starego Muzia Attendoli, założyciela rodu Sforzów. Naprzeciwko odznaczał się słabo wąski prostokąt zakratowanego okna.

— Poznają — Broniś dotknął marmurowego arcydzieła renesansowego artysty. — A jak się wydostaniemy? Czy masz przy sobie klucz?

— Mam, a teraz cicho.

Schodzili bez słowa, starając się nie robić hałasu. Wiatr szarpał źle zamknięte drzwi baszty.

— Zaraz będzie dzień — zaniepokoił się Franco wyrzawszy na świat. — Pójdziemy dołem, co?

Zbiegli do lochu i wprawili w ruch mechanizm, otwierający właz do podziemi. Po chwili mogli podnieść się na klęczki, potem wstać, a potem szli szybko tak dobrze znanym koryta-

220

rzem. Gdy byli mniej więcej w połowie drogi między zamkiem a Willą Attendola, Franco przystanął.

— Słyszysz? Tu ktoś jest...

Zgasili latarki i stali w ciemności, nasłuchując. Po chwili z mroku wyłonił się mały świetlny punkcik.

— Latarka — szepnął Broniś. — Ktoś idzie...

— Może Maria? Ale to niemożliwe. Mówiłem jej przecież...

— Sss...

Świetlny punkcik był teraz krążkiem, który szybko się powiększał, ruchomym kółkiem żółcącym się na jednolitej czerni tła.

— To słaba latarka — wionął w samo ucho przyjaciela Broniś. — Dopuszczmy, niech podejdzie jak najbliżej, a potem naszymi „reflektorami” oślepiemy intruza... „Intruz” szedł wahająco, przystając co parę kroków. Słabe światelko wędrowało wówczas na sufit i ściany. Gdy był blisko, Broniś i Franco jednocześnie zapalili „reflektory”. Błady krążek rozpląnął się w ich blasku, a przyjaciele ujrzeli wyraźnie przerażoną twarz Niny i rozwarte w krzyku usta.

— Nie bój się, głupia. — Franco podtrzymywał słaniającą się dziewczynę. — To my. Skąd się tu wzięłaś?

— Pan... Franco? O Boże... I pan... Polacco?

— My, my, no, uspokój się. Po coś tu zeszła?

— Zobaczyłam schody i...

— Aha, szpiegujesz nas?

— Pani markiza...

— Pani markiza myśli teraz o czym innym. Dlaczego nas śledzisz?

— Ja nie śledzę. Zobaczyłam w piwnicy schody i byłam ciekawa...

— Nie wykręcaj się. Czego szukasz nocą w piwnicy?

— Pani markiza kazała...

— Kłamiesz. Pani markiza śpi.

221

- Ale przedtem... To wy skrzywdziliście Maura — krzyknęła nagle. — Wiem! On cały połamany, leży w gipsie...

— Mauro złamał nogę — zauważył Broniś. — A to zdarzyć się może każdemu, nawet we własnym pokoju.

— Ale ja wiem, jak to było — syknęła. — Pobito go, ledwie uszedł z życiem...

— Nie zawracaj głowy. Nikt go nie bił. Słyszałaś już, że upadł i złamał nogę. Nie stało się nic strasznego i wkrótce wyjdzie ze szpitala. Wracamy.

— Dokąd prowadzi ten korytarz?

— Do środka ziemi. No, prędko.

Przez całą drogę Franco nie wypuścił ramienia dziewczyny. Zwolnił je dopiero, gdy zamknął na klucz drzwi do piwnicy.

— A teraz słuchaj. Żadnego myszkowania po domu. Zrozumiano?

— A co pan robi nocą? Żeby tak pani markiza wiedziała...

— Pani markiza jest chora. Dość tego gadania. Idź spać.

— Ja wiem, co pan knuje. Ale pani markiza będzie powiadomiona. Jak Maura nie ma, to pan myśli, że wszystko panu wolno?

— Dostyc, ani słowa więcej!

— Nie boję się pana. Niech tylko Mauro wróci. Nikogo pan już nie skrzywdzi, nie uda się panu!

— Niech już Nina idzie. — Broniś nie mógł dłużej być niemym świadkiem tej niemiłej sceny.

— Idę, idę... ale ja też pokażę, co potrafię. Śniadanie przyniosła później niż zwykle.

— Często chodzi pan nocami z panem Frankiem? — spytała, stawiając tacę na stole pod „Wniebowzięciem”.

— A Nina często nas podgląda?

— Czasami... Co jest w tych podziemiach?

— Nic. Każdy stary dom ma takie piwnice. Kiedyś trzymali tam więźniów. Radzę nie zapuszczać się samej w te kory-

222

tarze, to może być niebezpieczne. Jest tam taka podziemna studnia...

Wyszła, oglądając się podejrzliwie na Bronisia.

W południe do biblioteki zajrzała Maria.

— Nie wiesz, gdzie Franco?

— Nie wiem. Jak się ma pani markiza?

— Chyba nieźle. Cały rano pisze listy. Znaleźliście co?

— Przejście łączące obie baszty.

— Fantastyczne! A archiwum?

— W dalszym ciągu nie wiadomo gdzie. No, nie martw się tak... kiedyś się przecież musi znaleźć...

— A jeżeli wcale go nie ma? Co się wówczas stanie z Frankiem?

— Franco będzie się musiał jakoś urządzić. Pobierzcie się i... będziecie szczęśliwi. Wszystko dobrze się ułoży.

— Bronco...

— Słucham?

— Musisz wiedzieć... Już dawno chciałam ci to powiedzieć.

— Co?

— Że... no... że gdybyśmy się spotkali wcześniej... zanim poznałam Franca, to... tylko ty...

— Dziękuję, Mario.

— Jesteś taki inny... Tak mi się przynajmniej wydaje... I ja... Rozumiesz, prawda?

— Rozumiem. Ja też... Chyba się domyślałaś?

Odwróciła się, by ukryć łzy, a Broniś postanowił nie odkładać rozmowy z intendentem. Okazja nadarzyła się następnego dnia wieczorem, gdy Franco zapukał do jego pokoju i zaprosił do siebie „na naradę”. Na biurku leżał plan podziemi zamkowych z zaznaczonym czerwonym ołówkiem przejściem między obu basztami.

— Rozpatrzmy się dobrze w sytuacji. Plan zrobiono dopie-
223

?? w XVIII wieku albo i później, nie wiadomo też, w jakim stopniu osoba, która go sporządziła, była wtajemniczona...

— Nie zapominaj, że to ktoś z bocznej linii, a więc niemożliwe, by znał miejsce...

— Mógł przerysować ze starego oryginału. Moim zdaniem należy dokładnie przestudiować plan. Są tam zakamarki dotąd przez nas nie zbadane i może w jednym z nich...

— Ja natomiast jestem przekonany, że na planie miejsca tego nie uwidoczniiono.

To przecież tajemnica znana tylko głowie rodu! Nikt by nie przekazał jej tak niepewnemu powiernikowi jak papier! Nie, nie, to niemożliwe!

— W każdym razie plan do czegoś nas doprowadzi.

— Naturalnie. Pomoże nam w poszukiwaniach. Ale my sami musimy, jak się to mówi, „pójść po rozum do głowy”. Należy logicznie myśleć. Wczuć się w tamtą epokę. Zobaczyć Skalę w Meldoli oczami tamtych czasów. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem. Ja jestem z tamtych czasów, mimo to...

— Żeby to odnaleźć, musisz czuć się Sforzą od czubka głowy po pięty. Źle mówię. Nie czuć się, ale być Sforzą... panem zamku i księciem mediolańskim. Tylko wówczas...

— Nigdy nie przestałem być i czuć się Sforzą. Widziałem nawet, że masz mi to za złe.

— Owszem. Zwłaszcza w odniesieniu do Marii... Słuchaj, Franco, dawno chciałem z

tobą pomówić... Żal mi jej...

— Kogo?

— Marii. Czy nie zdajesz sobie sprawy?

— O czym ty mówisz, bo nie rozumiem. Wiesz, jak ją kocham.

— Chwilami zaczynam wątpić...

— Jak możesz, Bronco! Myślę tylko o niej. Jeśli chcę czegoś, to dla niej.

Pragnę dać jej wszystko! Bardzo mnie niepokoi zmiana testamentu markizy.

— Dlaczego?

— Przypuszczam, że przedtem coś Marii zapisała. Wi-

224

dzisz, sam nie wiem, co się ze mną stanie... Jeśli nie odnajdę papierów stwierdzających moje pochodzenie, jeśli nie odzyskam tego, co mi się słusznie należy... nie mogę przecież wiązać Marii życia. Gdyby babka zabezpieczyła jej los...

— Jak to? I ty mógłbyś... Doprawdy, nie poznaję cię.

— Słuchaj... pamiętasz latem... jak markiza dostała pierwszy raz ataku serca?

— Pamiętam. Nieraz zastanawiałem się...

— Nic ci dotąd nie mówiłem. Widzisz, dowiedziała się wówczas, że Maria i ja...

No i wpadła w furję. Powiedziała, że nigdy do tego nie dopuści, że ja jestem i pozostanę sługą, podczas gdy Marii jako jej wnuczce inna przyszłość pisana... i tym podobne bzdury. Jeszcze jej w takim stanie nie widziałem. Zrozumiałem, jak bardzo się boi. Znała mnie. Domyślała się, że do czegoś dążę... i przestraszyła się. Markiz jednak prowadził jakieś poszukiwania i wtajemniczył żonę, a to stało się odtąd celem jej życia. Za wszelką cenę pragnęła utrzymać mnie w nieświadomości mego pochodzenia. Robiła wszystko... Stąd to złe traktowanie „intendenta”. Było mi przykro, wyrzucałem sobie, nie chciałem mieć jej na sumieniu. A teraz obawiam się, że wydziedziczy Marię...

— A gdyby nawet?... Czyż nie jesteście młodzi? zdrowi? Możecie przecież pracować. Wiesz, że ja mam zupełnie inny pogląd na te sprawy. U nas w Powstaniu ludzie potracili fortuny, zostali w jednej koszuli, chociażby moja ciotka...

Warszawa była wielkim cmentarzyskiem jak Pompeja... Odbudowaliśmy wszystko i mamy.

— To co innego.

— Wcale nie! Szczęśliwi ci, co przeżyli. A moi rodzice... prawie ich nie pamiętam...

— Przykro mi, Bronco. Masz naturalnie rację. Ale widzisz, tu w grę wchodzi inne względy. Ja muszę odnaleźć to archiwum, raz na zawsze muszę wyzwolić Petracinich spod władzy bogatych kuzynów. Jakże mógłbym skazać mego syna na po-

225

dobną egzystencję? Trzeba wreszcie położyć kres, przywrócić dawny porządek.

Wyobrażam sobie, ile pokoleń czekało na tę chwilę, aż zjawi się człowiek taki jak ja! Nie mogę ich zawieść, tych wszystkich, co wyszli z Guida Petracini, co wiedzieli, a mimo to brak im było siły i nie potrafili zrzucić z siebie jarzma...

Nie, nie, nie wolno mi myśleć tylko o sobie, o własnym szczęściu.

— A Maria? Wiesz co, obrzydzeniem przejmują mnie ci twoi przodkowie! Dla zaspokojenia własnej dumy poświęcasz dziewczynę. Niech to wszyscy diabli! Ale pomogę ci... a zrobię to dla niej, wyłącznie dla niej, nie dla tych przeklętych Sforzów! Już wiem, gdzie powinno znajdować się to archiwum. Nadęte zarozumiałstwo „tamtych czasów” też się może na coś przydać... Dobranoc.

XX

Nie widzieli się przez trzy dni. Raz Broniś sam omal nie wybrał się nocą do ruin zamku, tak był ciekaw, czy jego hipoteza okaże się słuszna. Powstrzymała go jednak myśl o przyjacielu. Nie, jeśli się nie mylił, Franco musiał być obecny przy takim odkryciu! Zacinawszy więc zęby pracował pilnie nad polskim księgozbiorem, oglądając teraz uważnie każdy zdejmowany z półki tom. Za to Maria wpadała co dzień do biblioteki. Na chwilę. Była smutna i niespokojna. Wyglądała, jak gdyby obawiała się tego, co jej przyniesie jutro. Nie poruszali więcej bolesnego dla dziewczyny tematu, ale w Bronisiu rosła chęć działania. Jak długo jednak miał czekać? I na co? Pod koniec czwartego dnia powziął postanowienie. Nie było to wygodne, Franco miał klucz do piwnicy, no i do baszty. Bez tego trzeba opuszczać się do „dantejskiego leja” i przechodzić świeżo odkrytym korytarzem łączącym pod ziemią obie wieże. Gdy układał sobie plan nocnej akcji, do biblioteki wszedł Franco. Na twa-

226
rzy miał wyraz zmęczenia. Usiadł przy stole naprzeciwko Bronisia.

— Wiem — powiedział patrząc mu prosto w oczy. — Ja też wiem, gdzie należy szukać. Baszta... To jedyne miejsce zawsze dostępne dla panów zamku. Najlepiej zachowana część budowli. Napis na szczycie przetrwał wieki... jak Skała...

Napis... On mnie skierował na właściwy trop.

Broniś skinął głową.

— Mnie także.

— I milczałeś...

— Czekałem, aż zechcesz przyjść. Przykro mi, że tak się wówczas uniosłem.

— Miałeś rację. Więc dziś w nocy?

— Tak. Dziś w nocy.

Tego wieczoru dom wcześniej udał się na spoczynek. Zaraz po kolacji markiza odprawiła Marię. Ninę rozboleł ząb, Agata była przeziębiona, a kucharka skończywszy pracę zamknęła się w swoim pokoiku.

Tuż po dziesiątej, zaopatrzeni w odpowiednie narzędzia, zeszli do piwnic. Tak im było pilno, że podziemny korytarz wiodący do zamku wydał się dłuższy niż zwykle. Baszta stała cicha i ciemna nad uśpioną okolicą, której strzegła niegdyś przed najazdami wrogich sąsiadów. W milczeniu wspięli się na szczyt, by raz jeszcze odczytać dumne słowa, jakie im przekazywał kamień. „Wzniósł mnie hrabia Bertinoro...” Tak, ileż to wieków temu? I jak tu wówczas było? „Należałam do księcia Valentino...” To przecież Cezar Borgia nosił ten tytuł. Straszne musiały być rządy krwawego tyrana, który walczył o posiadanie Romanii. „Jednakże zawsze, czy to pod Rzymem, czy pod Lombardami, byłam Sforzów, tak jak jestem i będę Sforzów, dopóki stoi ta Skała, a na Skale choć jeden kamień z tej fortecy. Tak mi dopomóż Bóg.” Napis rzeczywiście głosił prawdę. Skała w Meldoli nie przestała być własnością Sforzów. W niej ukryli największe swe tajemnice,

227

najzazdrośniej strzeżone sekrety rodzinne. Gdzież indziej byliby spokojniejsi o tak cenny depozyt? Tylko tu, w obrębie tych murów, w cieniu baszty, przemawiającej do ich następcy słowami wielkiej, zawsze żywej przeszłości. Było bardzo zimno. Wicher, zdawało się, pragnął zerwać hełm z wierzchołka wieży. Solidna to jednak była budowla, a tak zrosła się ze skałą służącą jej za podstawę, że wzięła z niej siłę i moc trwania przez wieki. W milczeniu zeszli do małego pomieszczenia, skąd z jednej strony wąskie schody w ślimacznicy wiodły na szczyt, z drugiej zaś niskie drzwi prowadziły do kwadratowej izdebki z płaskorzeźbą Tullia Lombarda. Tu było zejście do korytarza, łączącego obie

baszty. Franco podszedł do ściany, by uruchomić mechanizm podnoszący kamień.
— Poczekaj — Broniś chwycił rękę przyjaciela. — Przyjrzyjmy się wpiers tym
murem. Coś mi się zdaje...

— Co takiego?

— Tu był także lew Sforzów. Widzisz znaki?

— Mój Boże, nigdy tego nie zauważyłem...

— Bo tu ciemno, a ty przeważnie nocą... Starto go. Specjalnie... By zniszczyć
ślad. Ale tak było lepiej. Chodźmy.

Wygładzony czasem kamień skrzypiąc obrócił się na osi. Z czarnej głębi „komina”
wyłoniły się strome prawie prostopadłe stopnie. Te, którymi raz już tu przyszli.
Schodzili powoli, z trudem mieszcząc się w ciasnocie poczerńiałych murów.

— Idźmy prosto pod drugą basztę — doradził Broniś. — Stamtąd dopiero szukajmy
liter.

— Dobrze. Tak będzie najlepiej.

Przebyli w odwrotnym kierunku tak niedawno odkrytą drogę. Odłupany tynk leżał na
kamiennej podłodze korytarza, koło głązów, którymi niegdyś zamknięto przejście.

— Zauważ, i tu jest lew... a na suficie litera... „A”. Idźmy raz jeszcze tym
samym korytarzem i szukajmy dalszych liter.

228

— Brakuje trzech.

— Tak, trzech. Szukajmy.

I znowu znaleźli się w przejściu między basztami. Oświetlali ściany, sufit i
podłogę wąskiego korytarza najmocniejszym „reflektorem” Franka. Nigdzie nie było
jednak żadnego znaku. Korytarz doprowadził ich do „komina”, skąd prawie
prostopadłe schody pięły się na szczyt baszty.

— No i co? Gdzie teraz szukać?

— W „kominie”.

— Zacznijmy od stopni...

— Słusznie! Jest litera!

Na pionowej ścianie pierwszego stopnia widniało duże „E”, wyryte najwyraźniej tą
samą ręką, co poprzednie litery. By je odnaleźć, Broniś musiał położyć się w
przejściu u stóp „komina” z trudem mieszcząc długie nogi w wąskiej wyrwie
korytarza.

— Dalej, jesteśmy na dobrej drodze.

— Oświeć reflektorem obie ściany. Tak.

— Nic nie widać. Idźmy wyżej.

— Poczekaj. Obejrzyj jeszcze stopnie.

W „kominie” było duszno. Duszno i straszliwie ciasno. Złani potem zbadali
stopień po stopniu. Do samej góry. I nic. Znowu znaleźli się na dole, u stóp
schodów i posuwając się powoli w górę oświetlali ściany „komina”. Niedaleko od
stopnia z literą „E”, po prawej stronie muru natrafili na niewielkie zgrubienie,
ot prawie niewidoczną wypukłość o powierzchni mniej więcej dwudziestu pięciu
centymetrów kwadratowych. Poszły w ruch noże, okazało się bowiem, że i w tym
miejscu nałożono tynk, który tak samo szerniał jak reszta skały, tworząc z nią
prawie jednolitą całość. Ciężko było pracować w tej ciasnocie, gdzie ani ręką
poruszyć, ani obrócić się nie można, a cóż dopiero, gdy trzeba zdrapać z muru
warstwę tynku, na szczęście cienką, ale zawsze...

229

Długo pracowali na zmianę, aż na gładkiej powierzchni kamienia ukazało się „R”,
głęboko wyżłobione w skalnej ścianie. Bronisiowi głośno biło serce, gdy

obrysowywał palcami kształt przedstawionej litery z łacińskiej sentencji. Więc to już gdzieś tu... blisko...

Franco myślał widać o tym samym, powiedział bowiem ochryłym z wysiłku głosem:

— To musi być tu... Łatwo przecież było zejść z baszty... tak niedaleko... i ukryć coś, co miało pozostać tajemnicą... może na zawsze...

Opukali mur. Nie było śladu spojenia głazów, wszędzie jednolita skała.

— Chodźmy wyżej — Broniś nie tracił nadziei. Jeszcze raz doszli do szczytu schodów. Na murach nie było

najmniejszego znaku. Nic. Opuścili się na dół. Kilka razy tak wchodzili i schodzili w dusznym „kominie”, aż musieli wreszcie dać za wygraną. Oprócz dwóch liter, które znaleźli, nic tu nie było więcej do odkrycia. Sforzowie dobrze strzegli swych sekretów!

Zmordowani wyciągnęli się na ceglanej posadzce kwadratowej izdebki z płaskorzeźbą. Czyżby i ta noc miała zakończyć się fiaskiem? Na to wyglądało, a tak już byli pewni...

W ciemnościach słabo odcinała się płyta białego marmuru nad drzwiami izdebki. Niewidoczny teraz kształt konia i jeźdźca przyciągał wzrok Bronisia.

— Słuchaj — nie mógł wreszcie wytrzymać w bezczynności. — Chciałbym raz obejrzeć to, jak mówisz, arcydzieło.

— Tu nie można zapalać latarki. Okno zdradziłoby naszą obecność.

— Nie trzeba latarki, wystarczy twoja zapalniczka... a okno zawieszę marynarką. Z nową energią zakrzętnął się koło okna, po czym podszedł do kawałka marmuru, którego ledwie widoczna biel nieodparcie przyciągała oko. Szczęknięta zapalniczka i chwiejny pło-

230

myk oświetlił postać jeźdźca oraz podniesioną przednią nogę konia. Zasłaniając dłońmi światelko, Broniś oglądał każdy szczegół renesansowego arcydzieła. Oto lew Sforzów w miniaturze na tarczy kondotiera, a tu strzaskany koniec miecza. Widać rzeźba przechodziła różne koleje, bo i ogon koński uszkodzony... A w dole jakiś napis. Chyba nazwisko twórcy. No tak, „Tullius Lombardus” po łacinie...

— Tullio Lombardo podpisał to dzieło — zauważył Franco widząc zainteresowanie przyjaciela. — Tam w dole, w rogu, po łacinie. No, co się tak przyglądasz?

Broniś rzeczywiście wydawał się zafascynowany podpisem artysty.

— Tullius Lombardus fecit anno 1500 — przeczytał wreszcie. — Czyli: Tullio Lombardo wykonał w roku 1500.

— Tak się wówczas podpisywali wszyscy artyści, po łacinie. Jak pojedziesz do Rzymu, to zobaczysz jedyne podpisane dzieło Michała Anioła, Pieta, w Bazylice świętego Piotra. Zupełnie tak samo.

— Czy przyjrzałeś się kiedy temu podpisowi?

— Czytałem go, ale specjalnie nie studiowałem. Czy...?

— Zobacz. — Nowy trzask zapalniczki. — „Tullius Lombardus fecit”. W nazwisku „Lombardus” „r” jest nieco wyższe od reszty liter, a w czasowniku „fecit” jest także wyższe od sąsiedniego „c”, ale największe ze wszystkich jest „F”. I napisane dużą literą. Dlaczego?

— Widocznie tak trzeba było...

— Ale dlaczego? Zastanów się... „R” i „E” większe od sąsiednich, a „F” największe...

— Na Boga, to przecież nasze litery! „Et respice finem”! Trzy ostatnie słowa... „E” było w „kominie” na stopniu, a „R” trochę wyżej, na ścianie.

— Otóż to. Z tego wniosek, że i ta płaskorzeźba jest znakiem. Mamy więc

ostatnią literę, „F”...

— Niemożliwe. Sforzowie nie ukryliby swoich tajnych pa-
231

pierów prawie u szczytu baszty, którą każdej chwili można było zniszczyć.

Wystarczyłyby do tego ówczesne armaty. Nie, nie, nie dajmy się ponieść fantazji.

— W takim razie to znak, kierujący nas na właściwy trop.

— Co masz na myśli?

— Wskazówka jest wyraźna. „R” i „E” odznaczające się od reszty liter, ale mniejsze od „F”, wskażą nam kryjówkę. Odkryliśmy „R” i „E” i one doprowadzą nas do „F”. Chyba jasne?

— Przecież wszystko obszukaliśmy.

— Widocznie źle zabraliśmy się do badań. Zejdźmy jeszcze raz „kominem” do tych dwóch liter i zobaczmy. Moim zdaniem ta płaskorzeźba jest ostatecznym znakiem!

— Ale jak?... Czekaj... „E” jest na pierwszym stopniu licząc od dołu, a „R” na murze parę metrów dalej...

— „E” jest na pierwszym stopniu, ale niekoniecznie ma to być ten właśnie stopień. Przepuszczalnie wskazuje tylko, że chodzi o jakiś stopień, stopień w ogóle, a który, to już nasza rzecz odgadnąć.

— Więc „R” na murze wskazywałoby, o jaki stopień chodzi, o ten, co się pod nim znajduje. Prędeż! — Franco zerwał się z podłogi.

Nigdy w dawnych czasach tak często jednej nocy nie wprawiano w ruch skrzypiącego mechanizmu, który otwierał zejście do „komina”. Zsuwali się pospiesznie, byle prędeż, żeby już nareszcie wiedzieć! „E” na pionowej ścianie pierwszego stopnia było widoczne tylko z pozycji leżącej, a położyć się w tej ciasnocie to sztuka nie lada! Parę stopni wyżej, na murze, wydobyte spod warstwy tynku jaśniało „R”. Franco pochylił się nad stopniem, który znajdował się dokładnie pod literą.

— To musi być tu.

— Chyba tak.

— Pewnie jakiś mechanizm...

232

— Próbujmy.

— Do licha, wszystko na nic. Słuchaj, a może uda się tak samo jak w lochu z niedopałkami? Pamiętasz?

— Spytaj raczej Maura, on najlepiej pamięta. A jeśli i tu otworzymy przepaść i nie potrafimy jej zamknąć...

— Tym razem i my możemy się dostać do pułapki, kto jednak nie ryzykuje...

By się zamienić miejscami, musieli zejść do korytarza u stóp schodów. Potem Broniś wspiął się kilka stopni powyżej litery na murze, a Franco stanął na stopniu znajdującym się tuż pod literą.

— Więc zaczynamy?

— Zaczynamy.

Stopień ugniatany nogą intendenta najpierw jak gdyby oderwał się od reszty, a po chwili zaczął powoli zjeżdżać w dół, ukazując inne schody, jeszcze bardziej strome, wiodące w czarną głąb. Broniś, stąpając ostrożnie, zszedł do przyjaciela.

— Popatrz, „F”!

Na stopniu rzeczywiście światło latarki odkryło ostatnią literę łacińskiego przysłowia.

— To już... tu... na pewno...

Schodzili trzymając się muru. Schody wiodły do okrągłej, podziemnej salki, skąd było tylko jedno wyjście w przeciwległej ścianie: niskie zamczone drzwi, nad

którymi czerniały dobrze znane słowa: Quidquid agis, prudenter agas et respice finem. Napisane identycznym pismem, co w bibliotece i nad drzwiami baszty.

— To tu. Nareszcie...

— Chyba tak. Ale jak wejdziemy? Do licha, tylko dynamit!

Broniś oglądał zamek.

— Słuchaj, a może tak twój klucz?...

— Który?

— No, ten od baszty...

16 — Renesansowa przygoda

233

Franco z niedowierzaniem wy dobył z kieszeni niezbyt udolnie dorobiony klucz.

Okazało się, że pasuje. Zanim przestąpili tajemniczy próg, wiedzieli już, że znaleźli to, czego szukali od tak dawna: tajne archiwum Sforzów.

Małe, wykute w skale pomieszczenie miało w ścianach, na wysokości rąk ludzkich, wydrążenia, coś w rodzaju nisz. Wszystkie były puste. Na środku stał stół z bloku skalnego, oparty na jednej nodze, a na nim zółcił się złożony we dwoje gruby papier przyciśnięty pierścieniem. Poza tym nie było absolutnie nic.

Wzruszenie nie pozwoliło im zrobić kroku naprzód. Kto tu był ostatni? Czyja ręka pozostawiła ten papier i pierścień? I dla kogo?

Dopiero po chwili Franco zbliżył się do stołu i wziął klejnot. Był to ciężki pierścień z ogromnym rubinem, którego blask przyćmiewała teraz „patyna wieków”, jak to później określił Broniś. Papier na szczęście okazał się solidny i nie rozsypywał się, kiedy go rozwijali. Nieznana ręka gęsto zapisała obie jego strony. Broniś dyskretnie usunął się na bok, by przyjaciel mógł sam najpierw zapoznać się z treścią pisma, Franco jednak chwycił go za ramię.

— Poczekaj, przeczytamy razem.

Nie było to łatwe, ręka piszącego wprawniej chyba władała szpadą niż piórem.

Niemniej to, co przekazał tej kartce papieru, uczyniło z niej dokument pierwszorzędnej wagi.

Autorem był Polak, Maciej Korycki, podpisany jednak włoską wersją swego nazwiska „Matteo Corizio”. Odegrał on już pewną rolę w życiu Guida Petracini, czyli pierwszego Sforzy, który z obawy przed wrogami nie śmiał nosić rodowego miana.

Pismo, w późniejszym przekładzie Bronisia, zaczynało się bez żadnych wstępów:

Znajdowałem się w Neapolu, gdy dnia 28 października przysłała po mnie Pani Bona.

Natychmiast udałem się do Bari. Sta-

234

ra królowa bardzo była zmieniona. Powiedziała, że otoczona jest wrogami, obawia się nagłej śmierci i nikomu nie ufa. Pokazała mi testament i osobny kodycył dotyczący bratanka, w którym stwierdza jego pochodzenie i przedstawia prawa do sukcesji Sforzów. W końcu dodała, że muszę wyruszyć do Meldoli, by ukryć te dokumenty w bezpiecznym miejscu, Pappacoda bowiem prowadzi jakies' konszachty z królem Filipem, który od dawna już domaga się przepisania na siebie księstwa Bari po śmierci królowej. Pani Bona oznajmiła mi kategorycznie, że niczego podobnego nie obiecywała, jak również nie darowała owych 430 000 dukatów, które swego czasu pożyczyła królowi Hiszpanii. Wszystko ma być zwrócone jej synowi, królowi polskiemu. Obawia się jednak sfałszowania testamentu, gdyż Hiszpanii bardzo na tym zależy, a Pappacoda chciwy jest na pieniądze. Mówiła to wszystko z wielką goryczą i dużo jeszcze innych rzeczy, ale te są najważniejsze. Dała mi w końcu szczegółowe instrukcje i kazała przysiąc na Mękę Pańską, że wszystko wykonam wiernie i zgodnie z jej wolą. Tak więc zabrawszy oba dokumenty i

opatrzywszy konie i broń, 6 listopada puściłem się w drogę. Tuż za Foggią miałem pierwszy wypadek: zarwał się pode mną mostek na strumieniu. Na szczęście i ja, i koń wyszliśmy bez szwanku. Potem, niedaleko Ascoli ktoś do mnie strzelił i spłoszył mi konia. Ale dopiero koło Pesaro oczekiwała mnie prawdziwa zasadzka: sześciu zamaskowanych drabów dowodzonych przez czarno ubranego opryszka. Wydało mi się, że część z nich to Hiszpanie. Odebrali mi dokumenty, bo jakież opór mogłem stawiać ja, stary, sześciu uzbrojonym po zęby bandytom? Mieli mnie powiesić, ale udało mi się zbiec, gdy się popili, tak byli radzi z zapłaty zdobytej małym kosztem.

Po wielu trudach dotarłem wreszcie do Meldoli. Zamek był teraz w rękach Pana Pio da Carpi, który wraz ze swą drużyną walczył gdzieś na Południu. Nie chciano mnie wpuścić, ale poznał mnie stary Pandolfo, z którym niegdyś służyliśmy razem pod rozkazami księcia Borgo. Nie zdążę opisać wszystkiego, jak

235

mi się udało wejść na wieżę, jak zabrałem klucz, jak odnalazłem zejście do podziemi, a stamtąd jeszcze niżej, aż do tajnego archiwum. Wszystko zgodnie z instrukcją Pani Bony. W niszach leżały różne dokumenty, ujęte w deszczułki i przewiązane sznurkiem, było też kilka luźnych papierów. Wyniosłem wszystko i zatopiłem w podziemnej studni bez dna, tak jak chciała królowa, która jest ostatnia i po niej nie ma już komu pozostawić tej spuścizny. Miałem na miejsce tych papierów położyć testament Pani Bony i kodycył dotyczący bratanka. Ponieważ odebrano mi oba dokumenty, zostawiam ten papier i pod przysięgą stwierdzam, że znana mi jest treść testamentu, o którym już mówiłem, jako też wiem, że Guido Petracini jest synem księcia Franciszka Sforzy, brata Królowej, i ostatnim, i jedynym dziedzicem książąt mediolańskich. Spełniłem wszystko, jak nakazała Pani Bona. Zamek jest w obcych rękach i gdyby nie stary Pandolfo, nie wiadomo, czy udałoby mi się wykonać to, co zrobiłem, a co leżało na sercu Królowej. 1 grudnia 1557 roku z pomocą Bożą wykonałem wszystko. Jeszcze pozostało tylko odszukać Guida Petracini i przekazać mu wiadomość. Matteo Cori-zio.

— Cześć twemu rodakowi, Bronco, cześć jego wierności i odwadze. Niestety, archiwum zniszczone, ale tak chciała Bona...

— Wiesz, to straszne! Zniszczone!... Jak mógł? Do studni, na wieczną zagładę, na stracenie!

— Przecież Bona kazała! Nie cieszysz się więc, żeśmy to odnaleźli?

— Cieszę się, że chociaż jest ten papier. Masz teraz stuprocentową pewność i dowód. Ponadto są to prawdziwe rewelacje dla historyka.

— Dziękuję ci za pomoc. Bez ciebie nigdy nie dokonałbym takiego dzieła. Bez ciebie i bez Mattea Corizia. Bona wówczas już nie żyła, zmarła 19 listopada, otruta, jak się obawiała, i tak

236

jak przypuszczała, zamiast prawdziwego — pokazano światu sfałszowany testament królowej.

— Hiszpania do dziś winna Polsce owe „suray neapolitańskie”, czyli 430 000 dukatów. Ciekawe, ile to Wyniosłoby po przeliczeniu na dzisiejsze wartości?

— Krocie. Nikt już tego nie odda. Nie ma króla Filipa ani Jagiellonów...

— Nie ma. Nie zapominaj jednak, że Anna Jagiellonka scedowała większość tego długu na Rzeczypospolitą. Naturalnie wszystko uległo przedawnieniu, tyle lat...

Zresztą nie jedyna to strata, jaką poniósł nasz kraj. Wiesz, w XVII wieku zaleli Polskę Szwedzi. Ogołocili wówczas Wawel. Ograbili nie tylko skarbiec katedralny, ale zabrali bibliotekę królewską. Dziś jeszcze możesz w Szwecji oglądać

wspaniałe renesansowe oprawy księgozbioru Zygmunta Augusta z królewskimi herbami. Po pierwszej wojnie, kiedy rewindykowano dzieła sztuki będące naszą własnością, te niestety nie zostały objęte spisem, jako że uległy przedawnieniu. Co więc mówić o „sumach neapolitańskich”? Chodzi mi w tej chwili wyłącznie o zasadę.

— Rozumiem. Powinno znajdować się w Polsce to, co było własnością „polskich Sforzów”. Ale i nad nimi wisiało tragiczne fatum tej rodziny...

— Jak myślisz, stary Matteo odnalazł Guida Petracini?

— Chyba odnalazł, jeśli wiadomość o naszym pochodzeniu przechowała się w rodzinie. Ale nigdy nie do Wierny się tego na pewno. No, nic tu po nas. Zabrałem wszystko, co było do zabrania, trzeba wracać.

— Trzeba, już bardzo późno. Odkryjesz władzom to podziemie? Czy na zawsze pozostanie ono „tajfym archiwum Sforzów”?

— Nikt tu nigdy nie zejdzie poza nami. Sforzowie nie życzyli sobie, by obcy wglądali w ich tajemnice. Uszanujmy ich wolę.

237

— Uszanujmy.

Zatrzaśnięte drzwi odgradziły ich od przeszłości. Stopień pod literą wrócił na dawne miejsce. Gdy zbiegali z baszty w dół, na wschodzie świtało. Spieszyli podziemnym korytarzem do Willi Attendola ogarnięci nagle jakimś niewytłumaczonym niepokojem. Coś się rzeczywiście działo, gdyż w domu przywitały ich podniesione głosy kobiet oraz tupot nóg biegnących amfiladą parterowych salonów.

— Ach, Franco, jak dobrze, że jesteś — z bocznych drzwi wypadła Maria z zapłakaną twarzą. — Chodź prędko, babcia...

Pobiegli za dziewczyną do sypialni markizy. Pani Chiara-monte leżała w łóżku. Zdawała się głęboko uspiona.

— Babcia. — Zaszlochała Maria. — Tak ją znalazłam. Spałam dziś u siebie i tak mocno zasnęłam, że obudziłam się dopiero nad ranem. Coś mnie tknęło i przybiegłam. Chyba już nie żyła...

— Nie żyła — przytaknęła Nina.

— Umarła we śnie — dodała Agata ocierając oczy. — Widzicie, państwo, jaką ma spokojną twarz? Nic nie cierpiała...

— Czy dzwoniłyście po lekarza?

— Jeszcze nie...

W kwadrans potem doktor Davitti potwierdził zgon.

— Serce — powiedział patrząc ze współczuciem na bladą twarz dziewczyny. — To jedyna dobra strona tej choroby, że czasem daje tak zwaną lekką, bezbolesną śmierć. W czasie snu. Umarła już ze dwie — trzy godziny temu, trudno mi w tej chwili ustalić dokładniejszą porę.

Przez dwa następne dni Franco zajęty był pogrzebem i Bronco nie widywał przyjaciela. Gdy pani Chiaramonte spoczęła na niewielkim cmentarzu pod miasteczkiem w grobowcu męża, w Willi Attendola zjawił się pan Onorini, notariusz markizy, z dużą, czarną teczką. Zwracał się teraz do Marii, traktując ją jako panią domu i na jego prośbę dziewczyna

238

zgromadziła domowników w żółtym salonie. Otwierając teczkę pan Onorini miał nieprzenikniony wyraz twarzy, a gdy wydobył grubą kopertę, podniósł ją wysoko i oznajmił uroczyście:

— Testament pani markizy.

Broniś po raz pierwszy w życiu uczestniczył w podobnej ceremonii.

— Ostatnią swą wolę pani Chiaramonte spisała własnoręcznie, nie przestrzegając

używanych w tym wypadku formułek. Służyłem jej radą wyłącznie w bardziej skomplikowanych sprawach dotyczących nieruchomości, jak również przy podziale ulokowanych w banku pieniędzy. A oto słowa nieboszczki:

Willa Attendola, 5 listopada...

Wiem, że niedługo umrę. Mimo jednak złego stanu zdrowia zachowałam pełnię władz umysłowych. Pisząc te słowa mam świadomość tego, co czynię. Jest to moja formalna „ostatnia wola” i proszę pana Onorini, mego notariusza, by zechciał przypilnować jej ścisłego wykonania.

Wszystko, co posiadam, a więc nieruchomości, Willę Attendola z jej skarbami sztuki, pieniądze ulokowane w banku oraz inne, poniżej tego dokumentu wymienione własności zostawiam wnuczce mojej, Marii Nebioli, która była mi największą pociechą w ostatnich miesiącach życia.

W trosce o jej przyszłość powierzam ją opiece Francesca Petracini, kuzyna mego nieżyjącego męża, gdyż znam jego prawość i uczciwość oraz wiem o uczuciu łączącym go z Marią. Osobom pozostającym w moim domu na stanowisku szofera, kucharki, pierwszej i drugiej pokojowej dziękuję za starania i przeznaczam legaty, wyszczególnione w dalszej części tego testamentu. Proszę też mego wychowanka, Francesca Petracini, gdy będzie już mężem mojej wnuczki, by zostawił Maura w Wil-

239

li Attendola. Był on zawsze wierny i oddany, cieszył się moim zaufaniem, chciałabym więc, by tak samo służył mojej wnuczce...

Monotonny głos notariusza wyliczał legaty dla służby, dla Maura większy niż dla innych oraz odczytał zlecenia, rady i przypomnienia dla „intendenta”.

Domownicy, ochłoniwszy z pierwszego zdumienia, rozchodzili się pod wrażeniem ostatniej woli zmarłej.

Wieczorem nowa właścicielka Willi Attendola zaprosiła narzeczonego i Bronisia do sypialni markizy.

— Chciałabym omówić z wami różne sprawy — zaczęła wygładzając czarną sukienkę.

— Dlatego poprosiłam was tu, do pokoju babci. Jestem jej tak bardzo wdzięczna, tak bardzo... Teraz to wszystko już nie ma znaczenia, prawda, Franco? To co moje, jest twoje, jesteś więc u siebie...

— Oboje jesteśmy u siebie, tymczasem pozwól, że opowiem, cośmy znaleźli...

— Więc znaleźliście?!

Na pytające spojrzenie Broniś skinął głową, a Franco rozwinął pismo pozostawione przez Mattea Corizia w podziemnej salce. Słuchała z rozchyłonymi ustami, nie spuszczać oczu z twarzy narzeczonego.

— Co zamierzasz zrobić? Gdyby babcia żyła, papier ten stałby się dokumentem twego tryumfu, ale tak... Przecież nie możesz nadać tej sprawie żadnego rozgłosu. Biedna babcia. Mimo przełomu, jaki się w niej dokonał, nie potrafiła przeżyć klęski.

— Najdroższa, bądź spokojna i nie obawiaj się niczego. Wszystko pozostanie po dawnemu. Tak jak dokument ten dowodzi mego tryumfu, testament markizy jest przyznaniem się do porażki. W ostatniej woli pani Chiaramonte znajdziesz jednak coś o wiele cenniejszego niż bogactwa, którymi tak hojnie cię obdarzyła. Mam na myśli miłość do ciebie, Mario.

240

Wielkie i piękne uczucie, może pierwsze w jej życiu. Ono to dokonało przemiany...

List Mattea Corizia pozostanie tylko naszą rodzinną pamiątką, niczym więcej.

Jednakże dzięki niemu będę spokojniejszy, nie poślubiam bowiem bogatej

dziedziczki, sam nie posiadając ani grosza. A że będziesz tylko skromną panią Petracini...

— Nie chcę być nikim innym — wzdygnęła się. — Więc jednak znaleźliście... a ja tak chciałam być przy tym obecna... i nie udało się...

— Nie martw się, pójdziemy tam któregoś dnia, żebyś zobaczyła. Nisze były puste, słyszałaś przecież, co napisał stary Matteo: na rozkaz Bony zatopił w podziemnej studni całe tajne archiwum Sforzów. Nie pozostało nic, tylko ten papier, no i to, co przechowuję w Banco di Napoli: listy Bony oraz raporty księdza Anzelma, czyli dokumenty dotyczące Guida Petracini... Obiecałem ci to pokazać, Bronco, wybierzemy się w przyszłym tygodniu do Florencji, to sobie obejrzysz. Zeznanie Mattea Corizia spocznie w tym samym sejfie, obok tamtych skarbów, i może kiedyś jakiś nowy Guido Petracini wydobędzie je na światło dzienne i opublikuje.

— Och, Francu...

— Życzę wam wiele szczęścia — wmieszał się Broniś. — Ale co ze mną i z biblioteką? Czy mam już wracać do Warszawy?

— Nie skończywszy prac nad księgozbiorem? — Zgorszyła się Maria. — Jak to, chcesz już nas porzucić?

— A podziemia Castello Sforzesco? Mieliśmy je zbadać razem, obiecałeś mi. Sam tego nie dokonam, a nie chciałbym ujawniać tajemnic tej Skały. Niech przynajmniej to pozostanie naprawdę moją własnością. Skała w Meldoli... jak niegdyś...

— Zrobimy to latem — zdecydowała Maria. — Przyjedziesz razem z ciotką, tyle tu miejsca...

241

— Liczę na ciebie, Bronco. To nasza wspólna sprawa, pamiętaj.

— Bardzo wam dziękuję. Ja też żyłem poszukiwaniami. Wiecie, czym to dla mnie było. Tyle czasu z wami razem... Naturalnie skończę opracowywanie księgozbioru, ale jest jeszcze coś innego. Testament Bony. Muszę go odnaleźć! Stary Matteo zrobił rzecz straszną. Wiem, że archiwum Sforzów stracone, nawet gdyby rozpocząć poszukiwania w studni. Tyle wieków w wodzie! Jakiż papier przetrwałby podobną kąpiel? Ale testamentu Bony dotąd nie ujawniono, więc gdzieś jest — dobrze ukryty. Będę szukał. Muszę! Chcę, żebyście teraz wy mi pomogli. Poza tym jeszcze jedno. Nie zdążyłem tego poruszyć z markizą, właściwie miała to zrobić Biblioteka Narodowa. Chodzi o książki polskie, których nie posiadamy w naszych zbiorach...

— Och, zabierzesz sobie, co zechcesz, babcia na pewno by się zgodziła...

* * *

Dwudziestego grudnia rano na dworcu w Bolonii grupka osób oczekiwała na pociąg do Wiednia. Broniś jechał do domu na Święta. Ostatnio pracował dużo, by skończyć powierzone mu przez markizę zadanie i właśnie kilka dni temu włączył do pudła ostatnią kartkę katalogową. Przyjaciele zatrzymywali go, ale okazał się nieugięty. Święta musiał spędzić w domu, z ciotką Zuzanną. Zbyt długo był już nieobecny...

— Pamiętaj o wakacjach — przypominała Maria. — Będiesz świadkiem na naszym ślubie.

— Przyjedzie pan razem z ciotką, prawda? — mówiła pani Davitti. — Najserdeczniej prosimy...

— Nasz dom jest twoim domem — dodawał Franco — i kiedy tylko zechcesz...

242

— Polecam swe usługi na odległość — żartował doktor. Gdy nadjechał pociąg, Broniś ścisnął wyciągnięte ręce przyjaciół. Na koniec podszedł do opartego na lasce Maura.

— Nigdy nie zapomnę, co pan dla mnie uczynił. — W błyszczących oczach Włocha paliła się wdzięczność. — Nigdy...

— ??, niechże Mauro nie przesadza. Obaj przeżyliśmy brzydkie chwile, ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło. No, żegnajcie, drodzy, dziękuję!

— Do zobaczenia!

Długo jeszcze widział czarny płaszcz Marii.

Koniec ze Sforzami — pomyślał z westchnieniem zamykając okno. — Tak, koniec. Nie ma już renesansowego kondotiera, jest tylko szczęśliwy narzeczony uroczej panny Nebioli. Franco Petracini wygrał swą ostatnią bitwę i jak niegdyś jego przodkowie zdobył to, czego pragnął. A on? Broniś? Nie zrezygnuje z testamentu Bony. Wróci tu na poszukiwania. Wróci i znajdzie.

Pociąg pędził na północ.

Halina Popławska — Cień dłuższego ramienia

Czy w przepastnych magazynach Biblioteki Narodowej, wśród zakurzonych, starych książek może się kryć jakakolwiek tajemnica? Czy można tam przeżyć fascynującą, niebezpieczną przygodę? A jednak właśnie tam Broniś Mączyński, nieśmiały, początkujący bibliotekarz, natrafia na tajemnicze zapiski pozostawione przez jego pradziada. Idąc ich tropem, przeżywa wiele pełnych grozy chwil.

Mary Stewart — Nie drażnij kota

Bryony miała dar. Dar Ashleyów — zdolność przekazywania myśli. Od lat odbierała przekazy. Słyszała zawsze ten sam głos, ukochany głos; głos mężczyzny.

Myślała o nim jako o tajemniczym kochanku, swoim „duchowym” ukochanym. Minęły jednak lata, nim dane jej było odkryć, czyj był ów głos i na czyją miłość czekała.

A teraz mówił jej rzeczy, których nie chciała słuchać. Wydarzyło się coś strasznego i miało to związek z jej ojcem.

Kiedy Bryony dotarła do Madery do Bawarii, było już za późno. Ojciec nie żył — padł ofiarą tajemniczego wypadku na drodze. Lecz jego ostatnie słowa były skierowane do córki. Ostrzegał ją. Jej również groziło niebezpieczeństwo...

Mary Stewart — jedna z najpoczytniejszych współczesnych pisarek angielskich, w Polsce znana z powieści Prządki księżycowe i Ogary Gabriela.

Duncan Bali — Tajemnica Selby'ego

Jest to opowieść o psie, z pozoru całkiem zwyczajnym, sympatycznym i kochanym jak inne.

Selby jednak ma dwie cechy, które go wyróżniają: po pierwsze — potrafi mówić, po drugie — dla własnej wygody postanowił trzymać swą umiejętność w głębokim sekrecie przed ludźmi.

Tajemnica Selby'ego to znakomita lektura zarówno dla dzieci jak i dla rodziców, pełna zaskakujących sytuacji, zabawnych przygód, w których sekret Selby'ego co rusz wisi na włosku. Selby bowiem obok umiejętności mówienia ma przedziwny dar nieustannego pakowania się w kłopoty.

Wydawnictwo ALFA zaprasza wszystkich czytelników do swojej księgarni w Warszawie przy ulicy Siennej 63

WYDAWNICTWO „ALFA” — WARSZAWA 1993

Wydanie drugie
Zakład Poligraficzny Wydawnictwa „Alfa”
Zam. 1079/92
.q»s«